



Drusilla
Campbell DOBRA
SIOSTRA

Media Rodzina

Drusilla
Campbell DOBRA
SIOSTRA

Tłumaczyła Monika Popławska

Dla Arta, dla upamiętnienia utraconego sierpnia

*Dom — pamiętnik, z którego uczymy się, kim jesteśmy,
opisując tych, których kochamy.*

Judith Tate O'Brien

ROZDZIAŁ 1

San Diego, Kalifornia

Stan Kalifornii przeciwko Simone Duran

marzec 2010

Pierwszego dnia procesu Simone Duran, oskarżonej o usiłowanie zabójstwa swoich dzieci, żywioły sprzysięgły się przeciwko południowej Kalifornii. Burze z masami arktycznego powietrza, które przez całą zimę trzymały się z dala od tego regionu lub nękały obszary na północ od Los Angeles, wybrały drugi tydzień marca, aby przenieść się na południe, gdzie ustawivszy się w rzędzie niczym falanga złożona z awiatru i deszczu, rozciągnęły się na północ aż do Alaski. W San Diego zaczęło delikatnie mżyć po północy, lecz wraz ze zbliżającym się świtem mżawka przybierała na sile i teraz miasto tonęło już w ulewnym deszczu, smagane północno-zachodnim wiatrem. Roxanne Callahan mieszkała w San Diego od urodzenia i po raz pierwszy była świadkiem takich zjawisk pogodowych.

W dusznej sali sądowej poczuła na karku podmuch chłodnego powietrza, który sprawił, że dreszcz przeszedł jej po plecach. Obawiała się, że jeśli temperatura spadnie choćby o jeden

stopień, nie będzie już potrafiła opanować drżenia. Ktoś siedzący za nią zanosił się uporczywym oskrzelowym kaszlem. Roxanne wyobrażała sobie zarazki, które unosiły się w powietrzu niczym pyłki roślin. Zaczęła się zastanawiać, czy ludzie z wrogim nastawieniem — gapie i szakale, osoby kierujące się makabryczną ciekawością, domorośli eksperci oraz nawiedzeni miłośnicy procesów — przenosili bardziej zjadliwe wirusy niż przyjaciele i sprzymierzeńcy. Oczywiście większość tutaj zgromadzonych nie życzyła zbyt dobrze oskarżonej. Przeważająca część mężczyzn i kobiet zajmujących miejsca w sali sądowej podzielała zdanie milionów osób pałających nienawiścią do Simone Duran i gdyby przenoszone przez nich zarazki były chociaż w połowie tak zabójcze jak ich myśli, do wieczora Simone przeniosłaby się już na tamten świat.

Roxanne siedziała w pierwszym rzędzie dla publiczności, bezpośrednio za stołem obrony. Towarzyszył jej szwagier Johnny Duran. Jak zwykle był nienagannie ubrany i niesamowicie przystojny. Jednak w jego czarnych włosach pojawiły się siwe pasemka, a wokół oczu i ust bruzdy, których jeszcze pół roku wcześniej tam nie było. Johnny był właścicielem i prezesem wycenianej na wiele milionów dolarów firmy budowlanej, która specjalizowała się w budowie hoteli i biurów. Miał szerokie grono przyjaciół, do którego zaliczali się między innymi burmistrz oraz komendant policji, ale po tym, jak jego dzieci omal nie stały się ofiarami morderstwa, wycofał się z życia towarzyskiego i cały wolny czas spędzał z córkami. Mieli sobie z Roxanne wiele do powiedzenia, a mimo to zachowywali milczenie. Wiedziała, że w myślach Johnny zadaje sobie te same pytania, co ona, więc nie było sensu dociekać, co mogli lub powinni zrobić inaczej?

Po postawieniu Simone w stan oskarżenia pod zarzutem wielokrotnego usiłowania morderstwa wysłano ją do Szpitala Psychiatrycznego imienia Świętej Anny na dziewięćdziesięciodniową obserwację. Wyznaczono również kaucję w wysokości miliona dolarów, więc Johnny złożył hipotekę domku nad jeziorem jako poręczenie majątkowe. Wynajął również

mieszkanie w pobliżu kanionu, gdzie po opuszczeniu szpitala psychiatrycznego jego żona zamieszkała razem z matką Ellen Vadis. Warunki kaucji były bardzo surowe. Simone miała zakaz kontaktowania się z córkami oraz opuszczania mieszkania, czego strzegła elektroniczna bransoletka na jej kostce. Mogła wychodzić jedynie w sprawach związanych z procesem, w towarzystwie adwokata, oraz na wizyty do lekarza, podczas których asystowała jej matka.

Zarówno Johnny, jak i Roxanne odwiedzali Simone kilka razy w tygodniu. Jednak z tego, co zaobserwowała Roxanne, te pełne napięcia spotkania nie wpływały pozytywnie na nastroje członków rodziny. Godzinami siedzieli na kanapie przed telewizorem, trzymając się czasami za ręce. Podczas gdy Roxanne często opowiadała o swoim życiu, pracy i przyjaciółach oraz poruszała inne tematy, aby podtrzymać iluzję, że nadal były siostrami jakich wiele, Simone rzadko się odzywała. Czasami prosiła Roxanne, aby poczytała jej zbiór bajek, który zachował się z dzieciństwa. Opowieści o tańczących księżniczkach i zaczarowanych łabędziach uspokajały Simone niczym kołysanka niemowlę. Wielokrotnie Roxanne zostawiała siostrę śpiącą pod kaszmirową narzutą z książką u boku. Ostatnio Simone powróciła nawet do nawyku z lat dziecięcych i zaczęła ssać kciuk. Roxanne musiała stawić czoło prawdzie — dawna Simone, z jednej strony pełna miłości, z drugiej niemądra, zakochana w sobie dziewczyna, która skrywała tajemnice, stawiała żądania, cierpiała z powodu stanów maniackalnych i depresyjnych czarnych dziur, w których mieszkali niemili ludzie, mogła zniknąć na zawsze.

Szafka na lekarstwa wypełniona była specyfikami, które budziły ją rano, a wieczorem pozwalały zasnąć, pomagały przejść ze stanu maniackalnego do katatonii, a potem osiągnąć coś na kształt równowagi. Zażywała leki, które poprawiały nastrój i koncentrację, wygaszały entuzjazm, trzymały na wodzy wyobraźnię, zwalczały paranoję i brały w karby natarczywą ciekawość. Atmosfera panująca w mieszkaniu była tak sztuczna, że ledwo dało się tam wytrzymać.

W gazetach o zasięgu ogólnokrajowym, w magazynach i na blogach przedstawiano rzekomo prawdziwą historię Simone. Na ekranach telewizorów często pojawiały się jej zdjęcia — zwykle stanowiły tło dla wzburzonego spikera. Czasami prezentowano fotografię policyjną z dnia, w którym została aresztowana, innym razem jedno z pozowanych ujęć z uroczystej kolacji na cześć sędziego Roya Price'a. Wyglądała wówczas pięknie, choć wewnątrz umierała. Hieny radiowe nie mogły przestać o niej paplać i nieustannie nazywały ją potworem. Z kolei podburzeni słuchacze mądrzyli się podczas audycji, blokując linie telefoniczne. Autorzy artykułów, które ukazywały się co tydzień w brukowcach zajmujących półki supermarketów, twierdzili, że znają całą prawdę.

Całą prawdę! Gdyby Roxanne zachowała choć odrobinę poczucia humoru, roześmiałaby się, słysząc tak niedorzeczne stwierdzenie. Miała swój udział w tragedii Simone. Podobnie jak Ellen i Johnny. Wszyscy byli odpowiedzialni za to, co wydarzyło się tamtego wrześnieowego popołudnia.

MAŻ ROXANNE, Ty Callahan, pracował w Salk Institute i zaproponował, że weźmie urlop, aby towarzyszyć jej podczas rozprawy. Ona jednak odrzuciła jego propozycję. Zarówno on, jak i jej przyjaciółka Elizabeth byli łącznikami ze światem zwykłych, optymistycznie nastawionych i przepelnionych nadzieją ludzi. Ich udział w rozprawie wszystko by zmienił.

W wieczór poprzedzający rozpoczęcie procesu Roxanne i Ty zamówili chińszczyznę na wynos. Następnie Ty pogrążył się w lekturze, a ona oparła głowę na jego kolanach i choć nie potrafiła się na niczym skupić, próbowała znaleźć odpowiedzi ukryte w zakamarkach umysłu. Poszli do łóżka wcześniej niż zwykle i kochali się z zaskakującą natarczywością, jakby czuli presję czasu i musieli dotrzeć do siebie w ten najprostszy sposób, zanim będzie za późno. Po wszystkim zamiast położyć się spać, Roxanne wstała i do późnych godzin nocnych oglądała filmy informacyjno-reklamowe, opowiadające o karierach w branży komputerowej oraz o cudownych produktach do pielęgnacji cery. W końcu

zasnęła na kanapie. Rano znalazł ją Ty. Obok niej na podłodze, trzymając piłkę pomiędzy łapami, pochrapywał żółty labrador Chowder.

— Nie patrz na mnie — powiedziała, wstając. — Wyglądam strasznie.

— Masz rację. — Ty podał jej kubek z kawą, a jego uśmiech niczym promień słońca rozświetlił jej twarz. — Jesteś najgorzej wyglądającą kobietą, jaką widziałem tego ranka.

Oparła czoło na jego piersi i zamknęła oczy.

— Powiedz, że nie muszę tego dzisiaj robić.

Przyciągnął ją do siebie.

— Przetrywamy to, Rox.

— Ale kim będziemy, gdy to się skończy?

— Z czasem się przekonamy.

— Będiesz przy mnie?

— Jeśli zacznę się zastanawiać nad wyjazdem, w pierwszej kolejności zabiorę ciebie.

Siedząc w sali sądowej, zamknęła oczy i wyobraziła sobie Tya w otoczeniu doktorantów, poważnych młodych mężczyzn i kobiet, którzy patrzyli na niego z podziwem. Kiedy jeszcze potrafiła się śmiać, bawiło ją ich zachowanie, a jednocześnie uważała je za słodkie. Wiedziała, na czym polegała praca męża, jak wiele poświęcał jej uwagi i że precyzyjną ręką artysty skrzętnie zapisywał notatki w laboratoryjnych rejestrach. Kiedy jej życie zaczęło się rozpadać i nie wiedziała już, co przyniesie kolejny dzień, myśl o Tyu, który na drugim końcu miasta pracował w laboratorium z widokiem na Ocean Spokojny, działała na nią kojąco niczym medytacja.

Adwokat David Cabot i Simone weszli do sali sądowej i zajęli miejsca przy stole obrony. Johnny od razu postanowił, że to Cabot będzie bronić Simone. Dawny rozgrywający w drużynie San Diego Chargers nie miał na koncie zbyt wielu wygranych meczy, ale powszechnie podziwiano go za zdolności przywódcze oraz siłę charakteru. Na sali rozpraw osiągał znacznie lepsze wyniki niż na boisku. Cabot zyskał rozgłos, prowadząc kontrowersyjne sprawy, a

do takich z pewnością zaliczała się sprawa siostry Roxanne.

Simone usiadła obok Cabota. Była kobietą drobnej budowy ciała, miała plecy tak wąskie, że od tyłu przypominała dziecko. Ubrana była w konserwatywnym stylu. Miała na sobie czarno-białą wełnianą sukienkę oraz żakiet, a na nogach nierzucające się w oczy buty na płaskim obcasie, w których równie dobrze mogłaby wspinać się na górę Cowles. Uszy przyozdobiła srebrnymi kolczykami z turkusem, które otrzymała od Johnny'ego jeszcze w okresie narzeczeństwa. Zgodnie z zamierzeniem sprawiała wrażenie osoby łagodnej i spokojnej. Wyglądała tak słodko, że można ją było co najwyżej podejrzewać o przejście przez jezdnię w niedozwolonym miejscu.

Gdy sędziowie przysięgli weszli do sali i zaczęli zajmować miejsca, rozmowy wśród publiczności ucichły. Jeden z członków ławy przysięgłych, będący studentem, spojrzął z ukosa na Simone, natomiast pozostali skierowali wzrok na drugi koniec sali sądowej, gdzie ulewny deszcz smagał szyby okien. Wśród dwunastu sędziów przysięgłych były dwie dwudziestokilkuletnie kobiety pochodzenia latynoskiego, z których jedna studiowała. Byli również trzej mężczyźni i kobieta, emerytowani przedstawiciele wolnych zawodów; manikiurzystka pochodzenia wietnamskiego oraz Afroamerykanka w średnim wieku, właścicielka drukarni. Roxanne starała się dostrzec w ich twarzach inteligencję, wyrozumiałość oraz mądrość, ale zdołała jedynie zobaczyć zwykłych mieszkańców San Diego. Aby Simone rzeczywiście mogła być sądzona przez równych sobie, jeden z sędziów przysięgłych powinien cierpieć na głęboką depresję, drugi powinien być niesamowicie zamożny, a trzeci patologicznie nieporadny.

Błagam, niech będą dobrymi ludźmi, modliła się Roxanne. Oby byli dobrzy, wrażliwi i mieli otwarte umysły. Oby byli uczciwi. Oby zdołali ujrzeć prawdziwe oblicze mojej siostry i przekonali się, że nie jest potworem.

ROZDZIAŁ 2

Sierpień 1977

Mama Roxanne powiedziała, że jadą samochodem na bardzo długą wycieczkę w poszukiwaniu przygód. Nie chciała jednak zdradzić, dokąd się wybierają i na jak długo. Gdy Roxanne zadawała pytania, mama odchodziła, siadała przy kuchennym stole i zapalała papierosa.

Za niespełna dwa tygodnie Roxanne rozpoczynała naukę w pierwszej klasie szkoły podstawowej Logan Hills w San Diego, więc wolała zostać w domu i przygotować się do początku roku szkolnego. Jej wychowawczynią miała zostać pani Enos. Sala pani Enos znajdowała się w baraku, który sprawiał wrażenie, jakby nigdy nie był malowany. Mamusia mówiła, że to budynek przenośny, który istniał jeszcze w czasach, gdy Jezus Chrystus nosił pieluchy. Roxanne nie wiedziała, kim był Jezus Chrystus, ale lubiła swoją przenośną klasę, ponieważ przypominała jej domek ogrodowy dla dzieci. Poza tym z drzwi wychodziło się od razu na plac zabaw. Nie przeszkadzało jej wcale, że brakowało tam drzew oraz sprzętów, które służyłyby do wspinania się i huśtania, ani to, że po szkole podstawowej Logan Hills biegały myszy oraz karaluchy błyszczące niczym czarne oliwki. Najważniejsze, że w pierwszej klasie będzie mogła się uczyć matematyki.

Czytać już potrafiła. Na myśl, że sama się tego nauczyła, jej matka oraz pani Edison dostawały gęziej skórki. Pytały, jak to zrobiła, ale nie potrafiła udzielić im konkretnej odpowiedzi. Po prostu zwracała uwagę na słowa, które pojawiały się na przykład w książce kucharskiej pani Edison, oraz na składające się na nie dźwięki, aż w końcu zawijasy wydrukowane na stronie nabierały

znaczenia. Poza tym w domu pani Edison oglądała *Ulicę Sezamkową*. W ten sam sposób nauczyła się też liczyć, ale każdy głuptas posiadający palce u rąk i nóg potrafiłby to zrobić.

Gdy mamusia szła do pracy, Roxanne zostawała z sąsiadką mieszkającą obok, panią Edison, delikatną blondynką, która sama nie miała dzieci, ale zależało jej na dorobieniu kilku dodatkowych dolarów. To ona zaprowadziła Roxanne do szkoły, pokazała jej przenośną klasę i przedstawiła panią Enos. Nauczycielka była wysoka, miała brązową skórę oraz mocno kręcone rude włosy. Kucnęła przy Roxanne, aby przywitać się twarzą w twarz.

— Pokocha ją pani — stwierdziła pani Edison, unosząc brwi.

Twarz Roxanne pokryła się rumieńcem, ponieważ zorientowała się, że pani Edison mówiła o niej.

Na pożegnanie pani Enos dała Roxanne srebrny wiatraczek, który kręcił się z zadziwiającą prędkością.

Mąż pani Edison i tatuś służyli w piechocie morskiej, ale to nie czyniło ich najlepszymi przyjaciółmi. W wolnych chwilach tatuś grał w pokera i bilard w barze Królewski Poker po drugiej stronie ulicy, natomiast pan Edison siedział z nosem w czasopiśmie „Popular Mechanics”. Mamusia mówiła, że pan Edison robił prawdziwą karierę w piechocie morskiej, na co tatuś odpowiadał: „Pieprzenie, wielkie mi rzeczy”.

Dorośli posługiwali się charakterystycznym językiem, używając słów i tajemniczych zwrotów, których Roxanne nie rozumiała. Jak na przykład „pieprzenie”. Pewnego dnia pani Edison zabrała ją do biblioteki. Roxanne wzięła duży niebieski słownik, ponieważ chciała sprawdzić ten wyraz. Nie odnalazła go jednak. Zaczęła się wówczas martwić, że nigdy nie pozna znaczenia wszystkich słów, którymi posługują się ludzie. W telewizji dzieci mówiły do swoich rodziców, a rodzice odpowiadali. Pytania i odpowiedzi zwano rozmową. Choć nikt tego nie powiedział, przynajmniej nie wprost, Roxanne wiedziała, że mamusia i tatuś nie mają ochoty z nią rozmawiać.

Gdy pani Edison była w dobrym humorze, odpowiadała na pytania Roxanne. Sąsiadka ostrzegała ją jednak, twierdząc, że

ciekawość to pierwszy stopień do piekła. Roxanne rozmawiała też z innymi osobami. Dowiedziała się, że listonosz został ugryziony przez psa i założono mu dziesięć szwów na ramieniu, a kobieta napotkana w supermarkecie Von spodziewała się dziecka i miała nadzieję, że urodzi dziewczynkę, której będzie mogła nadać imię Rashida. Roxanne rozmawiała ze wszystkimi ludźmi mieszkającymi na ich ulicy, nawet z kobietą stojącą na rogu, która zawsze nosiła szalik. Wszystkie wymiany zdań, nieznanne słowa oraz sprzeczne informacje wygłaszane przez jej rozmówców wprawiały ją w konsternację. Doszła więc do wniosku, że muszą istnieć zasady określające to, co powinno się mówić i czuć, kiedy się odzywać, a kiedy słuchać. Czasami bała się jednak, co się z nią stanie, jeśli nie zdoła pojąć tych reguł. Nie chciała pójść w ślady bezdomnej kobiety, która nawet w lecie nosiła czerwoną wełnianą czapkę i mamrocząc coś do siebie, pchała wózek na zakupy przed ich domem.

Świat Roxanne wypełniony był nakazami i zakazami: nie przechodź przez ulicę na czerwonym świetle, nie dotykaj gorącej kuchenki, zamykaj drzwi na noc, nie rozmawiaj z nieznanymi. Musiały więc też istnieć zasady dotyczące sposobu prowadzenia rozmów oraz tego, jak się zachować. Może jeśli będzie czytać dużo książek i nauczy się wszystkich słów ze słownika, obserwując i słuchając innych, w końcu zrozumie, dlaczego w przeciwieństwie do jej matki kobiety pokazywane w telewizji kochały swoje córki.

— NA JAKIŚ CZAS zamieszkas z babcią — powiedziała podczas kolacji mamusia.

Wtedy Roxanne po raz pierwszy dowiedziała się o istnieniu babci.

— Wyjeżdżamy jutro po śniadaniu. Zapakuj do różowego plecaka swoje rzeczy i nie zapomnij o szczoteczce do zębów.

Mamusia poszła do łazienki i zamknęła za sobą drzwi.

W logicznym umyśle Roxanne pytania ustawiły się w równym rzędzie, niczym żołnierze piechoty morskiej: „dlaczego”, „kto”, „kiedy” i co się stanie, jeśli opuści pierwszy dzień szkoły.

Usłyszała odgłos wody lejącej się do wanny. Za minutę spod drzwi zacznie unosić się para. Mamusia musi być zdenerwowana. Zawsze się kąpie, gdy jest zdenerwowana. Usłyszała odgłos otwierania oraz zamykania drzwiczek do szafki z lekami, następnie uderzenie deski toaletowej o zbiornik z wodą. Te dźwięki znała, więc nie było powodu do zmartwień. Ale jeśli nie działo się nic nadzwyczajnego, dlaczego Roxanne miała wrażenie, że coś dużego, złego i zimnego jak niedźwiedź polarny weszło przez drzwi, stanęło na środku pokoju i wpatrywało się w nią?

— JESTEŚ NA MNIE ZŁA, mamusiu?

Siedziały przy stoliku do kart i jadły spaghetti.

— Dlaczego? Co zrobiłaś?

Wyjazd do babci wzbudzał w Roxanne niepokój.

— Jedz obiad. I daj mi pomyśleć.

Mamusia prawą ręką nawinęła spaghetti na widelec, a w lewej trzymała papierosa.

Mama miała na imię Ellen i była ładniejsza od większości matek pokazywanych w telewizji. Pani Edison zwykła mówić, że Ellen miała włosy, za które warto było oddać życie. Przy skórze głowy były ciemnobrązowe, tak jak włosy Roxanne, ale co kilka tygodni mamusia myła je jakimś śmierdzącym płynem z pudełka i wtedy ich kolor zmieniał się na srebrnożółty. Zazwyczaj układała włosy w długie luźne fale i wyglądała jak jeden z aniołków Charliego. Twarz matki przypominała Roxanne kocięta w klatkach w sklepie zoologicznym, które wyciągały noski przez pręty i miauczały do niej. Roxanne chciała zabrać wszystkie do domu, ale mamusia powiedziała: „Po moim trupie”.

Roxanne nie lubiła, gdy mama tak mówiła.

— Jesteś?

— Jaka?

„Zła na mnie”.

— No wiesz.

— Nie, nie wiem.

— Jak długo tam zostaniemy?

— Chcesz powiedzieć: jak długo ty tam zostaniesz. Ja nie

wytrzymam tam ani minuty dłużej, niż to będzie konieczne. Muszę pracować, wiesz o tym, prawda?

Mamusia pracowała w salonie Buicka wchodzącego w skład towarzystwa National City Mile of Cars. Według reklam telewizyjnych było to największe przedstawicielstwo handlowe w hrabstwie San Diego.

— Pan Brickman wypożyczył mi dobry samochód.

— Będę tam nocować? — Niedźwiedź polarny był gotowy, aby ją połknąć, a w żołądku czuła coś ciężkiego, jakby tysiące kostek lodu zbiły się razem w jedną bryłę. — Nie chcę tam nocować. Chcę zostać tutaj.

Jedna sypialnia, kuchnia, w której było miejsce na stół, łazienka z malutkim oknem nad wanną i zabudowany ganek na tyłach domu, gdzie spała Roxanne.

— Lubię nasz dom.

— Musisz się leczyć, dziewczyno.

Mamusia nacisnęła bosą stopą na pedał od śmietnika i wieko podskoczyło do góry, przywierając do boku kuchenki. Następnie wrzuciła do środka większość swojej kolacji. Pani Edison mówiła, że mamusia jadła tyle co wróbelek.

— A co jeśli się jej nie spodobam?

Matka Roxanne westchnęła, jakby po odłożeniu worka kamieni ktoś powiedział jej, że musi wziąć następny.

— Posłuchaj, wiem, że nie chcesz tam jechać, ale uwierz mi, mam swoje powody i to całkiem poważne. Pewnego dnia mi podziękujesz. Teraz nie będziemy o tym rozmawiać. Koniec dyskusji. Nie chcę też, abyś dzwoniła do mnie i nabijała rachunek telefoniczny babci, by trochę pojęczeć. Będę musiała zwrócić jej pieniądze za te rozmowy, a mówiłam ci już tysiąc razy, choć nadal tego nie pojmujesz, że pieniądze nie rosną na drzewach.

Po obiedzie Roxanne przysunęła taboret do zlewu i napełniła kwadratową plastikową miskę gorącą wodą. Umyła dwa talerze i widelce oraz garnek po spaghetti. Wypłukała szklankę, po czym starła gąbką kożuch z mleka, ponownie ją wypłukała w najgorętszej wodzie, w jakiej udało jej się zanurzyć dłonie, i

odstawiła szklanę na ociekacz. Podczas sprzątanía zastanawiała się nad słowami matki. Niektóre zwroty używane przez dorosłych były absurdalne. Ale nie wszystkie. Sztuka polegała na tym, aby się zorientować, kiedy mamusia mówiła dosłownie, a kiedy nie.

„Włosy, za które można oddać życie.

Pieniądze rosnące na drzewach”.

Roxanne wytarła blat kuchenny i kuchenkę gazową.

Opróżniła wypełnioną po brzegi popielniczkę stojącą na stole i zaniósła puszki po piwie do garażu, a następnie pozamiatała podłogę w kuchni, pamiętając, aby wymieść miotłą tłuste kłęby kurzu mieszkające we wnęce pomiędzy kuchenką a lodówką. W tym samym czasie wyobraziła sobie drzewa obwieszane banknotami i monetami zamiast liści.

Roxanne nastawiła na jedną godzinę zegar na piekarniku, ponieważ tyle czasu mogła oglądać telewizję po obiedzie. Mamusia nie lubiła, gdy Roxanne siadała zbyt blisko niej, ale pragnienie oparcia się na ramieniu matki, przytulenia się do jej biodra było tak ogromne, że dziewczynka czuła lekkie mrowienie na skórze, które towarzyszyło jej na przykład w chwilach, gdy wiedziała, że kuchenka gazowa jest gorąca, nawet bez jej dotykania. W telewizji widziała matki i córki, które się obejmowały, przytulały i całowały. Czy powinna w to wierzyć, czy może telewizja prezentowała jedynie bajkę, wymyślone historie podobne do fantazji o drzewach, na których rosną pieniądze?

Roxanne musiała nauczyć się jeszcze tylu rzeczy.

Pani Edison piekła placki i ciasta, aby zarobić dodatkowo trochę pieniędzy. Przy okazji nauczyła więc Roxanne czytania przepisów. Roxanne lubiła gotować, ponieważ gdy pani Edison wykonywała czytane przez nią polecenia z książki kucharskiej, powstawały wyśmienite desery. Jednak życie nie przypominało pieczenia ciast. Nawet jeśli robiła dokładnie to, co powinna, nadal ogarniał ją strach, gdy słyszała, jak mamusia i tatuś rozmawiają, śmieją się i kłócą w nocy. Choć mówili zbyt szybko, aby mogła zrozumieć poszczególne słowa, ich pełne gniewu głosy wypełniały ciemność. Chowała wówczas głowę pod koc, tworząc w ten

sposób coś na kształt namiotu, w którym czuła się bezpiecznie, czując własny oddech. Myślała o bezdomnej kobiecie w czerwonej wełnianej czapce i zastanawiała się, czy kiedykolwiek uczęszczała ona do pierwszej klasy.

Roxanne mieszkała z matką przy ulicy, na której do późnych godzin wieczornych hałasowały samochody. Znajdowały się tam dwa bary. Jeden z nich nosił nazwę, której Roxanne nie potrafiła przeczytać, ponieważ była w języku hiszpańskim. Mamusia często zostawiała ją w nocy samą i szła na drugą stronę ulicy do baru Królewski Poker. A gdy tatuś wracał do domu, grał tam w bilard na pieniądze.

Roxanne próbowała sobie przypomnieć, kiedy ostatnio widziała tatusia. Pamiętała swoje pytania o niego, ale zapomniała już, jak brzmiała odpowiedź mamusi. Zaczęła się więc zastanawiać, czy o czymś zapomniała lub czy zrobiła coś źle, ponieważ to by tłumaczyło, dlaczego tatuś wyjechał, a mamusia kazała jej zamieszkać z babcią, której nigdy nie widziała i o której nigdy nawet nie słyszała. W domu Roxanne nie mówiła zbyt wiele — nie zadawała nawet połowy pytań, jakie kłębiły jej się w głowie; w sklepie nie prosiła o słodycze. Niemal zawsze pamiętała o swoich obowiązkach domowych. Prawdę mówiąc, lubiła sprzątać kuchnię po obiedzie. Rankiem przed wyjściem do pani Edison słała łóżko i zamiatała ganek. Gdy wszystkie prace domowe były wykonane, czuła się bezpiecznie.

— JESTEŚMY JUŻ NA MIEJSCU? — zapytała następnego dnia, siedząc w samochodzie.

— Nie dojechałyśmy nawet do Bakersfield.

Roxanne wyobraziła sobie pole pełne pań Edison, które wałkowały i piekły ciasta¹.

— Kiedy dojedziemy do Bakersfield?

— Przestań zadawać tyle pytań, Roxanne, bo przysięgam, że zostawię cię na poboczu.

Przez okno samochodu obserwowała smutny świat, zniszczone budynki, niezabudowane działki budowlane i połamane płoty. W oczy rzucił jej się niemal zupełny brak drzew; widziała

jedynie krzaki, które wyglądały jak wysuszone pająki. Do tego papiery, opakowania po jedzeniu na wynos oraz kubki po kawie leżące przy drodze i wprawiane w ruch przez przejeżdżające samochody i ciężarówki. Jak ona sobie poradzi w takim świecie?

Suchy wiatr naniósł piasku do samochodu i zmierzwił włosy Roxanne tak mocno, że poczuła ból na skórze głowy. Dziewczynka uniosła swój srebrny wiatraczek i patrzyła, jak się kręci z zawrotną prędkością, aż jego kolory się rozmyły. Przypomniała jej się wówczas miła pani Enos. Roxanne zaczęła się zastanawiać, czy nauczycielka zmartwi się, widząc, że nie ma jej w klasie.

Buick, który mama wypożyczyła z pracy, był błyszczący i niemal nowy, ale nie działała w nim klimatyzacja. Gdy mamusia to zauważyła, powiedziała wiele brzydkich słów, których Roxanne nie mogła używać. I tak nie wiedziała, co one oznaczają. Z powodu gorąca gołe nogi Roxanne zaczęły się przyklejać do tapicerki. Wiedziała już, że będzie nieszczęśliwa w Danville. W myślach widziała babcię z zakrzywionym do dołu nosem, który niemal dotykał brody.

— Nie chcę zostać z nią sama.

— Roxanne, mam pracę. Pan Brickman na mnie liczy.

Pan Brickman, kierownik, cały czas dzwonił do mamusi i czasami woził ją w nocy na poważne spotkania biznesowe. Mamusia pracowała jako sekretarka w jego biurze. Zawsze stroiła się do pracy i była podekscytowana każdym rozpoczynającym się dniem. Gdy po południu odbierała Roxanne od pani Edison, jej nastrój ulegał pogorszeniu. Po wejściu do domu od razu otwierała piwo, siadała na kanapie i włączała telewizor.

— A co z moimi zabawkami? — W jej różowym plecaku nie zmieściło się zbyt wiele rzeczy. — A moje książki?

— Babcia ma mnóstwo książek.

To była pierwsza dobra wiadomość.

— A jakich?

— Książki jak książki. Skąd mam wiedzieć?

Roxanne widziała swoją mamę tylko z czasopismem w rękę, a czasami z gazetą.

— Nie lubisz książek.
— Nie lubię, gdy mi się mówi, że jeśli nie będę ich czytać, będę głupia.
— Nie jesteś głupia, mamusiu.
— Bardzo dziękuję.
Matka przyglądała jej się bardzo długo. W pewnym momencie Roxanne zaczęła się nawet obawiać, że spowoduje wypadek samochodowy.

— Czasami nie jestem tego taka pewna — stwierdziła mamusia.

— SZUKAJ DROGOWSKAZU z napisem Visalia.
— Tam jedziemy? Do Visalii?
— Jezu, Rox. Przecież mówiłam ci, że jedziemy do Daneville. Po prostu zjazd znajduje się w pobliżu Visalii.

Mamusia nadepnęła na pedał gazu i wyprzedziła ciężarówkę, którą prowadził mężczyzna w białym słomkowym kapeluszu. Roxanne uśmiechnęła się do niego i pomachała srebrnym wiatraczkiem. Mężczyzna odpowiedział machnięciem dłoni.

Zaryzykowała następne pytanie:

— Dlaczego jej nie lubisz?
— A czy powiedziałaś kiedyś, że jej nie lubię?
— Czy to twoja mama?
— Nie, Jackie Kennedy. A jak myślisz, Roxanne? Jezu.

Mamusia mruknęła coś do siebie pod nosem. Roxanne widziała, jak jej usta się poruszają, ale słyszała jedynie mlaśnięcia językiem i wydychane powietrze. W zimie Roxanne cierpiała z powodu bólu lewego ucha i teraz słabo na nie słyszała.

Mamusia skręciła kierownicę i skierowała samochód do zjazdu.

— Czy to Visalia?
— Jeśli za chwilę nie napiję się coli, stracę przytomność.

Cztery samochody czekały na swoją kolej przy okienku w barze Pajacyk. Cztery plus buick równa się pięć. Roxanne wykonała działanie bez użycia palców. Dodawanie i odejmowanie nie było trudne, jeśli liczby nie były zbyt duże, ale trudności

sprawiało jej mnożenie. Nawet samą nazwę działania trudno było wymówić.

— A co ze szkołą?

— O, babcia na pewno zaprowadzi cię do szkoły. Ma fioła na tym punkcie.

Słowa wypowiedane przez mamę zwiastowały coś dobrego, ale jej ton świadczył o czymś zupełnie innym.

— Czy tatuś wie, że wyjeżdżam do babci?

Twarz mamy nagle zrobiła się purpurowa.

— Myślisz, że to zabawne?

— Co?

— On nie żyje, Roxanne. Pamiętasz? A może masz dziurę w mózgu.

Nie chciała pamiętać płaczu mamusi, rzucania garnkami kuchennymi o ścianę i jej krzyków: „Co, do kurwy nędzy, mam teraz zrobić?”. Później przyszła do nich pani Edison i razem z mamusią wypity whiskey.

— Oni zawsze odchodzą — powiedziała pani Edison. — W ten lub inny sposób.

— Jak umarł?

— Był żołnierzem piechoty morskiej, a oni giną.

Ellen puściła prawą dłonią kierownicę i uniosła długie włosy znad karku.

— Jezu Chryste, nienawidzę tej pieprzonej doliny.

Roxanne wlepiła wzrok w radio samochodowe i przeczytała nazwę znajdującą się na górze: Motorola. W książkach i w telewizji, jeśli tatuś dziewczynki umierał, organizowano pogrzeb i serwowano mnóstwo jedzenia, a dziewczynka płakała i wszyscy byli dla niej mili. Ale z tego, co pamiętała, w jej domu niczego takiego nie było.

— Czy tatuś miał pogrzeb?

— Nie chcę rozmawiać na ten temat. Zapomnij o tym.

Roxanne oparła stopy na siedzeniu i otoczyła kolana ramionami. Jej tatuś zginął, ale ona nie czuła smutku, ani odrobinę. Chciała po prostu zapomnieć.

GDY PONOWNIE wjechały na autostradę, Roxanne poczuła senność. Kiedy się ocknęła, jechały dwupasmową drogą, a po obu stronach ciągnęły się rzędy drzew. Wyglądało to tak, jakby stały na baczność. Próbowwała je policzyć, ale znikwały zbyt szybko i Roxanne dostawała zęza. Przez okno do wnętrza samochodu wpadało pachnące owocami i winem powietrze. Skraj drogi porastały uschnięte i brązowe chwasty, ale za nimi dostrzegła ciemnozielone drzewa, które rzucały długi cień.

— Czy babcia ma hamak?

— A skąd mam wiedzieć? Nie widziałam jej od twoich narodzin.

W tonie głosu mamy dziewczynka wyczuła nutę samotności, ale wiedziała, że lepiej o to nie pytać.

— Myślisz, że mnie polubi?

— Jeśli będziesz się grzecznie zachowywać.

— A co to znaczy?

— Do cholery, Roxanne, daj mi trochę spokoju, trochę powietrza. Duszę się od tych wszystkich pytań. Babcia jest w porządku, może nawet ją polubisz. Jest... zorganizowana, tak jak ty.

Zorganizowana, lubi książki i zależy jej na chodzeniu do szkoły.

— A kiedy po mnie wrócisz?

— Myślisz, że w głowie mam kalendarz?

Roxanne lubiła kalendarze.

— Idę do pierwszej klasy.

— I świetnie sobie tam poradzisz.

— Spotkałam się już z nauczycielką. Nazywa się pani Enos i ma pomarańczowe włosy.

— Roxanne, proszę...

— Powiedziałałam jej, że potrafię czytać przepisy. Wiem, jak się pisze: mleko, masło, jajka i...

— Nie rób mi tego, Rox. — Głos mamy pękł jak płyta chodnikowa przed ich domem. — Ostrzegam, nie przeciągaj struny.

Minęły dom z sąsiadującą wieżą ciśnień, pole, na którym ludzie coś zbierali, stragan pełen owoców, obity od przodu deskami. Roxanne pomachała do chłopca jadącego na koniu obok drogi. Wszystkie pytania, które chciała zadać, połączyły się teraz w jedno wielkie pytanie. Musiała natychmiast je zadać.

— Wrócisz?

Jej matka pochyliła się nad kierownicą, a na jej twarzy pojawił się grymas niezadowolenia.

— Obiecujesz?

— Co?

— Obiecuj, że wrócisz po mnie, abym mogła pójść do pierwszej klasy.

Matka nacisnęła gwałtownie pedał hamulca, skręciła w lewo i wjechała po chodniku na podjazd, wzdłuż którego rosły palmy o grubych pniach, przypominające ogromne ciemnozielone muchomory. Na jego końcu Roxanne zobaczyła dwupiętrowy budynek z kamienia i drewna ze szpiczastym dachem i szerokim gankiem, a otaczało go tak wiele drzew, że dostrzegła zaledwie trzy bądź cztery okna. Po jednej stronie stała wieża ciśnień, po drugiej długa niska szopa, która sprawiała, że dom wydawał się większy. Obok niej stała stara ciężarówka oraz mnóstwo zardzewiałych maszyn.

Nic nie wyglądało znajomo ani zwyczajnie, nic nie wydawało się bezpieczne.

— Obiecujesz, mamusiu?

Nazwa miasta w tłumaczeniu na język polski oznacza „pole piekarzy”. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki). [\[wróć\]](#)

ROZDZIAŁ 3

Lipiec 2009

Roxanne wypila drugą filiżankę kawy, przeglądając jednocześnie listę rzeczy do zrobienia, która wisiała na drzwiach lodówki obok zdjęć jej siostry Simone w otoczeniu rodziny. Na liście tej ponad połowa podpunktów została skreślona — zrobione, załatwione — ale ona skoncentrowała się na tych pozostałych. W sypialni oraz przy lustrze w łazience znajdowały się podobne listy. Przed wyjazdem na lotnisko musiała z Tyem załatwić mnóstwo rzeczy. Listy, kalendarze, zegary; polegała na nich, ponieważ pomagały jej przejść przez życie. A jeśli Ty zdobędzie pracę w Chicago, będzie się to wiązało z koniecznością sporządzenia kolejnych list. Nawet listy będą uporządkowane za pomocą list, tak aby się nie pogubiła.

Turkusowa emaliowana misa, w której piętrzyły się nektarynki, stała na kuchennym blacie w parterowym domku na Little Goldfinch Street. Za dzień bądź dwa owoce dojrzeją, ale ona z Tyem nie będą mogli się nimi delectować. W drodze na spotkanie zabierze więc owoce do szkoły. Gdyby zostawiła je na blacie na cały weekend, zepsułyby się, a po wstawieniu do lodówki straciłyby smak. Roxanne starała się nie marnować niczego.

Choć dochodziła dopiero ósma rano, lipcowe powietrze było już gorące i można było wyczuć w nim nadchodzącą sierpniową wilgoć. Roxanne, nadal w szlafroku, stała bosą z ołówkiem wsuniętym za ucho. Chowder, rodzinny obibok, rozłożył się na kuchennej podłodze i sapał zadowolony z siebie po długim spacerze.

Roxanne nieco się zdenerwowała, gdy Ty poszedł pobiegać

tego ranka, pomimo że mieli wiele rzeczy do załatwienia. Włożył stare spodenki oraz T-shirt z emblematem MIT, który po tysiącu praniach stał się cienki i przeszedł jego zapachem. Jego zdezelowane buty do biegania kupione były zaledwie przed czterema miesiącami, ale pokonały już setki kilometrów. Ty był wysoki i miał szczupłe ciało biegacza, był przystojny, a do tego wyglądał na sympatycznego człowieka. Miał wyraziste rysy, dzięki którym z wiekiem stawał się coraz bardziej atrakcyjny. Kiedy Elizabeth, najlepsza przyjaciółka Roxanne, go poznała, stwierdziła, że gdy Tyowi stuknie pięćdziesiątka, Roxanne będzie musiała odpędzać konkurencję kijem.

Ty wskazał na okno w kuchni.

— Wrócił nasz przyjaciel.

Miał na myśli kolibra o zielonym opalizującym upierzeniu, który zanurzał swój szpiczasty dziób w kielichu czerwonej brugmansji, aby po chwili wychylić się z warstwą złotego pyłu na czubku głowy. Przez chwilę Roxanne próbowała wyobrazić sobie, że mieszkają w mieszkaniu w Chicago, zwanym Wietrznym Miastem. W mieście, które za sprawą opracowanego w skórę tomiku poezji Carla Sandburga, należącego do jej babci, zawsze będzie uważała za Rzeźnika Świata¹. Żadnych roślin ogrodowych, żadnych pokrytych pyłkiem kwiatowym kolibrów.

Myśl o przeprowadzce nie wprawiała jej w wesoły nastrój, więc zepchnęła ją w zakamarki świadomości opatrzone etykietką PÓŹNIEJ. Za kilka godzin razem z Tyem wejdą na pokład samolotu lecącego do Chicago, gdzie Tya czeka rozmowa kwalifikacyjna na stanowisko starszego wykładowcy na tamtejszym uniwersytecie. Od miesiąca starała się pogodzić z perspektywą diametralnej zmiany w swoim życiu, ale jak dotąd bez powodzenia. Ty był pewien, że otrzyma tę pracę, a jeśli mu się to uda, sprawy, które odłożyła na PÓŹNIEJ, staną się rzeczywistością, a to oznaczało kłopoty.

— Przekąsimy coś na lotnisku? — zapytał Ty. — Wiem, że nigdy nie przepuścisz okazji, aby zjeść coś niezdrowego.

Tamtego ranka nie bawiły jej żarty, których była głównym

tematem. No i co z tego, że najbardziej smakowała jej niezdrowa kuchnia? Nie każdy miał tyle szczęścia, aby mieć matkę, która codziennie gotowała obiad, wykorzystując do tego wszystkie grupy produktów.

— Zabierzesz Chowdera do hotelu dla zwierząt?

Usłyszała swój głos — rzeczowy, racjonalny, nieco chłodny — i zapragnęła cofnąć czas i ponownie zadać to pytanie. Zdawała sobie sprawę, że jej zachowanie może innym działać na nerwy, ale im bardziej zbliżała się chwila wyjazdu, tym trudniej było jej ukrywać niepokój. Zdrowy rozsądek podpowiadał, że dowcipna uwaga Tya na temat jej preferencji kulinarnych nie była zamierzoną krytyką, ale byli małżeństwem niecały rok, a ona nie przywykła do przekomarzania się, nawet jeśli stanowiło ono oznakę miłości.

Przyłożyła dłoń do jego czoła.

— Przepraszam, kochanie, jestem po prostu zdenerwowana. Rada pedagogiczna powinna zakończyć się przed pierwszą, ale gdy w grę wchodzi sala wypełniona nauczycielami... sprawy mogą się przeciągnąć. Możemy w ogóle nie mieć czasu na obiad.

Roxanne od ponad dziesięciu lat uczyła w gimnazjum Balboa. Wiedziała, że dyrektor Mitch Stoddard zrozumiałby, gdyby jej nie było, ale nie lubiła opuszczać rad, zwłaszcza takich, na których prezentowano nowo przyjętych, ludzie starali się zrobić dobre pierwsze wrażenie oraz ogłaszano nowe przepisy i zasady postępowania.

— Nie ma problemu — powiedział Ty. — Zabiorę Chow do laboratorium i po pracy podrzucę go do hotelu dla psów. Nie denerwuj się, Roxy. Wszystko będzie w porządku.

— Łatwo ci mówić.

— W Chicago mnie pokochają. Pokochają też ciebie. Będą nas błagać, abyśmy dołączyli do ich elitarnego wydziału. Będziemy jak król i królowa balu. — Objął ją ramieniem. — Zaufaj mi, nawet jeśli nas znienawidzą, to i tak nie będzie miało znaczenia.

— Wręcz przeciwnie. Marzysz o tej pracy.

— Zgadza się, ale przecież w Salk krzywda mi się nie dzieje.
„Skoro nie jesteś nieszczęśliwy, po co lecimy na drugi koniec kraju na rozmowę kwalifikacyjną?” — pytanie cisnęło się Roxanne na usta. Ty od ośmiu lat pracowałeś jako laborant w Salk Institute. Kochałeś swoją pracę i był w niej dobry, ale pewnego dnia stwierdził, że jest gotowy na zmiany. Posada w Chicago wiązała się z objęciem profesury oraz szansą na kontynuację prowadzonych przez niego badań w kierunku nowych antybiotyków, z pełnym wsparciem naukowym i materialnym chicagowskiego uniwersytetu. Mógł trywializować weekendowe rozmowy o pracę, spotkania oraz uroczyste kolacje, których najbardziej bała się Roxanne, ale ona знаła prawdę. Gdyby okazało się, że dał z siebie wszystko podczas tych rozmów i nie otrzymał pracy, byłby bardzo rozczarowany. Przed Elizabeth przyznała się, że gdyby ją o to poprosił, poleciałaby z nim na Marsa.

Nadal jednak nie czuła entuzjazmu na myśl, że będzie musiała opuścić San Diego, zostawić swoją pracę i przyjaciół. Oraz siostrę. Przede wszystkim nie chciała zostawiać Simone.

— O czym mam rozmawiać z tymi ludźmi, Ty? Pomyślą, że ożeniłeś się z ptasim mózdzkiem. Nie znam się w ogóle na biologii...

— Cholera! Dlaczego wcześniej mi tego nie powiedziałaś? Potrafił ją rozśmieszyć i sprawić, że dręczące ją wątpliwości oraz lęki wydawały się nieistotne.

— Po prostu bądź sobą, Roxy. Martwię się jedynie tym, że zapomnisz o oddychaniu. Jesteś podobna do naszego przyjaciela kolibra. Nie potrafisz się zrelaksować.

Nie lubiła być porównywana do ptaka.

Nagle z radia, które do tej pory grało jedynie w tle, mrużąc do siebie znad lodówki, dobiegło ją nazwisko siostry. Zrobiła więc głośniej.

— Zapewne teraz Simone i Johnny Duran zastanawiają się, dlaczego zdecydowali się na dzieci — powiedział prezenter.

— Dawaj płaczące bachory! — krzyknął gderliwy

współprowadzący audycję i zawodzenie kilkorga dzieci wypełniło kuchnię.

— Boże, ale ten facet jest irytujący — stwierdził Ty i nieco przyciszył radio.

— Wczoraj w San Diego policja odebrała zgłoszenie dziewczynki, która powiedziała, że matka próbuje utopić jej siostrę w basenie. Do zdarzenia doszło w rezydencji Duranów.

— Muszę tam jechać! — krzyknęła Roxanne.

— Włącz syreny.

Chowder podniósł głowę i rozejrzał się wokoło. Za dwie sekundy zacznie wyc.

— Wygląda na to, że dzień wcześniej dzieciaki nauczyły się numeru telefonu alarmowego...

Roxanne ruszyła do sypialni, zrzucając po drodze szlafrok. Otworzyła szafę i z wieszaków ściągnęła koszulę oraz spodnie.

— Pewnie nic takiego się nie stało, ale muszę to sprawdzić. Simone ma po prostu gorszy dzień.

— A co z radą pedagogiczną? — Ty stanął w drzwiach sypialni i patrzył, jak jego żona się ubiera. — Mam zadzwonić do Mitcha?

— Powiedz mu, że pojechałam do Simone. Będzie wiedział, o co chodzi.

Do tej pory pewnie połowa mieszkańców San Diego słyszała już tę nowinę.

* * *

DZIEŃ PO TYM, jak Merell Duran zachowała się niegrzecznie i sprowadziła do domu policję, dziewczynka zaszyła się z *Harrym Potterem* w swojej kryjówce pomiędzy domkiem nad basenem a kępą wysokiej trawy. Niania Franny zabrała bliźniaczki i małą Olivię do parku. Merell tysiące razy uczestniczyła w takich spacerach, więc wiedziała, że sama utknęłaby przy huśtawkach z bliźniaczkami, a niania Franny próbowałaby uspokoić Olivię, która cierpiała na refluks żołądkowo-przełykowy i nieustannie płakała. A właściwie wrzeszczała.

Merell już po raz trzeci czytała *Harry'ego Pottera i Zakon*

Feniksa i za każdym razem książka podobała jej się jeszcze bardziej. Jednak dzisiaj nie potrafiła się nad nią skupić i słowa rozmywały się na stronie. Nieustannie wracała myślami do poprzedniego dnia: kamery, policja oraz kłamstwa wypowiedane przez wszystkich wokoło i notowane przez policjantów, jakby były prawdą. Świadomość, że uważali, iż była na tyle głupia, aby zadzwonić na policję z byle powodu, wywoływała w niej gniew. Poprzedniego wieczoru jej ojciec, niania Franny oraz babcia Ellen rozmawiali do późna. Merell siedziała na schodach i próbowała coś podsłuchać. Jednak w pewnym momencie tatuś wyszedł z gabinetu i kazał jej pójść do łóżka. Powiedział, że jutro z nią porozmawiają. Ale nadszedł kolejny dzień, ojciec pojechał do pracy i nikt nie zamienił z nią ani słowa.

Zastanawiała się, czy mamusia jest na nią zła z powodu jej wczorajszego zachowania. Na pewno rozgniewała pozostałych. Podczas śniadania babcia Ellen posłała jej takie spojrzenie, że gdyby była czarodziejką, zamieniłaby Merell w żabę.

Zamknęła książkę, weszła do domu i wspięła się po schodach na piętro. To nie była najlepsza pora, aby przypominać mamie o złożonej obietnicy, ale jeśli będzie czekać na właściwy moment, zestarzeje się.

Merell Duran jeszcze nie skończyła dziewięciu lat, ale już zdawała sobie sprawę z tego, że nie była tak piękna jak jej mama ani tak słodka jak bliźniaczki. Swoje braki nadrabiała jednak inteligencją; była nawet mądrzejsza od matki, co — tak uważała — nie było w porządku. Merell miała długie i chude ramiona i nogi, a łokcie i kolana były tak kościste, że równie dobrze mogły należeć do chłopaka. Jej brązowe włosy w błotnistym odcieniu wyglądały zwyczajnie, a co gorsza, z tyłu głowy w trzech miejscach układały się w taki sposób, że każda osoba stojąca za nią mogła dostrzec prześwitującą różową skórę. Koniuszek nosa skierowany był lekko na bok, a gdy przed lustrem uśmiechała się do siebie, jej twarz wyglądała koślawo. Unikała więc luster na tyle, na ile mogła. Tatuś twierdził, że jest cudowna, ale ona wiedziała, że nie mówił prawdy.

Kwestia szczerości i kłamstw wprawiała Merell w zakłopotanie i jednocześnie budziła jej zainteresowanie; była niemal równie frapująca jak grawitacja i seks.

Zacisnęła dłoń na klamce drzwi prowadzących do sypialni matki, ostrożnie je otworzyła i weszła do pomieszczenia, w którym panował półmrok. Już jakiś czas temu nauczyła się wślizgiwania do pokoju i znikania w zacienionych kątach, przez co stawała się prawie niewidzialna. Dorośli nie lubili, gdy wpadała do nich i zaczynała mówić. Lepszym rozwiązaniem było ciche wejście i przycupnięcie obok drzwi, tak jak teraz, z dala od światła, nieco za krzesłem. Na drugim końcu dużej sypialni przykryta niebieską kołdrą i wsparta na kilku poduszkach leżała jej mama. Wokół niej porozrzucane były magazyny o modzie i gazety plotkarskie. Rolety zostały opuszczone, więc w pokoju panowała ciemność, nie licząc pasma światła sączącego się z garderoby. Klimatyzator został ustawiony na tak niską temperaturę, że Merell poczuła, jak na jej skórze tworzy się gęsia skórka. W pokoju brzydko pachniało. Gdy pojawiali się niemili ludzie, mama stawała się nieszczęśliwa, a gdy była nieszczęśliwa, nie kąpała się i prawie nigdy nie myła włosów, chyba że ciocia Roxanne lub babcia Ellen jej w tym pomagały.

Na początku miesiąca mama miała wiele dobrych dni i Merell prawie zapomniała, co się dzieje, gdy niemili ludzie pojawiali się w głowie mamy. Jeszcze w poprzednim tygodniu humor dopisywał jej na tyle, że pomogła Celi składać duże prześcieradło na gumce, a gdy opróżniała zmywarę, śpiewała alfabet razem z bliźniaczkami, celowo zamieniając kolejność liter, co Merell nie wydawało się zbyt dobrym pomysłem. Na początku tygodnia mamusia i niania Franny zabrały Merell oraz jej siostry do zoo, a następnie na obiad do Wielkiego Złego Kota, gdzie mamusia wręczyła DJ-owi napiwek w wysokości dwudziestu dolarów, prosząc o puszczenie piosenki *Chantilly Lace*. Następnie poprosiła jednego z kelnerów do tańca. Sunęli pomiędzy stolikami, a pozostali pracownicy stali wokoło, żując gumę, i klaskali w dłonie w rytm muzyki. Kiedy piosenka umilkła, wszyscy wiwatowali, a mamusia ukloniła się jak księżniczka. Po raz

pierwszy Merell widziała, aby jakaś mama tańczyła w Wielkim Złym Kocie. Gdy teraz wspominała to wydarzenie, zrozumiała, że takie zachowanie mogło być zapowiedzią powrotu niemiłych ludzi.

Merell badała nastroje matki niczym żeglarz obserwujący zmarszczki na wodzie wywoływane przez wiatr. Nie musiała jej widzieć, aby wiedzieć, jak ona się czuje. Powietrze w domu wibrowało od jej nastrojów.

— Dlaczego tak stoisz? — Mamusia uniosła się lekko na łóżku i zsunęła czarną satynową przepaskę z oczu. Jej oczy były zaczerwienione, opuchnięte i zlepione żółtą skorupą. — Wiesz, że nienawidzę, gdy tak stoisz nade mną.

— Spałaś?

— Czy wyglądam, jakbym spała?

— Przepraszam. — Merell wiedziała, że pomimo iż jej matka spędzała wiele godzin, a często nawet dni w łóżku, rzadko kiedy udawało jej się zasnąć. — Mamusiu, myślałam o...

— Merell, boli mnie głowa.

— Myślałam o szkole. — Odczekała chwilę, mając nadzieję, że mama sama sobie o tym przypomni. — Tak się zastanawiałam... Pamiętasz, że w tym roku będę już w czwartej klasie?

— I co z tego?

— Zapomniałaś? — Mówiła cicho, ponieważ mamusia miała wrażliwy słuch.

— Powiesz w końcu, o co ci chodzi, Merell?

— Obiecałaś, że pójdziemy na zakupy. — We wrześniu Merell miała rozpocząć naukę w czwartej klasie w Arcadia Upper Primary i potrzebny był jej nowy mundurek, ponieważ dziewczynki w starszych klasach nie ubierały się jak maluchy z nauczania początkowego. — Powiedziałaś, że weźmiemy taksówkę.

W tej samej chwili Merell zdała sobie sprawę, że nigdy tak naprawdę nie wierzyła, iż mamusia zabierze ją do Macy's i będzie chodziła po zatłoczonym sklepie, zachowując się jak inne mamy. I choć to ją rozczarowało, nie była zła, ponieważ wiedziała, że

mama nigdy umyślnie nie łamała danych obietnic. Po prostu nie miała nad tym kontroli.

— Mam dzisiaj w głowie niemiłych ludzi, Merell. Nie mogę nic robić.

Merell pamiętała dawne piękne czasy, gdy nie zdawała sobie jeszcze sprawy z istnienia niemiłych ludzi. Bliźniaczki leżały wówczas w kołyskach i miały własną nianię, a ona spędzała wiele godzin w sypialni rodziców, gdzie razem z mamą bawiły się w różne gry i oglądały książeczki z obrazkami. Czasami udawały piratów z Karaibów. Mamusia wyciągała na łóżko całą biżuterię: kolczyki, naszyjniki, pierścionki i bransoletki, jednym słowem wszystkie błyskotki, a potem chowała je pod kołdrę i poduszki, do poszewek, pomiędzy materac a prześcieradło. Następnie zasłaniały oczy chustami i naśladując piratów, szukały skarbów, a gdy gra dobiegała końca, ozdabiały się zdobytymi łupami.

Pewnego dnia mamusia znalazła swoją suknię ślubną, schowaną w pudle na najwyższej półce w szafie, i pozwoliła Merell ją przymierzyć, dopasowując rozmiar za pomocą agrafek. Mamusia natomiast włożyła specjalny garnitur zwany smokingiem i zapięła spodnie na szelki.

— Jesteś księżniczką — powiedziała mama tamtego dnia. — Dziś nadszedł dzień twojego ślubu i najważniejsze osoby z całego królestwa przyjechały, aby podziwiać twoją urodę.

Włączyła ckiwą muzykę, lekko się ukloniła i wzięła Merell na rękę.

— Czy zatańczysz ze mną, moja piękna panno młoda?

Merell do końca życia będzie pamiętać, jak cudownie błyszcząły oczy mamy, gdy przytulały się do siebie. Nie mogły poruszać się w tańcu, ponieważ sukienka była zbyt duża, a welon zbyt długi i wszystko plątało się wokół nich. Stały więc w jednym miejscu przytulone do siebie i kołysały się w rytm muzyki.

— Kocham cię — szeptała mamusia z ustami przy uchu Merell. — Kocham cię. Będę cię kochać do końca życia, moja piękna dziewczynko. Moja żono.

NIEDŁUGO PO TYM Merell po raz pierwszy była

świadkiem przybycia niemiłych ludzi. W kolejnych miesiącach i latach pojawiali się i znikali wedle tylko sobie znanego planu, zajmując miejsce w głowie matki na kilka godzin, dni lub tygodni. Pewnego razu Merell odgarnęła włosy mamy do tyłu i zajrzała do jej uszu, mając nadzieję, że ujrzy jednego z tych małych potworów. Oczywiście teraz już wiedziała, że mali niemili ludzie tak naprawdę nie istnieją i mamusia cierpiała po prostu na depresję. Lecz „depresja” była takim samym słowem jak „smutny” lub „samotny”, więc nie rozumiała, dlaczego miało ono aż taką moc. Dlatego nadal wyobrażała sobie, że mama została opętana przez małe, złośliwe stworzenia, których jedynym celem było wprowadzenie jej w smutny nastrój. Po urodzeniu Olivii niemili ludzie prawie w ogóle nie odchodzili. Merell zastanawiała się, czy jest jedyną osobą z całej rodziny, która dostrzega, że wyrządzają oni krzywdę mamusi i sprawiają, że choruje.

— Kiedy zaczyna się szkoła?

Merell odpowiedziała, że w szkołach publicznych nauka rozpoczyna się zaraz po Święcie Pracy, które przypada w pierwszy poniedziałek września, a w Arcadia Academy tydzień później.

— Nadal jest lipiec, prawda? Mamy więc mnóstwo czasu.

— Dobrze, mamusiu. Rozumiem.

Simone położyła się i ponownie zamknęła oczy.

— Jesteś bardzo grzeczną dziewczynką, Merell. Żałuję, że nie mogę...

Mama Merell spędzała w łóżku tyle samo czasu, co mała Olivia. Niania Franny powiedziała, że dzieci muszą dużo spać, ponieważ ich mózgi rosną.

— Mamusiu. — Merell zrobiła niepewny krok w kierunku łóżka. — Czy twój mózg rośnie?

— Chryste, nie. Z każdym dniem się kurczy. — Ruchem ręki dała Merell znak, aby odeszła. — Idź już...

W tym samym momencie bez pukania weszła babcia Ellen.

— Przyjechała twoja siostra.

— Cholera — odparła mama.

Merell odsunęła się od łóżka i podeszła do okna, z którego

zwisiały grube zasłony upięte przy ścianie.

— Widziałam, jak wjeżdżała przez bramę — dodała babcia Ellen.

— Nie mam ochoty z nią rozmawiać.

Mamusia kochała ciocię Roxanne najbardziej na świecie, ale niemili ludzie sprawiali, że mówiła rzeczy, które nie były prawdą.

— Czego ode mnie chce?

— A jak myślisz? Pewnie słyszała wiadomości, podobnie jak pozostali mieszkańcy miasta.

Mamusia wydała z siebie jęk i zakryła głowę kołdrą.

— Powiedz, aby wróciła, gdy spadnie śnieg.

— Bardzo zabawne. Chyba nie masz wyjścia. Wiesz, jaka twoja siostra potrafi być uparta.

— Powiedz jej, że przeprowadziłam się do Chin.

— Ona cię kocha, Simone. Na pewno się martwi, jak my wszyscy... — babcia Ellen przerwała.

Ciocia Roxanne stała w progu sypialni.

— Kto się przeprowadza do Chin?

Ciocia ucałowała babcię w policzek.

— Mogłabyś zapukać. Albo użyć dzwonka.

— Gdybym to zrobiła, udawałabyś, że śpisz.

Babcia Ellen zaczęła się tłumaczyć, ale ciocia Roxanne uniosła dłoń niczym policjant.

— Chcę usłyszeć prawdę, kochani. Co się wczoraj wydarzyło?

Mówiła zasadniczym nauczycielskim tonem i stała wyprostowana, emanując pewnością siebie. Merell pomyślała wówczas, że niełatwo będzie ją pokonać.

Mamusia odrzuciła kołdrę i jęcząc, jakby cierpiała z powodu bólu brzucha, usiadła na brzegu łóżka. Miała na sobie biustonosz i majtki, a jej skóra przybrała barwę chudego mleka.

— Nic się nie stało. Kąpałam się w basenie z Olivią i wywinęła mi się z rąk. To wszystko. Mała płakała i wykręcała się na wszystkie strony. Wiesz, jaka ona jest.

Może ciocia Roxanne zapomniała, że mała Olivia cierpiała

na refluks żołądkowo-przełykowy i często odczuwała ból. Lekarz stwierdził, że z tego wyrośnie, ale płakała już od ośmiu miesięcy i nie zanosilo się na to, aby miała przestać.

— To nie była niczyja wina, zaszło po prostu straszne nieporozumienie. — Babcia Ellen uniosła ręce. — Mówiąc szczerze, nigdy nie widziałam takiej burzy w szklance wody.

— Merell, co ty masz do powiedzenia na ten temat? Zadzwońska na policję.

Choć dziewczynka stanęła w mroku, ciocia Roxanne od razu ją dostrzegła. Spojrzała jej prosto w oczy, zanim siostrzenica zdążyła odwrócić wzrok.

— Dlaczego to zrobiłaś?

— Niania Franny nauczyła je numeru alarmowego i panna Merell postanowiła go wypróbować.

— Tak było, Merell?

Dziewczynka zaczęła się zastanawiać, czy kiedyś wypowiedanie kłamstw będzie przychodziło jej z podobną łatwością jak mamie i babci. Teraz mówienie nieprawdy sprawiało jej ból. Miała wrażenie, że mnóstwo grubych opasek zaciska się wokół jej klatki piersiowej. Pomimo to pokiwała głową, potwierdzając słowa babci. Po chwili niezauważona wymknęła się z sypialni.

* * *

ELLEN VADIS stanęła w drzwiach pokoju Merell i obserwowała swoją wnuczkę. Dziewczynka stała przy oknie wychodzącym na ogród oraz tarasy prowadzące do basenu.

— Merell, chciałabym z tobą porozmawiać.

Ellen rozmyślała, co się dzieje w bystrym dziecięcym umyśle Merell, jaką formę przybrały wczorajsze wydarzenia w jej głowie. Roxanne była mądrym dzieckiem o głębokim wnętrzu, ale w porównaniu z nią Merell przypominała Rów Mariański. Ellen naprawdę obawiała się rozmowy, którą poprzedniego wieczoru kazał jej przeprowadzić Johnny. Pewnie gdyby znalazł się na jej miejscu, przed rozpoczęciem wyjaśnień przytuliłby mocno córkę, aby zmiękczyć nieco jej opór. Jednak Ellen nigdy nie potrafiła

okazywać uczuć w ten sposób. Jeśli nie była w stanie robić tego w stosunku do Simone i Roxanne, ta mała dziewczynka tym bardziej nie zdoła stopić lodu w jej sercu.

Merell zachwiała poczuciem pewności Ellen od dnia, gdy zaczęła wypowiadać pierwsze zdania. Wiedziała zbyt wiele, czytała za dużo książek i przysłuchiwała się zbyt wielu rozmowom prowadzonym przez dorosłych, skrywając się w cieniu i słuchając rzeczy, które nie były przeznaczone dla uszu dziecka. Gdyby odbycie tej pogadanki nie było absolutnie konieczne, Ellen odwróciłaby się na pięcie i wyszła z pokoju.

— Merell — powtórzyła.

Dziewczynka odwróciła się i przez ułamek sekundy Ellen ujrzała w twarzy wnuczki pospolite i mocne rysy swojej matki. Nagle ponownie stała się dzieckiem, które wierciło czubkami butów w podłodze podczas wysłuchiwania upomnień. Merell miała takie same wąskie i proste plecy, szerokie ramiona oraz włosy w nijakim kolorze. Jej kolana były kościste, ręce długie, a dłonie duże. Wszystko to wskazywało, że będzie wysoką kobietą. Matka Ellen miała prawie metr osiemdziesiąt wzrostu.

— Chciałabym porozmawiać z tobą o wczorajszych wydarzeniach — powiedziała Ellen. — Musisz zrozumieć pewne rzeczy.

— Mamusia jest chora. Wiem o tym.

— Nie jest chora — odpowiedziała automatycznie Ellen, nie biorąc pod uwagę bardziej skomplikowanego wyjaśnienia. Bez względu na to, jak bystra była Merell, nadal pozostawała dzieckiem. — Mamusia jest po prostu smutna. Wszyscy czasami odczuwamy smutek. Ale te smutne okresy mijają. Wiesz, że zawsze tak jest. To nie jest choroba.

— Jej głowa jest chora. Czytałam o tym w Internecie. Ta choroba nazywa się... — Merell spojrzała w prawo, zagryzając dolną wargę. — Porodowa depresja? Albo jakoś inaczej.

— Depresja poporodowa.

— O właśnie. Pojawia się, gdy ktoś urodzi dzieci.

Bez względu na nazwę — depresja kliniczna, zaburzenie

depresyjne czy też depresja poporodowa — Ellen nie zamierzała rozmawiać o tym z dziewięcioletnią dziewczynką.

— W Internecie było napisane, że istnieje lekarstwo na tę chorobę.

„Gdyby to było takie proste” — pomyślała Ellen.

Kiedy Simone była nastolatką, Ellen zaprowadziła ją do psychiatry, który przepisał jej leki antydepresyjne. Niestety pojawiły się działania niepożądane, a do tego Simone nie pamiętała, aby regularnie je zażywać. W końcu Ellen przestała chodzić po recepty. W tamtym okresie była żoną BJ-a Vadisa i nie chciała burzyć rodzinnej harmonii rozmyślaniami i rozmowami o problemach Simone. Po urodzeniu Merell, gdy Simone przechodziła przez jedno poronienie za drugim i pogrążała się w depresji, ponownie zaczęła przyjmować lekarstwa, ale z jakiegoś nieznanego Ellen powodu za drugim razem też nie zdały one egzaminu.

— Mama chciała skrzywdzić Olivię — powiedziała Merell.

— Bzdury! — Prawda wypowiedziana z tak niezachwianą szczerością brzmiała jeszcze gorzej. — Mama kocha Olivię. Nie możesz mówić takich niedorzeczności.

— A więc dlaczego...

— Wiem, że jesteś inteligentna, Merell, ale to są sprawy dorosłych. I muszą one pozostać między nimi. Nie możesz powiedzieć cioci, co się wydarzyło. Ani ojcu. To będzie tajemnica pomiędzy kobietami w naszej rodzinie.

— Franny nie należy do rodziny.

— Wiesz, co mam na myśli.

— A więc ciocia Roxanne nie jest już częścią naszej rodziny?

— Nie możesz nikomu powiedzieć, Merell.

— Dlaczego?

— Znasz odpowiedź na to pytanie równie dobrze jak ja.

A może nie znała. Łatwo było zapomnieć, że była jeszcze małym dzieckiem. Pomimo wrodzonej inteligencji i spostrzegawczości oraz możliwości, jakie dawał Internet, nadal miała tylko dziewięć lat.

— Chodź do mnie. Chcę ci coś powiedzieć.

Merell spełniła polecenie, ale idąc, powłóczyła nogami. Ellen złapała dłonie wnuczki. Gest ten wydawał jej się dziwny i nienaturalny, z drugiej strony musiała to zrobić, by podkreślić wagę swoich słów.

— Jesteś przekonana, że dzwoniąc wczoraj na policję, postąpiłaś dobrze. Ale bez względu na to, co twoim zdaniem się tam zdarzyło, nie miałaś racji.

— Mamusia chciała skrzywdzić Olivię.

— Przestań to powtarzać.

Merell cofnęła gwałtownie dłonie i wsunęła je pod pachy.

— Jesteś jeszcze dzieckiem i nie rozumiesz pewnych rzeczy. Ludzie są skomplikowani i czasami sprawy wyglądają inaczej, niż nam się wydaje na pierwszy rzut oka. Mama kocha was wszystkie. Ale co się stało... już się nie odstanie. Zrozumiesz moje słowa, gdy dorośniesz.

Merell wbiła wzrok w bose stopy i podkurczone do środka palce.

— Gdyby ci policjanci nie byli mili i nie posłuchali tego, co Franny i ja miałyśmy do powiedzenia, twoja mama mogła zostać aresztowana.

„W tym momencie każde inne dziecko rozplakałoby się” — pomyślała Ellen. Ale nie Merell, która zachowywała się z taką samą wyniosłą rezerwą jak jej prababcia.

— Wyobraź sobie, co by się stało, gdyby mama została zabrana przez policję i wsadzona za kratki. — Co jeszcze ma powiedzieć, aby wnuczka poczuła należyte wyrzuty sumienia i nieco zdrowego wstydu? — A gdyby mamę aresztowano, mogłoby się to skończyć umieszczeniem ciebie i twoich sióstr w rodzinie zastępczej.

— Tatuś by na to nie pozwolił.

Pewnie nie. Jednak pojawiłyby się problemy natury społecznej i prawnej, z którymi nawet tak zamożny mężczyzna z koneksjami jak Johnny Duran mógłby sobie nie poradzić.

Ellen niemal przez całą noc zastanawiała się, czy powinna

powiedzieć mu prawdę. Z jednej strony, miał prawo wiedzieć, co się rzeczywiście wydarzyło, ale z drugiej, Johnny lepiej radził sobie z konkretnymi sprawami: z cegłami i deskami, pozwoleniami, służebnościami przejazdu i umowami. Gdyby poznał prawdziwy przebieg wydarzeń, nie wiadomo, jak by to przyjął. Zięć Ellen łatwo wpadał w złość i potrafił być złośliwy, więc oboje woleliby tego uniknąć.

Ellen nigdy z własnej woli nie zamieszkałaby z rodziną córki, ale trzy lata wcześniej podczas spotkania pośredników i agentów nieruchomości BJ Vadis padł martwy na jej oczach i wszystko się zmieniło. BJ był wielką miłością jej życia, poznali się dość późno, ale mimo to więź, która ich połączyła, okazała się niezwykle mocna. Po jego odejściu puste pokoje i posiłki spożywane w ciszy, bezsenne noce oraz długie, beczynne dni wytrąciły ją z równowagi. Nie mogła pracować, więc sprzedała firmę. Wraz z zerwaniem ostatniej nici łączącej z mężem ogarnął ją jeszcze większy smutek. Johnny zaproponował jej wybudowanie eleganckiego mieszkania nad nowym garażem, który zaprojektował dla swoich zabytkowych samochodów. Nigdy nie powiedział tego na głos, ale Ellen zdawała sobie sprawę, że jest to transakcja wiązana. W zamian za dach nad głową miała sprawić, aby życie rodzinne przebiegało bez komplikacji.

Nie musiała przyjmować jego oferty. Pomimo kryzysu ekonomicznego oraz zastoju na rynku nieruchomości miała mnóstwo pieniędzy. Teoretycznie mogła zamieszkać w dowolnym miejscu na ziemi, ale wystarczyła jedna wycieczka, na którą wybrała się w pojedynkę — rozpaczliwy rejs na Galapagos — aby zrozumiała, że odległość nie zapewnia ucieczki od smutku. Gdziekolwiek by pojechała, będzie się czuła samotnie.

Poprzedniego wieczoru Ellen opowiedziała Johnny'emu wersję wydarzeń, którą ustaliła wraz z Franny. Simone nie miała wyboru i musiała na wszystko przystać. Według ich relacji Simone kąpała się w basenie razem z Olivią i nagle dziecko wykręciło się i wypadło jej z rąk. Minęło kilka sekund, zanim niania Franny wyłowiła je z wody, więc Merell miała pretekst, aby przetestować

numer alarmowy. Nie był to kawał, lecz coś na kształt eksperymentu.

Johnny nie stracił panowania nad sobą. Zamiast tego warknął, odgrazając się, że „później zajmie się Merell”, a potem zadzwonił do domu komendanta policji. Grywali razem w tenisa i wyglądało na to, że komendant nie miał nic przeciwko, aby Johnny kontaktował się z nim w porze obiadowej. Ellen usłyszała, jak podczas rozmowy zięć wspomniał o „przemądrzałych małych dziewczynkach”. Koniec końców komendant obiecał pozbyć się dokumentów, ale zanim się tym zajął, ktoś na posterunku powiadomił autora policyjnego bloga. W ten sposób wiadomość trafiła do mediów i od siódmej rano rozdzwoniły się telefony. Przed wyjściem do pracy Johnny wyraził się jasno — nikt nie mógł podnieść słuchawki, chyba że na sekretarce odezwie się jego głos. Ellen mogła jednak odsłuchiwać wiadomości pozostawione przez dziennikarzy i dzięki temu zyskała pewność, że niczego nie wiedzą. Szukali po prostu jakiejś informacji. Niedługo zamieszanie ucichnie. W tak dużym mieście jak San Diego nieustannie pojawiały się historie, które przyciągały uwagę opinii publicznej.

— Merell, to, co zrobiłaś, było błędem, ale na szczęście nic poważnego się nie stało. Musisz obiecać, że nie będziesz nikomu o tym opowiadać. Ani ojcu, ani cioci.

— Bóg powiedział Mojżeszowi, że kłamstwo to grzech. Słyszałam to na History Channel.

— Ale my nie kłamiemy. Po prostu pomijamy pewne szczegóły.

— Powiedziałam policji, że zadzwoniłam, aby sprawdzić, co się stanie. A to jest kłamstwo.

— Obiecuj, Merell. Bóg to zrozumie.

Nawiązanie do wiersza Sandburga, w którym określa on Chicago właśnie tym przydomkiem. [\[wróć\]](#)

ROZDZIAŁ 4

Roxanne zadzwoniła do Tya, aby poinformować go, że musi na chwilę zostać u siostry. Poprosiła, żeby się nie martwił, ponieważ wróci do domu na czas, aby zdążyć na samolot. Zwabiła Simone do gorącej kąpieli z bąbelkami, a następnie umyła jej włosy i wysuszyła suszarką. Po zakończonych zabiegach Simone ubrana w koszulkę na ramiączkach i krótkie spodenki wróciła do łóżka i nakryła się kocem.

— Męczysz mnie, Roxanne.

— Wszystko cię męczy, ale poczujesz się lepiej, gdy ruszysz się z miejsca. Wyłączę klimatyzację i otworzę okna.

— Nie lubię przeciągów.

— Nie rozumiem. Jakich pociągów?

Simone zachichotała i podciągnęła kołdrę na twarz. Widać było jedynie duże brązowe oczy.

— Rox, tylko ty potrafisz mnie rozśmieszyć.

— Wstań, a opowiem ci wszystkie kawały, jakie przeczytałam ostatnio w Internecie. Dobry Boże, jaka ty jesteś chuda. Jadłaś coś dzisiaj?

— Trochę zupy.

— Na śniadanie? Co to była za zupa?

— Nie wiem. Franny ją przyniosła. Nie smakowała mi.

Roxanne objęła kciukiem i palcem wskazującym nadgarstek siostry.

— Jesteś za chuda, kochana.

— Ten mały to kanibal.

Roxanne spojrzała zdumiona na siostrę.

— Jesteś w ciąży? Znowu? To zbyt wcześnie. Ile miesięcy ma Olivia?

Simone ziewnęła, nie zasłaniając ust.

— Wyglądasz jak hipopotam.

— Najpierw żart o pociągu, teraz hipopotamy. Czy dzisiaj

jest dzień kawałów?

— To nie jest śmieszne, Simone. Odpowiedz na moje pytanie. Ile miesięcy ma Olivia?

— Nie pamiętam.

Roxanne zabrakło słów, aby wyrazić, jak bardzo martwiła i zasmucała ją lekceważąca postawa siostry.

— W którym jesteś miesiącu?

— Chyba w trzecim.

Roxanne głośno wciągnęła powietrze.

— Twój organizm jest wyniszczony.

— To nie moja wina, że mam takie płodne jajeczka.

— Nie byłoby problemu, gdybyś mieszkała w kurniku.

Słyszałaś o środkach antykoncepcyjnych? Pigułce?

— Nie praw mi kazań, Rox. Wiesz, jaki jest Johnny. Będzie mnie zapładniał, aż w końcu urodzę mu syna. Koniec kropka. Nie ma dyskusji.

— Ale to twoje ciało. Ty o nim decydujesz.

Simone ułożyła dłonie na brzuchu w taki sposób, że palce stykały się koniuszkami.

— Wydaje mi się, że tym razem urodzi się chłopiec. Jest inaczej niż w poprzednich ciążach.

— Byłaś już u lekarza?

— Jest jeszcze za wcześnie. Tak czy inaczej, wiem, kiedy to się stało. Poczulałam wtedy, jakby ktoś mnie uszczypnął.

— Kiedy zamierzałaś mi o tym powiedzieć?

— Powiedziałabym ci wcześniej, gdybyś częściej mnie odwiedzała.

Aby uniknąć skarg Simone dotyczących jej zaniedbywania, Roxanne musiałaby się do niej wprowadzić i dotrzymać jej towarzystwa siedem dni w tygodniu, jak w czasach, gdy były dziećmi.

— Nie powiedziałaś mi o tym, ponieważ wiedziałaś, jaka będzie moja reakcja.

— Tęsknię za tobą, gdy się ode mnie izolujesz.

— Nie izoluję się. Simone, wyszłam za mąż, pamiętasz? —

Roxanne opanowała zniecierpliwienie. Denerwowanie się na siostrę nie miało sensu, chyba że Roxanne chciała wprowadzić do jej życia jeszcze więcej zamętu i smutku. — Odwiedziliśmy rodzinę Tya mieszkającą nad zatoką w pobliżu San Francisco, a weekend spędziliśmy w Vegas... — Gdy Simone użalała się nad sobą, żadne tłumaczenie nie było dla niej satysfakcjonujące. — Przestań zachowywać się jak dziecko. Skoro nie chcesz iść na spacer, to chociaż na chwilę wyjdź na zewnątrz. Wyglądasz, jakbyś mieszkała w celi.

NA PARTERZE Roxanne przygotowała dla siostry mrożoną kawę z mlekiem i cukrem. Niczym pielęgniarka pilnująca pacjenta, aby przyjął leki, obserwowała siostrę podczas picia. Niania Franny, bliźniaczki oraz Olivia wróciły do domu po spacerze w parku z zaróżowionymi policzkami. Cała gromadka umierała z głodu. Bliźniaczki miały cztery lata. Podobnie jak ich mama były szczupłe i miały ciemne oczy. Dziewczynki były do siebie podobne jak dwie krople wody. Odróżniały je jedynie piegi, które zdobiły grzbiet nosa Valli, oraz skłonność Victorii do nieustannego marudzenia.

Victoria i Valli rzuciły się na matkę, jakby nie widziały jej od miesięcy. Padł pomysł, aby lunch zjeść na trawniku przy domu, więc Roxanne zaproponowała, żeby zaprosić na posiłek Ellen.

— Nie ma jej — powiedziała Merell. — Umówiła się na kawę. Ma randkę.

— Randkę? Twoja babcia? Z kim?

— A kto to wie — odparła Simone. — Poznaje mężczyzn przez Internet.

— Słyszałam, jak rozmawia z nimi przez telefon — powiedziała Merell. — Poza tym w nocy surfuje po sieci.

— Skąd o tym wiesz?

Merell zaczęła bawić się grzywką.

— Wiesz, że nie powinnaś wychodzić w nocy z domu — powiedziała niania Franny.

— Lubię patrzeć na gwiazdy. Są takie interesujące. Poza tym nic mi się nie stanie. Wychodzę tylko na podwórko za domem.

Pewnego wieczoru babcia siedziała na swoim balkonie i usłyszałam, jak mówiła, że ma na sobie satynową koszulę nocną.

Roxanne, Simone i Franny spojrzały na siebie.

— A co z BJ-em?

Roxanne była blisko związana z ojczymem.

— Zrozumiałby — odparła Simone.

„Pewnie tak” — pomyślała Roxanne. BJ Vadis akceptował wszystko, co uszczęśliwiało Ellen.

NIANIA FRANNY wyciągnęła rakiety do badmintonu i lotki oraz różnej wielkości piłki. Razem z Roxanne wytaszczyły kilka rowerków oraz zapakowany do pełna koszyk piknikowy na prostokątny trawnik przy domu, odgradzony od ulicy gęstym żywopłotem. Simone dołączyła do nich, niosąc starą kołdrę. Franny wróciła po jeszcze kilka.

— Możemy poleniuchować — powiedziała, rozkładając je na słońcu oraz w cieniu starego rozłożystego peruwiańskiego drzewa pieprzowego.

Obserwując, jak niania angażuje dzieci w przygotowanie pikniku, Roxanne doszła do wniosku, że dla Frances Biddle wszystko musi być zabawą. Wyglądało na to, że dla tej ładnej, niskiej, przysadzistej, ale rezolutnej dziewczyny z promiennym uśmiechem oraz wyrażającą upór kwadratową szczęką nie było zadania nie do wykonania.

Po lunchu składającym się z kanapek z masłem orzechowym oraz chipsów ziemniaczanych („Niezdrowe, ale jakie smaczne” — wyszeptała Franny do Roxanne) Simone zaczęła czytać na głos rozdział książki, którą bliźniaczki znały tak dobrze, że potrafiły powtarzać fragmenty z pamięci. Merell stwierdziła, że to historyjka dla dzieci, ale sprawiała wrażenie szczęśliwej, opierając głowę na kolanach matki i słuchając jej głosu. Gdy zainteresowanie dziewczynek nieco spadło, Franny zaprosiła je do gry będącej połączeniem piłki nożnej i głupiego Jasia. Tymczasem Roxanne i Simone położyły się na kołdrach, z Olivią między sobą.

Dziewczynka ssła smoczek i obserwowała, jak lekka bryza poruszała cienkimi podłużnymi liśćmi drzewa pieprzowego oraz

girlandami zielonych szyszek wiszących niczym winogrona. Wyglądała na nieco wychudzoną, nie przypominała innych pulchnych i różowych ośmiomiesięcznych niemowlaków. Paznokcie na jej kościstych paluszkach rozmiarem dorównywały tabletkom aspiryny dla dzieci.

Simone leżała na plecach, podpierając głowę na jednej ręce. Pod bladą skórą jej cienkiego nadgarstka krzyżowały się fioletowe żyły, które rytmicznie pulsowały. Pomimo ciemnych obwódek jej brązowe oczy nadal wyglądały pięknie. Roxanne dostrzegła w nich jednak łzy.

— Co się dzieje?

— Chciałabym... — Simone zamknęła oczy. — Nieważne, czego bym chciała.

— Gdyby życzenia były rybami, nasze sieci byłyby pełne.

— A gdyby koty były kanarkami, z chmur dochodziłoby miauczenie.

— Wyobraź sobie, jakiego rozmiaru musiałyby być kuweta — dodała Roxanne.

Simone wybuchnęła śmiechem.

— A wyobrażasz sobie deszcz?

PO JAKIMŚ CZASIE Franny przyniosła frisbee i zaproponowała, że nauczy Merell rzucać. Tymczasem bliźniaczki ciągnęły wózek i z bliżej nieznanego Roxanne powodu wkładały do niego liście i kamienie. Obok drzemała Simone. Za sprawą wilgotnego i gorącego sierpniowego powietrza pieprzowy zapach drzewa stał się bardziej intensywny. Na niebie prześwitującym przez gałęzie pojawiła się smuga kondensacyjna samolotu. Roxanne patrzyła, jak falowana linia ciągnie się, rozmywa, a następnie znika. Ciszę zakłócił samochód z podrasowanym silnikiem, który przejechał po Fort Stockton Boulevard.

Nie otwierając oczu, Simone zapytała:

— Gdybyś mogła zamienić się w ptaka, którego byś wybrała?

— Wrony są mądre i mają eleganckie czarne piórka. Poza tym wiedzą, co się wokoło dzieje.

— Pewnie tego samego ptaka wybrałaby Merell.

Roxanne wspomniała również o kolibrze w opalizujących kolorach, którego widziała unoszącego się nad purpurową burgmansją.

— Sprawiają wrażenie nieustępliwych, prawda? — zapytała Simone. — I odważnych. — Przewróciła się na brzuch i oparła policzek na złożonych ramionach. — W następnym wcieleniu chcę być nieustępliwa i odważna.

VICTORIA I VALLI straciły zainteresowanie liśćmi i kamieniami, więc zaczęły zrywać dla mamy czerwone kwiaty hibiskusa. Simone pokazała im, jak rozdzielać łodyżki i łączyć je w hawajskie girlandy.

— Powiedzcie Franny, aby zaprowadziła was na drugą stronę domu. Krzewy, które tam rosną, już zakwitły. Możecie zerwać wszystkie kwiaty. My z cicią rozmawiamy o tajemnicach, o których nie powinnyście słuchać.

— Co to za tajemnice? — zapytała Valli.

— Lubię tajemnice — dodała Victoria.

— A ja lubię ciebie — odparła Simone, całując córkę w pulchny, zarumieniony od słońca policzek. — Ale uciekajcie już.

Gdy tylko dziewczynki ruszyły w przeciwnym kierunku, Simone ponownie opadła z jękiem na kołdrę.

— Czy ja też taka byłam, Roxanne? Taka bezużyteczna?

Roxanne doszła do wniosku, że bliźniaczki rzeczywiście mogły czasem być irytujące, ale jednocześnie były zabawne i słodkie. Swoimi spostrzeżeniami podzieliła się z siostrą.

— Mówisz tak, bo nie musisz z nimi mieszkać. — Simone przesunęła po ustach pręcikiem kwiatu hibiskusa pełnym pyłku. — Koliber przez cały dzień zanurza nos w kwiatkach i wysysa pyłek oraz nektar. Seksowne, co?

— Nic dziwnego, że co chwilę zachodzisz w ciążę.

Simone spojrzała na Roxanne z szelmowskim uśmiechem.

— Pamiętasz Shawna Huttona?

Roxanne z trudem przypominała sobie chudego chłopca ze spalonym od słońca, łuszczącym się nosem. Shawn od czasu do

czasu pracował w sklepie żeglarskim rodziców na przystani Shelter Island.

— Mieli cudowną żaglówkę. — Simone roztarła w dłoniach gałązkę drzewa pieprzowego niczym gracz rozgrzewający kości do gry. — Na „Wildze” znajdowało się osiem lub dziesięć kajut i w każdej z nich uprawiałam z Shawnem seks. I to więcej niż raz.

— Kłamiesz. To nieprawda.

— Słowo skauta. — Simone podniosła dłoń i ostry zapach pieprzu uniósł się w powietrzu.

* * *

ZANIM SIMONE poznała Johnny’ego, najszcześniejsze chwile spędziła, żeglując pewnego lata „Wilgą” — czarno-żółtym piętnastometrowym keczem. Kolorystyka łodzi nawiązywała do ptaka, od którego wzięła się jej nazwa. Nawet teraz, dziesięć lat później wydawało się jej, że na skórze czuje ciepło promieni słonecznych, a w nozdrzach zapach świeżego lakieru.

— Przed rozpoczęciem nauki w ostatniej klasie liceum BJ postanowił, że przyda mi się więcej ruchu.

Bez porozumienia z Ellen zapisał Simone na dzienny obóz żeglarski i każdego ranka zawoził ją do Shelter Island, a wieczorem odbierał. Wszyscy byli zdumieni, że żeglarstwo przypadło jej do gustu.

— Tak naprawdę uwielbiałam to poczucie niebezpieczeństwa, które mi towarzyszyło, gdy sunęłam po wodzie.

— Może powinnaś spróbować skoków na spadochronie.

— Shawn był młodszym instruktorem na tym obozie. Od urodzenia przebywał na łodziach, więc wiedział o nich wszystko. Ale wyglądał naprawdę śmiesznie. Przypominał stracha na wróble z turkusowymi oczami i przepiękną opalenizną. — Simone była jego pierwszą dziewczyną, więc nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. — Gdy po raz pierwszy włożył mi rękę pod bluzkę, był tak podniecony, że myślałam, że od razu będzie szczytował.

— Dla was obojga to był pierwszy raz.

Simone zachichotała.

Po wczorajszym zejściu w basenie czuła się nieszczęśliwa, ale opowiadanie o Shawnie Huttonie oraz wyraz ogromnego zdumienia na twarzy Roxanne nieco ją rozweseliły. Miło było sobie przypomnieć, że bardzo dawno temu była szaloną dziewczyną i podczas jednych wakacji każdego dnia budziła się, drżąc z podniecenia na myśl o tym, co miał przynieść nowy dzień. Nawet pierwsze miesiące po ślubie z Johnnym nie były tak ekscytujące jak tamte wakacje.

— Nie byłaś dziewicą?

— No co ty. — Simone wywróciła oczami. — Powiem ci coś, Rox, nie traciłam czasu, gdy tylko się zorientowałam, czym tak naprawdę były rzekome witaminy poprawiające kondycję włosów, które mi podawałaś...

— Wiedziałaś?

— Witaminy poprawiające kondycję włosów? — Już samo wypowiedzenie tych słów wprawiło Simone w wesoły nastrój. — Może nie grzeszę inteligencją, ale nie jestem też kompletną idiotką.

— Elizabeth załatwiła receptę od swojego brata — wyjaśniła Roxanne. — Chłopcy nie chcieli się od ciebie odczepić. Bałam się, że wpakujesz się w kłopoty. Czy Johnny wie?

— Myślisz, że ożeniłby się ze mną, gdyby wiedział?

— Ale jak...?

— Roxanne, łatwo jest oszukać mężczyznę, który chce być oszukany.

„Proszę bardzo” — pomyślała Simone z satysfakcją.

„Roxanne może i jest mądrzejsza ode mnie, ale nadal nie wie wszystkiego”.

— A co z chorobami przenoszonymi drogą płciową? Mogłaś złapać AIDS.

— Na litość boską, Rox, jestem niemal pewna, że nic mi już nie grozi.

— Boję się nawet myśleć, co...

Simone żałowała, że nie może wstać i zatańczyć, napawając się zdumionym wyrazem twarzy siostry.

— Posłuchaj — powiedziała. — Wtedy byłam niesamowicie głupia. Myślałam, że WR to coś, co dodaje się do benzyny, aby silnik lepiej pracował.

Roxanne początkowo nie uwierzyła siostrze, ale po chwili doszła do wniosku, że to może być prawda. Położyły się obok siebie, śmiejąc się serdecznie.

Po chwili Simone się odezwała:

— Faceci mnie lubili, Rox. Zdałam sobie z tego sprawę w wieku dwunastu lub trzynastu lat. — Starła się, aby Ellen i BJ nigdy nie wiedzieli o tym, kiedy wychodziła z domu i o której wracała w nocy. — Byłam ładna i chłopców, nawet tych inteligentnych, nie interesowało to, czy jestem geniuszem, czy nie. Zawsze musieli na mnie zapracować, ale na końcu... i tak byłam chętna.

„I byłam w tym dobra” — dodała w myślach. Johnny miał rację. Jej ciało zostało stworzone do seksu. I dzieci. Zawsze te dzieci.

Roxanne spojrzała na nią z niemal surowym wyrazem twarzy.

— To nie ma sensu, Simone. Przecież nienawidzisz wody. Od dzieciństwa jej nienawidziłaś.

— Słona woda to co innego. Uwielbiam jej smak. W dotyku też jest inna, gęsta i gładka. Poza tym zawsze nakładałam kamizelkę ratunkową. Pan Hutton nie wypuszczał mnie bez niej z doku.

— A gdzie ja byłam, gdy to wszystko się działo?

— Miałaś wtedy własne mieszkanie. Pamiętasz, jak złamałam obojczyk?

— Nie za dobrze.

„Nie przejmowałaś się wtedy mną. Zbyt dobrze się bawiłaś z najlepszą przyjaciółką”.

— Wyjechaliśmy na Wyspy Coronado. Mama i BJ pozwolili mi wychodzić wieczorami, ponieważ rodzice Shawna oraz ich znajomi pojechali razem z nami. — Simone pokręciła głową. — Mama była taka naiwna. Tak czy inaczej, w drodze powrotnej z

rejsu siedziałam twarzą zwróconą w kierunku dziobu. Wstając...

Przerwała i wróciła pamięcią do chwil niezmaconej radości, jakie przeżyła na „Wildze”. Ukłucie kropel wody na twarzy, pieczenie oczu, posmak soli na spierzchniętych ustach oraz wrażenie gorąca i lepkości na skórze.

— Doskonale pamiętam, o czym myślałam, gdy wydarzył się wypadek. Poprzedniego wieczoru odbyłam z Shawnem rozmowę. Siedzieliśmy pod gwiazdami na pokładzie łodzi i postanowiliśmy, że po zakończeniu szkoły średniej zaciągniemy się do pracy na żaglowcu. Nie obchodziło nas, gdzie popłyniemy. Musieliśmy zdobyć doświadczenie, aby pewnego dnia móc kupić własną łódź i zamieszkać na południowym Pacyfiku. Wiedziałam, że sunięcie po wodzie jest najpiękniejszą rzeczą na świecie. Masz wówczas wrażenie, że lada chwila wzniesiesz się ku górze.

— Żeglowanie, seks i złamany obojczyk. — Na twarzy Roxanne w miejscu zdumienia pojawiła się konsternacja, a następnie złość.

„Jest zła na siebie” — pomyślała Simone. „Nie podoba jej się świadomość, że mogłaby czegoś o mnie nie wiedzieć”.

— Stałam na pokładzie i myślałam o tym, jaka jestem szczęśliwa. Nagle ktoś krzyknął moje imię. W tej samej chwili uderzył we mnie bom i znalazłam się w wodzie. Było mi zimno, bardzo zimno. — Obok przepłynęła „Wilga” z napiętymi żaglami. — Nie mogłam oddychać, nic nie widziałam. Gdyby nie pan Hutton i jego kamizelka ratunkowa, pewnie bym utonąła.

— Uratowano cię.

— Jak widać.

Z perspektywy czasu Simone wiedziała, że w następny weekend po wypadku powinna była od razu wyjść z domu. Nawet ze złamanym obojczykiem mogła pomóc w kambuzie lub polerować okucia. Została jednak w domu, rozczulając się nad sobą i skupiając się na bólu. Wspominała lodowatą wodę, rekiny oraz przepływającą obok „Wilgę”. Gdy zamknęła oczy, nawet teraz widziała na rufie nazwę łodzi.

Kiedy złamanie się zrosło, chciała powrócić do żeglowania,

ale było już za późno.

— Mama wpadła w szal, gdy jej to powiedziałam. Przecież omal nie zginęłam. BJ oczywiście przyznał jej rację.

„A ja nie potrafiłam postawić na swoim. Nie zbuntowałam się. Bali się o mnie i wkrótce ja też zaczęłam się bać”.

Czas płynął i po ślubie z Johnnym wynajęli mieszkanie tuż przy Mission Beach. Zimą po wyjeździe turystów plaża stawała się szara, pusta i piękna, a szeroki pas piasku należał do mew i pelikanów oraz opatulonych w kurtki ludzi.

Czasami, gdy szła na długie spacerunki brzegiem morza, od ujścia rzeki San Diego prawie do dzielnicy Bird Rock, widziała delfiny płynące w ławicy równoległe do brzegu i przeskakujące spienione fale, jakby chciały dotrzymać jej towarzystwa. Początkowo obserwowała zagłówki na horyzoncie, ale na ich widok ogarniał ją smutek, więc przestała wpatrywać się w morze i skoncentrowała się na trylionach ziarenek piasku chrzęszczących pod stopami. Dzięki temu czuła się mała, nieważna i bezpieczna.

Simone zaszła w ciążę i Johnny oszalał z radości, zwłaszcza po tym, jak ginekolog oraz pielęgniarka na podstawie badania USG zapewnili ich, że na świat przyjdzie chłopak. Narodziny Merell wpędziły Simone w najgłębszą depresję, jakiej dotąd doświadczyła. Oglądając pewnego popołudnia telewizję, zobaczyła coś, co przekonało ją, że w szpitalu zaszła pomyłka: rozkojarzona pielęgniarka zamieniła jej chłopca z czyjąś dziewczynką. Johnny, matka i Roxanne zlekceważyli jej wątpliwości, a gnębiący ją zły nastrój złożyli na karb zaburzeń hormonalnych po porodzie. Obiecali też, że za tydzień bądź dwa poczuje się znowu sobą. Jej ginekolog doktor Wayne zapewnił ją, że takie myśli nie są niczym niezwykłym. Nazwał jej stan depresją poporodową.

Merell przerwała rzucanie frisbee. Złapała dwa ciastka, wrzuciła je do kieszeni koszuli i wspięła się na najniższą gałąź, wiszącą na wysokości około półtora metra. Następnie chwyciła kolejną znajdującą się wyżej i podciągnęła się na niej do góry.

Obserwując wspinaczkę Merell, Simon zamarła z przerażenia.

— Uważaj! — krzyknęła.

— Tatuś mówi, że to jest najlepsze drzewo do wspinaczki w całym San Diego.

— Ale jeśli coś sobie złamiesz, nie dam rady cię poskładać.

— Nic sobie nie złamię. Obiecuję.

Merell była dzieckiem, które potrafiło zrobić, co tylko chciało. Wspinała się na drzewa, pływała, jeździła na rowerze. Wszystko przychodziło jej z łatwością. Simone próbowała przekonać samą siebie, że urodziła tak silne i zdolne dziecko, ale przez dziewięć lat nie zdołała tego zrobić.

Obserwując, jak córka wspina się coraz wyżej, pomyślała o wszystkich tych rzeczach, których nigdy nie spróbowała, ponieważ obawiała się ryzyka, nie rozumiała, co powinna robić, lub się do nich nie nadawała.

— Wiesz, że nigdy nie wspięłam się na drzewo?

Roxanne zerwała się na nogi.

— No to dalej, nie odkładaj na jutro czegoś, co możesz zrobić dziś.

— Teraz? Jestem w ciąży.

— Posłuchaj, jeśli dałaś radę żeglować, dasz też radę wspiąć się na drzewo. Nie ma się czego bać. Nic się nie stanie. —

Roxanne wyciągnęła rękę ku siostrze. — Nie pozwolę ci spaść, Simone. Nigdy.

— Obiecujesz?

— Podsadzę cię do pierwszej gałęzi. Możesz na niej zostać albo wspiąć się wyżej. Zrobisz, co będziesz chciała.

Gałąź znajdowała się na wysokości około półtora metra nad ziemią. Merell udało się na nią podciągnąć, ale Simone nigdy nie byłaby w stanie tego zrobić, więc aby pomóc siostrze, Roxanne splotła koszyczek z dłoni i przy akompaniamencie oklasków i okrzyków najstarszej córki, Simone postawiła stopę na dłoniach siostry. Widząc to, bliźniaczki przybiegły razem z Franny.

— Wskakuj! — powiedziała Roxanne. — A teraz zarzuć nogę nad... Brawo.

I w ten oto sposób Simone usiadła okrakiem na gałęzi. Drząc

z oszołomienia, patrzyła w dół na główki bliźniaczek.

Merell zawołała do matki z gałęzi znajdującej się dwa i pół metra wyżej.

— Złap się czegoś i wstań. To łatwe, mamusiu.

„Łatwe”.

Choć bardzo chciała tego spróbować, równie mocno pragnęła znaleźć się z powrotem na ziemi. Zaczęła się zastanawiać, jakby to było chwycić za gałąź i wstać. Jednocześnie w jej głowie pojawiła się obawa przed upadkiem. Tym razem nie było pod nią wody, która mogła złagodzić upadek. Sięgnęła w górę. Szorstka kora drzewa drapała dłonie.

„Weź głęboki oddech i podciągnij się. Po prostu to zrób, nie myśl. Cokolwiek się stanie...”.

Valli zaklaskała w dłonie.

— Jeszcze wyżej, jeszcze wyżej — dopingowała Victoria.

— Chodź do mnie, mamusiu — krzyczała Merell.

— Mamusia nie może mówić — zauważyła Valli.

— Mamusia płacze.

ROZDZIAŁ 5

Gdy Roxanne wróciła do domu, Ty siedział na tarasie, wpatrując się w kanion. W dole Mission Valley dostrzec można było korek na drodze międzystanowej numer osiem; karetka oraz dwa radiowozy stały na poboczu z włączonymi syrenami.

Dzień był bezwietrzny i gorący, a w powietrzu unosił się zapach eukaliptusa.

— Już myślałem, że nie przyjedziesz.

— Musimy porozmawiać.

Spojrzał na zegarek.

— Możemy porozmawiać w samolocie.

— Mamy jeszcze czas.

— Nie, jeśli chcesz jeszcze zjeść hamburgera.

— Nie jestem głodna. Ty, możemy usiąść?

Ty zamilkł na dłuższą chwilę, ale nie spuszczał z oczu Roxanne. Choć chciała utrzymać kontakt wzrokowy, nie potrafiła. Po drugiej stronie kanionu ktoś wygrywał skomplikowane gamy, ciąg nut powtarzanych bez końca w różnych wariacjach. Spojrzała w dół na liście bugenwilli rozrzucone po tarasie niczym wyblakłe złote monety.

— Powinnam je zmieść przed wyjazdem — powiedziała.

— Powiedz mi po prostu, co się stało u Simone. W końcu po to tam pojechałaś. Co ci powiedziała?

— To samo, co podają w radio, ale jej nie wierzę.

Przypomniał jej się Shawn Hutton oraz inni chłopcy, których Simone spotkała na swojej drodze. Wróciła też pamięcią do jej słów dotyczących Johnny'ego. „Nie jest trudno oszukać mężczyznę, który chce być oszukany”. To samo można powiedzieć o starszej siostrze.

Zmusiła się, by spojrzeć na Tya, przynajmniej tyle była mu winna.

— Nie mogę polecieć, tak jakby nic się nie stało.

Zauważyła, że jego twarz się spięła niczym naprężony mięsień.

— Chciałbym, abyś była tam ze mną.

— Ja też chcę tam być, ale biorąc pod uwagę stan, w jakim się znajduję, nie będziesz miał ze mnie pożytku. — Kropelki potu pojawiły się na jej karku. — Będę cię rozpraszać. Lepiej będzie...

— Bzdury.

— Nie odchodź ode mnie, Ty. — Poszła za nim do domu. — Spójrz na to z mojego punktu widzenia.

— Ależ patrzę. Wierz mi, zbadalem twój punkt widzenia na wszystkie możliwe sposoby.

— Nie możesz oczekiwać ode mnie, że będę ignorować Simone. Jest bardzo delikatna...

— Co zrobisz, gdy zdobędę tę pracę? Jeśli ją zdobędę? Chicago leży ponad trzy tysiące kilometrów od twojej delikatnej siostry.

— Tyrone, przeprowadzę się z tobą do Chicago. — Rozmawiała z nim, jakby był uczniem, któremu już po raz kolejny należało powtórzyć lekcję. — Powiedziałam ci, że to zrobię, i dotrzymam słowa.

— Dziękuję za twoje poświęcenie, Roxanne.

Usłyszała w jego głosie sarkazm, który był dla niego nietypowy, i poczuła, jak w jej wnętrzu wibruje niczym sygnał ostrzegawczy długi niski dźwięk. Opadła na kanapę.

— Kocham ciebie i kocham ją. — Ty potrafił o siebie zadbać, a Simone nie. — Myślałam, że zrozumiesz.

— Nie słyszałaś tego powiedzenia, Roxy? Zrozumienie to nagroda pocieszenia. — Usiadł na pufie naprzeciwko niej. — Gdy się pobieraliśmy, wiedziałem, że będziemy mieli problemy z Simone, ale nie zdawałem sobie wówczas sprawy, jaki ogromny wpływ będzie to miało na mnie. — Spojrzał w dół na kwadratowy fragment dywanu pomiędzy swoimi sportowymi butami. — Myślałem też... wierzyłem, że jakoś się z tym uporamy, ponieważ mamy podobne zdanie na temat małżeństwa oraz poczucia obowiązku wobec drugiej osoby. Przecież gdyby nie to, równie

dobrze mogliśmy nadal tylko razem mieszkać. Mam rację? —
Zamilkł. — Dlaczego za mnie wyszłaś, Roxanne?

— Ponieważ cię kocham. — Jego na pozór proste pytanie tak naprawdę było podchwytliwe. Roxanne wiedziała, że bez względu na to, jakiej udzieli odpowiedzi, żadna nie będzie właściwa. —
Pragnę spędzić z tobą życie.

— A co z dziećmi?

— Już rozmawialiśmy na ten temat, Ty. Wiesz, że chcę,
abyśmy zostali rodzicami.

— A gdy się pojawią, kto znajdzie się na pierwszym miejscu?
Nasze dziecko czy twoja siostra?

— Oczywiście, że dziecko. Jak możesz w ogóle o to pytać?

Pokiwał głową, jakby jego hipoteza właśnie została
potwierdzona.

— Czyli wówczas spadnę na miejsce trzecie, tak?

W jej gardle zagnieździła się panika.

— Ta rozmowa jest niedorzeczna. Przecież liczby nic nie
oznaczają.

— Wręcz przeciwnie. Posłuchaj mnie. — Ujął jej dłonie. —
Ja wierzę w to staromodne gadanie podczas ceremonii ślubnej. W
zdrowiu i chorobie, w bogactwie i w biedzie, na dobre i na złe,
dopóki śmierć nas nie rozłączy. Te słowa mają dla mnie ogromne
znaczenie. Zanim się pobraliśmy, wielokrotnie czytałem tekst
przysięgi, Roxanne. Chciałem mieć pewność, że obiecując ci
wierność do końca życia, będę mówił to szczerze.

— Sugerujesz, że ja nie mówiłam tego szczerze?

— Chcę przez to powiedzieć, że zanim wypowiedziałaś te
słowa przede mną, złożyłaś już przysięgę wierności Simone. Ja
byłem jedynie na doczepkę.

— Jesteś niesprawiedliwy.

Miała wrażenie, że jej nie usłyszał.

— Twoje szczęście, zdrowie i dobro oraz cała reszta są dla
mnie najważniejsze. Nie muszę się nawet nad tym zastanawiać.
Gdybyśmy mieli dzieci, nadal ty byłabyś dla mnie numerem jeden.

Czy oczekiwał, że będzie mu wdzięczna za to, że jego

priorytety były takie nieskomplikowane? Czy dzięki temu był lepszym człowiekiem, czy może po prostu nigdy nie został poddany próbie?

— Jeśli naprawdę, z całego serca, nie chcesz, abym leciał do Chicago, nie polecę. Zaraz do nich zadzwonię i poinformuję ich, że zmieniłem zdanie i postanowiłem zostać w Salk.

Właśnie tego chciała, ale mówiąc to, przyznałaby się, że nie mogła opuścić Simone i że więź łącząca ją z mężem nigdy nie będzie tak mocna, jak ta pomiędzy nią a siostrą. Nawet gdyby to była prawda — choć oczywiście tak nie było — nie mogła tego wyznać, aby nie dać mu satysfakcji.

— Po prostu powiedz — ponaglał. — Mam zadzwonić czy nie?

— Ty, to nie jest takie proste. Pochodzisz z normalnej rodziny. Wśród twoich bliskich nie ma przypadków poważnych nerwic, nie ma tajemnic. Zarówno ty, jak i twoi bracia oraz siostry jesteście dorośli i niezależni, prowadzicie szczęśliwe życie.

Wiedziała, że to była przesada. Jak w każdej innej rodzinie pomiędzy rodzeństwem Tya dochodziło do nieporozumień, pamiętano o wyrządzonych krzywdach i grano na emocjach bliskich.

— Jestem jedyną osobą, której Simone ufa bezgranicznie. Jeśli ją zawiodę, zostanie sama. Na naszą matkę nie ma co liczyć, zawsze najważniejsze było dla niej jej własne życie. A Johnny kocha jedynie swoje wyobrażenie o Simone. Gdy ona zaczyna go denerwować i rozczarowywać, jedzie do biura, na ryby z burmistrzem albo zatrudnia kolejną nianię, kucharkę lub jeszcze kogoś innego. Tylko ja zostaję przy niej bez względu na to, jak straszna się staje. Tylko ja zawsze odbieram telefon.

— A więc musisz przestać to robić.

„Może. Tak. Ale nie w ten weekend, nie dzisiaj”.

— Widzę, jak po każdym jej telefonie walczysz ze sobą. A gdy o niej opowiadasz... Zwróć czasem uwagę na swój ton głosu, Roxy. Mam wrażenie, jakby spod warstwy wypowiedanych słów wyrwał się niemy krzyk. To zżera cię od środka, ale od tak dawna

opiekujesz się Simone, że już nic nie czujesz. Nie zdajesz sobie sprawy, jaki wpływ ma na ciebie ta relacja, ale ja to widzę. I nienawidzę tego. Czasami nawet nienawidzę twojej siostry. — Przesunął dłonią po twarzy. — Wiem, że miałaś dziwne dzieciństwo, wiem, że nie uwolnisz się od Simone w jeden dzień. Ale to musi się w końcu stać, Rox, albo nasze małżeństwo się rozpadnie. Nawet jeśli pogodzę się z faktem, że nie jestem najważniejszą osobą w twoim życiu, nie będę mógł patrzeć na twoje cierpienie. Już raczej wolę, aby Simone wygrała.

Choć usłyszała słowa tego ultimatum, wypowiedziano je w języku, który ledwo rozumiała.

— Nie chcę się już kłócić — odparła.

— Przecież się nie kłócimy.

— To nie jest kłótnia? — Próbowwała się roześmiać. — W takim razie co to jest?

— Chyba po prostu wyjaśniamy sobie pewne sprawy.

Jej umysł nie był gotowy do wyjaśniania czegokolwiek. Działał w zwolnionym tempie niczym archaiczny komputer rozmiarów okrętu wojennego.

— Wiem, że cię Kocham. — Słowa nie wystarczały. Ty oczekiwał pewnego rodzaju obietnicy, naukowego dowodu, który będzie mógł zobaczyć. — Jeśli naprawdę pragniesz tej pracy, i mnie na niej zależy. Leć do Chicago. Wiem, że moje relacje z Simone pozostawiają wiele do życzenia. Elizabeth suszy mi o to głowę, od kiedy się poznałyśmy...

Zamknęła oczy, a pod powiekami ujrzała konstelacje gwiazd.

— Ty, tak wiele razy próbowałam się od niej uwolnić. Ale nigdy nie potrafiłam wytrwać w tym postanowieniu. Przypominam taką zabawkę rybkę, która złapała się na haczyk i nie może się uwolnić. Cały czas walczy, ale ostatecznie nie ma już na to siły.

— Tym razem się uda, Roxanne, ponieważ nie będziesz musiała przechodzić przez to sama.

— Boję się o nią.

— A ja boję się o ciebie. I o nas.

— Postaram się — wyszeptała. — Przysięgam, że spróbuję.

„Ponieważ nasze życie od tego zależy, ponieważ cię kocham”.

Konstelacje, galaktyki, niezliczone wszechświaty. Czas, grawitacja, niepoznane dotąd energie próbowały je zniszczyć, a mimo to jakimś cudem gwiazdy i planety przetrwały, a wszechświat nadal istnieje. Może to za sprawą miłości. Może miłość jest odpowiedzią na wszystko. Kto wie?

ROXANNE W TOWARZYSTWIE Chowdera odwiozła Tya na lotnisko. W drodze powrotnej ogarnął ją strach przed powrotem do pustego domu na Little Goldfinch. Zostawiła tam telefon. W samochodzie odcinała się od wszelkich żądań oraz obowiązków. Złożyła obietnicę i tym razem chciała jej dotrzymać. Ale jak miała zabrać się do czegoś, co do tej pory wydawało jej się niemożliwe?

„Idź do domu” — powiedziała do siebie.

„Zajmij się czymś” — pomyślała.

Siedziała w samochodzie przy zatoce Mission i obserwowała dzieci w strojach kąpielowych z piaskiem na pupach. Bawiły się w świetle zachodzącego słońca, popychały się, ciągnęły i płakały, podczas gdy dorośli pakowali koce, ręczniki, krzesła oraz lodówki. Na tylnym siedzeniu pies skamlał i popiskiwał, chcąc dać Roxanne do zrozumienia, że zatoka była idealnym miejscem na spacer. Zapięła go na smycz i wyruszyli na północ w kierunku hotelu Hilton. Po przejściu niemal kilometra chciała zawrócić, ale Chowder tak dobrze się bawił, że postanowiła dojść aż do zatoczki przed Visitors' Center. Po powrocie do samochodu Chowder polizał jej ucho i położył się na tylnym siedzeniu zadowolony i szczęśliwy.

„Tak niewiele potrzeba, aby uszczęśliwić psa”.

W NIEDZIELĘ wybrała się na śniadanie z Elizabeth. W oczekiwaniu na jajka na bekonie spędziła pół godziny w kolejce w barze w North Park, gdzie podawano najlepsze placki ziemniaczane w mieście oraz kremowe koktajle mleczne. Wnętrze baru było podłużne i wąskie; unosił się w nim zapach kawy oraz gorącego tłuszczu do smażenia. Przysadzista kobieta znana w okolicy pod pseudonimem „Cholera” mamrotała nieustannie te

same przekleństwa, stojąc przy skwierczącym grillu.

— Przypomnij mi, dlaczego tutaj przyszliśmy — powiedziała Roxanne, gdy zajmowała miejsce w boksie i jednocześnie próbowała ominąć oderwany pasek sztucznej skóry z siedzenia.

— Z powodu pełnej klasy atmosfery? Nieodpartego uroku złego cholesterolu?

Roxanne przypomniała sobie żartobliwe uwagi Tya na temat jej nałogu jedzenia niezdrowej żywności i nagle ogarnął ją gniew. Miała mu za złe, że postawił jej ultimatum, więc postanowiła przeciągnąć na swoją stronę Elizabeth. Opowiedziała jej o kłótni czy też rozmowie — jak zwał, tak zwał. W miejsce szczegółów, które zaczęły się zacierać w pamięci, pojawiły się oburzenie oraz rosnące poczucie krzywdy wywołane tym, w jaki sposób mówił o przysięgach, opuszczeniu i wierności. Opowiedziała też przyjaciółce o obietnicy złożonej Tyowi, że przestanie odgrywać rolę opiekunki Simone.

— Życz mi powodzenia.

Elizabeth ugryzła kawałek bekonu.

— Mam przechlapane, co?

— Chyba muszę się z tobą zgodzić.

Nikt, nawet Ty, nie znał Roxanne tak dobrze jak Elizabeth.

ROXANNE POZNAŁA Elizabeth Banks w pierwszym dniu tygodnia integracyjnego na uniwersytecie stanowym w San Diego. Był niezwykle upalny piątek i wiał wiatr Santa Ana. Połączyła je dozgonna przyjaźń, stały się bratnimi duszami i najlepszymi koleżankami. Gdyby spotkały się kilka lat wcześniej, cała uwaga Roxanne poświęcona byłaby sprawom siostry. Gdyby do ich spotkania doszło kilka lat później, ich losy potoczyłyby się zupełnie innymi torami. Znalazły się jednak pewnego dnia w tej samej kolejce — podekscytowane, pełne nadziei oraz nieco przestraszone, ale gotowe na nowe doświadczenia i na poznanie kogoś, z kim mogłyby je dzielić.

Różniły się od siebie wszystkim, czym mogą się różnić dwie osiemnastoletnie dziewczyny, jakby pochodziły z dwóch

przeciwległych biegunów Kalifornii. Roxanne była wysoka i szczupła, zdyscyplinowana i konserwatywna, natomiast Elizabeth była niebieskooką blondynką o urodzie lalki, zachowywała się jednak w sposób ekstrawagancki i niedbały, co całkowicie kłóciło się z jej wyglądem. W życiu kierowała się zasadami New Age, które z czasem sama wymyślała. Jej rodzice, nauczyciele akademicy z Santa Cruz, oraz dwaj nieokiełznani młodsi bracia przygarnęli Roxanne niczym zbłąkane zwierzę, a jej uporządkowana natura budziła ich zdumienie oraz wesołość.

Elizabeth namówiła Roxanne do zerwania się z wycieczki po kampusie. Kupiły napoje gazowane i usiadły na pożółkłym trawniku przed Centrum Azteckim.

— Opowiedz mi o swoim życiu — poprosiła Elizabeth.

Roxanne po raz pierwszy spotkała się z taką prośbą. Zaczęła mówić i nie mogła już przestać. W pewnym momencie ku swojemu zdumieniu usłyszała własne słowa:

— Gdyby to zależało od mamy, siedziałabym w domu i opiekowałam się Simone do końca życia.

— O Boże! Umarłabym. Podciąłabym sobie żyły. — Elizabeth położyła się na trawie, rozłożyła ręce na bok, jakby leżała na ołtarzu ofiarnym, a potem ponownie usiadła. — Czym chciałabyś się zająć w życiu?

Od dłuższego czasu pytanie to pomieszkiwało na obrzeżach świadomości Roxanne, ale przyglądała się mu jedynie z pewnego dystansu. Nigdy nie dopuściła do siebie myśli, że w jej życiu może być coś więcej niż opieka nad siostrą. Aby się uspokoić i uzbroić w cierpliwość, której czasem jej brakowało, powtarzała mantrę o przyszłości. Będzie miała jeszcze czas na własne życie, gdy skończy szkołę średnią, gdy skończy studia, gdy znajdzie pracę i będzie na siebie zarabiać. Tamtego upalnego dnia Elizabeth była dla niej niczym orzeźwienie, niczym powiew arktycznego powietrza. To ona z absolutną pewnością siebie, która charakteryzowała jej osobę, oznajmiła:

— Twoja przyszłość rozpoczyna się dzisiaj!

Energia płynąca z oburzenia nowej przyjaciółki dała

Roxanne siłę, aby jeszcze tego samego wieczoru pójść do ojczyma BJ-a i poprosić, aby wstawił się za nią i przekonał Ellen, by wbrew wcześniejszym ustaleniom pozwoliła zamieszkać córce w akademiku znajdującym się na terenie kampusu. Zgodził się i po kilku głośnych dyskusjach prowadzonych za zamkniętymi drzwiami odniósł sukces. Simone płakała i wrzeszczała, jakby Roxanne przeprowadzała się do Południowej Afryki, a nie na drugi koniec miasta. Od tamtej pory nieustannie męczyła Roxanne, aby wróciła do domu, wydzwaniając do niej o różnych porach dnia i nocy. Roxanne nie ustąpiła. Ellen zaproponowała córce nawet pewną sumę pieniędzy oraz nowy samochód w zamian za wprowadzenie się do domu. Patrząc na to z perspektywy czasu, Roxanne była zdumiona, że się nie ugięła. Wiedziała jednak, że dała radę tylko dzięki Elizabeth.

OSPAŁA KELNERKA w siatce na włosach oraz pogniecionym białym fartuszką zawieszonym na mundurku w kolorze zaschłej krwi stanęła przy ich stoliku, aby ponownie napełnić ich kubki kawą.

Po jej odejściu Elizabeth powiedziała:

— Powinnaś była jechać do Chicago. Gdyby Eddie był ze mną, nie spuściłabym go z oczu.

Mąż Elizabeth służył w wojsku w Afganistanie i przebywał poza domem już od siedmiu miesięcy. Na początku misji Elizabeth była tak rozchwiana emocjonalnie, że nie potrafiła mówić o Eddie bez zalewania się łzami. Teraz, po wielu miesiącach rozłąki, nabrała stoickiej obojętności, o którą trudno było podejrzewać promienną i niecierpliwą dziewczynę poznaną pierwszego dnia tygodnia integracyjnego.

— Ależ ze mnie kretyńka, Liz. Nieustannie gadam o sobie, a przecież to ty masz prawdziwe zmartwienia...

— Dziś rano miałam wrażenie, że słyszałam, jak wypowiedział moje imię. To był oczywiście sen, ale trzeba na nie uważać. Nigdy nie wiadomo, co mogą oznaczać. Może jego dusza próbuje się ze mną skontaktować. — We fluorescencyjnym świetle jej oczy zaczęły błyszczeć. — Może nie żyje, a ja o tym nie wiem?

Nie, jestem pewna, że bym się zorientowała. Łączy nas niezwykła więź. Czułabym to, musiałabym to czuć.

Roxanne nie wiedziała, co powiedzieć. Jej własne zmartwienia wydawały się błahe w porównaniu z tym, z czym zmagala się jej przyjaciółka.

— Życie z żołnierzem wiąże się z wieloma utrudnieniami — kontynuowała Elizabeth — ale rzadko mówi się, jak destrukcyjnie wpływa to na twoje życie. Pary takie jak ja i Eddie, które nie mają dzieci ani zbyt długiego stażu, czasami zaczynają wątpić w swoje małżeństwo. Jak długo trwało nasze wspólne życie? Normalne małżeńskie życie? Niecałe cztery miesiące. Obecna rozłąka trwa dwa razy dłużej. Brakuje nam zwykłych rzeczy, które tworzą związek... — Wbiła wzrok w talerz. — Czasami gdy myślę o latach, które tracimy, ogarnia mnie wielki smutek.

— Nie do końca cię rozumiem. Rzeczy, które tworzą związek?

— Oczywiście, że wiesz, o czym mówię. To na przykład wspólny wyjazd do Chicago lub w inne miejsce. Gdybyś dostała świetną propozycję pracy w Fargo, Ty pojechałby z tobą, prawda?

Teraz ogarnęła ją złość na Elizabeth. W tym tempie niedługo straci wszystkich przyjaciół i pozostanie jej jedynie Simone.

— Kocham moją siostrę.

Elizabeth jęknęła.

— Mam już dość słuchania tego, Roxanne. Jeśli tak ją kochasz, powinnaś pozwolić jej żyć własnym życiem.

Roxanne zobaczyła Simone za burtą oraz przepływającą obok „Wilgę”. Nawet Elizabeth zdawała sobie sprawę, że Roxanne była swego rodzaju kamizelką ratunkową dla swojej siostry.

— Bierzesz jego stronę.

— Jaką stronę? Posłuchaj mnie, Roxanne. Nadszedł czas zatroszczyć się o siebie.

Rozmowy toczące się w innych boksach tworzyły cichy, przyjemny szum przerywany od czasu do czasu przez krótki śmiech. Wyglądało na to, że jedynie Roxanne omawiała swoje problemy przy śniadaniu.

— Aniołowie naprawdę istnieją — stwierdziła Elizabeth. — Jestem tego pewna. Nie mają skrzydeł, aureoli ani całej reszty. Przybierają postać ludzi, którzy pojawiają się w naszym życiu. Na przykład ja byłam aniołem dla ciebie, kiedy się poznałyśmy. Gdyby nie doszło do naszego spotkania, nadal mieszkałabyś w domu rodzinnym.

Już wcześniej rozmawiały na ten temat. Roxanne podobała się wizja Elizabeth jako ładnego aniołka z blond włosami, który wleciał do jej życia, schował skrzydła i szatę, a zaczął nosić dżinsy oraz brokatowe T-shirty.

— A potem pojawił się Ty i on także był aniołem. Przekonał cię, że masz prawo wyjść za mąż i założyć własną rodzinę. — Roześmiała się. — Anioł o imieniu Tyrone. Wydaje mi się jednak, że otrzymałaś już wystarczająco dużo niebiańskiej pomocy. Teraz ty decydujesz o własnym życiu, ty musisz podjąć decyzję. Czas stać się własnym aniołem.

ROZDZIAŁ 6

W drugiej połowie lipca i przez większą część sierpnia Roxanne często czuła zadowolenie z faktu, że telefon Merell oraz podróż Tya do Chicago zdarzyły się w tym samym tygodniu, wywołując kryzys, który — choć trudny do opanowania — umocnił jej małżeństwo. Gdy Simone się skarżyła, że Roxanne jej nie odwiedza, gdy męczyła Roxanne, aby zrobiła dla niej zakupy, czytała jej, grała z nią w remika albo myła jej włosy, Roxanne mogła otwarcie powiedzieć, że uwolnienie się od Simone było najtrudniejszą próbą, jakiej została poddana. Mimo to robiła postępy.

W sierpniu zdarzały się chwile, gdy Roxanne czuła, że odzyskuje wolność. Spała do późna, czytała książkę na tarasie, popijając poranną kawę, i pracowała w ogrodzie po łokcie w kompoście i mierzwie. Przeczytała gdzieś, że osoby zajmujące się ogrodnictwem są z natury bardziej optymistycznie nastawione do życia, ponieważ wierzą w przyszłość. Ten opis pasował tamtego lata do Roxanne. W weekendy wędrowali z Tyem ulubionymi szlakami w górach Cuayamaca i Laguna, odkrywali nowe sklepy i restauracje w miasteczkach wzdłuż wybrzeża od San Diego do Dana Point. Śmiali się, kochali i byli szczęśliwsi niż kiedykolwiek. Rozmawiali nawet o dziecku. Po uwolnieniu się od Simone, Roxanne przestała odgrywać rolę wiecznie odpowiedzialnej siostry-opiekunki. W końcu mogła stać się normalną żoną i matką.

W OCZEKIWANIU na oficjalną propozycję pracy nie rozmawiali zbyt wiele o Chicago, ponieważ byli pewni, że wkrótce się pojawi. Lecz gdy dni zaczęły zamieniać się w tygodnie i nie było żadnych wieści, temat przeprowadzki stał się drażliwy. Przypominał napięty nerw, którego woleli nie dotykać. Gdy w końcu zadzwonił biolog, który popierał kandydaturę Tya na to stanowisko i miał być jego współpracownikiem, w ciągu niespełna trzech minut ich nastroje zmieniły się z radosnych w ponure.

Ty odłożył telefon, poszedł do kuchni i nalał sobie dużą szklankę zimnej wody z lodówki. Roxanne pozostała w salonie. Przygryzając wargę, składała pranie.

— Posadę otrzymał facet z Harvardu. — Stał w przejściu pomiędzy dwoma pokojami. Z wyrazu jego twarzy nie dało się niczego wyczytać. — Edgar Lessing.

— Ty, tak mi przykro.

Nigdy nie chciała przenosić się do Chicago, ale z drugiej strony pragnęła, aby świat docenił Tya, ponieważ w pełni na to zasługiwał.

— Znam go. To dobry facet. Dokonali właściwego wyboru.

— To ty powinieneś otrzymać tę pracę. — Rzuciła do kosza T-shirt. — Podali jakiś powód?

— Uznali, że nie włożyłem w to całego serca.

— Serca?

— Tak.

— Co to oznacza?

— W ten sposób chcą się chyba wytłumaczyć, nie mówiąc jednocześnie nic konkretnego.

Na jego twarzy pojawił się wyraz zdumionego rozczerowania, ale niemal natychmiast zniknął niczym cień śmy przy świetle świecy. Zastąpiła go maska obojętności. Roxanne rozumiała sytuację, w której się znalazł, i nie winiła go za to, że nie chciał rozkładać na czynniki pierwsze swojego pobytu w Chicago, analizować rozmów kwalifikacyjnych ani koncentrować się na odbytych spotkaniach. Wiedziała, że dwadzieścia lat temu mogłaby usłyszeć następujące pytanie zadane wprost: „Jeśli mężczyźnie zależy na pracy, to gdzie jest jego żona? Dlaczego go nie wspiera?”. Podejrzewała, że teraz mówiono to samo, ale nieoficjalnie, w prywatnych rozmowach.

Mijały dni, a Ty prawie w ogóle się nie odzywał. Uczestniczył jedynie w wymianie grzecznościowych zwrotów, co było jeszcze gorsze, niż gdyby w ogóle zamilkł. Roxanne miała wrażenie, że albo dom się skurczył, albo to oni zaczęli zajmować więcej miejsca i zachowywali się nieporadnie w swojej obecności.

Chodzili wokół siebie na palcach, okazywali sobie przesadną uprzejmość i przepaszali się za rzeczy, które nie miały znaczenia: za listy pozostawione w skrzynce, za nieumytą szklankę na blacie kuchennym. Nie miała pojęcia, czy Ty w taki sposób radzi sobie z rozczarowaniem, czy jest na nią zły, a może — i to wydawało jej się najbardziej prawdopodobne — jego zachowanie wynikało z połączenia obu tych czynników. Słyszała jego myśli. Słyszała, jak oskarża ją i ma do niej żal. W końcu nie mogła tego dłużej znieść.

— Jesteś rozczarowany, Ty. Wiem o tym. Mam wrażenie, że to moja wina. Gdybym pojechała wtedy z tobą...

— To zamknięta sprawa, Roxanne. Daj spokój.

— Proszę, porozmawiaj ze mną.

— Nie ma sensu.

Jego zdawkowe odpowiedzi wzbudzały w niej wściekłość, w rezultacie zaczęła się odnosić do niego z niechęcią. Zrozumiała, że rozmowy przypominały pokoje. Ona otworzyła drzwi, ale to on musiał zdecydować, czy przez nie przejść. A gdy tego nie robił, czuła się urażona. Wydawało jej się, że zajrzał do środka, zobaczył, że nie ma tam nic interesującego, i odszedł.

Roxanne zaczęła spędzać coraz więcej czasu z Simone tylko po to, by wyjść z domu. I choć zdawała sobie sprawę, że w ten sposób niweczy swoje postępy i z każdą kolejną godziną spędzoną z Simone rośnie dystans pomiędzy nią a Tyem, nadal w to brnęła.

Nie zamierzała nikogo błagać.

PEWNEGO DNIA pod koniec sierpnia Roxanne szykowała się do powrotu do domu po popołudniu spędzonym z siostrą. Były same, ponieważ niania Franny zabrała dzieci do Wodnego Świata. Przy wyjściu spotkała Johnny'ego. Wychodził z garażu i kierował się do kuchni. Rozłożył szeroko ramiona i ją przytulił.

— Rox, co ty tutaj robisz?

— Byłam z bliźniaczkami u dentysty. W nagrodę poszły z nianią Franny do Wodnego Świata. Nie mają żadnych ubytków.

— Ta dziewczyna każe im szorować zęby rano i wieczorem.

— Umówiłam też Simone. Wydaje mi się, że od kilku lat nie była u kontroli. Na jej zębach osadził się kamień.

— Jesteś dobrą siostrą, Roxanne. Naprawdę doceniam to, co dla niej robisz. Chodź do mojego gabinetu, napijemy się drinka.

— Właśnie wychodzę do domu.

— Dżin z tonikiem?

Johnny był wysokim, przystojnym i uśmiechniętym mężczyzną o budowie buldożera. Otaczał go urok, któremu niemal nie można się było oprzeć. Miał też w sobie żar, który sprawiał, że gdy wchodził do pokoju, ustawały wszystkie rozmowy. Na początku Roxanne nie potrafiła zaufać tak czarującemu i przystojnemu mężczyźnie. Jednak z czasem jej wątpliwości zniknęły, ponieważ widziała, jak bardzo jest oddany Simone i rodzinie. Oczywiście miał trudny charakter, potrafił ranić złośliwościami, ale Roxanne nauczyła się tego unikać.

Biurko w gabinecie usiane było planami budowy, specyfikacjami technicznymi, foliowymi koszulkami, aktami oraz wypchanymi kopertami z papieru pakunkowego. Roxanne miała nadzieję, że Johnny nigdy nie będzie musiał odszukać czegoś w pośpiechu w tym bałaganie. Zdjęcia Johnny'ego z gubernatorem, burmistrzem oraz dwoma senatorami z Kalifornii wisiały na ścianie obok fotografii przedstawiających Simone z dziewczynkami, siostry Johnny'ego oraz jego rodziców.

Roxanne pozwoliła poprowadzić się do wygodnie wysiedzianego skórzanego fotela.

— Unieś stopy — zaproponował Johnny, podsuwając jej podnózek. — Jesteś nauczycielką, a nauczycielki mają zmęczone nogi.

To było typowe dla Johnny'ego. Chciał, aby czuła się w jego domu dobrze, aby czuła się doceniana. Roxanne podejrzewała jednak, że jej szwagier nie wiedział nawet, kiedy rozpoczyna się rok szkolny. Poza tym była niemal pewna, że wcześniej nie zawracał sobie głowy jej zmęczonymi stopami. Wspomniał o nich tylko po to, aby zjednać ją sobie pochlebstwami.

— Jak się dzisiaj miewa Merell? — zapytał zza barku.

— Cały dzień siedziała z nosem w książce.

Podał jej wysoką kryształową szklankę, w której unosiły się

bąbelki gazowanej wody.

— Wiedziałem, że zamieszanie wokół wydarzeń z poprzedniego miesiąca w końcu ucichnie. Nadal jednak nie mam pojęcia, co się wówczas dokładnie stało. Oboje wiemy, że Merell jest zbyt inteligentna, aby bez powodu zadzwonić na policję.

Roxanne wiedziała jedynie, że inteligentne dzieci potrafiły robić szalone rzeczy, gdy rodzice nie zwracali na nie uwagi. Najlepsza niania na świecie nie mogła zastąpić kochającego rodzica.

— Wydaje mi się... — zaczęła. — Możliwe, że czuje się nieco zagubiona. Tyle w domu dzieci... i Simone. Pewnie chciała zwrócić na siebie uwagę.

Johnny zmarszczył brwi i wbił wzrok w drinka.

— Wiele razy widziałam takie zachowanie, Johnny. — Roxanne uważała, aby w jej wypowiedzi nie pojawił się nawet cień oskarżycielskiego tonu. — Łatwo jest zlekceważyć mądre i zaradne dzieci. Zwykle zapominamy, że one nadal pozostają dziećmi.

Opowiedziała Johnny'emu o zabieganej samotnej matce, którą poznała na jednym z zebrań z rodzicami. Choć jej syn niedawno skończył trzynaście lat, miał już ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, ważył sto kilo i golił się dwa razy w tygodniu. Należał jednak do grupy najlepszych uczniów zarówno pod względem nauki, jak i zachowania.

— Zapytałam ją, jak ona to robi. A ona odpowiedziała: „To, że jest już duży, nie oznacza, że nie potrzebuje przytulania”.

W trakcie mówienia myślała o Tyu, o jego obojętnej masce, którą nosił na twarzy od czasu otrzymania wiadomości z Chicago. Ciężko było uwierzyć w miłość, gdy trzymana była w ukryciu.

— Merell wie, że ją kocham — odparł Johnny nieco urażonym tonem.

— Ale nie zaszkodzi jej o tym przypomnieć.

Od wielu tygodni spojrzenia Roxanne i Tya nie mówiły już: widzę cię, znam cię, kocham cię.

— Uwierzysz? Potrafię dokładnie wskazać moment, w

którym zakochałem się w twojej siostrze. — Na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech odpędzający zmartwienia związane z policją oraz małymi dziewczynkami potrzebującymi pomocy. — Parking przy college’u Mesa był niemal pusty. Pod jedną z tych lamp rzucających światło w kolorze siarki stał samotnie mały żółty kabriolet BMW, a obok niego niesamowita dziewczyna, która wyglądała na zagubioną. Zatrzasnęła kluczyki w aucie razem z telefonem komórkowym. Pomógłbym jej bez względu na to, kim była, ale nawet sobie nie wyobrażasz, jak pięknie i bezradnie wyglądała. Właśnie wtedy się w niej zakochałem.

„Chciałeś bezradną żonę, to masz” — pomyślała Roxanne.

Ty szukał zupełnie czegoś innego — niezależnej kobiety, która kocha swoją pracę. A przynajmniej tak mówił. Teraz wyglądało na to, że wolałby mieć żonę, która gotowa byłaby rzucić wszystko i pójść za nim niczym pies. Nienawidziła się za takie myślenie. Wiedziała, że prawda była inna.

Johnny nie zauważył jej rozkojarzenia.

— Gdy udało mi się otworzyć drzwi do samochodu, zaprosiłem ją na kawę. Nie spodziewałem się, że się zgodzi. Przecież byłem zupełnie obcym facetem, a ona była taka młoda. Miała co prawda osiemnaście lat, ale wydawała się niedoświadczona. A ile ja miałem lat? Dwadzieścia dziewięć? Od dłuższego czasu umawiałem się na randki, ale nigdy nie spotkałem kobiety, która miałaby w sobie tyle kobiecości. Najbardziej jednak pociągała mnie w niej niewinność. Czułem się, jakbym dostał obuchem w głowę.

Po raz pierwszy od wielu dni Roxanne miała ochotę roześmiać się w głos. Jak zareagowałby Johnny, gdyby ktoś mu powiedział, że dał się nabrać, a niewinność Simone była jedynie pozą? Od razu odpowiedziała sobie na to pytanie. Nie uwierzyłby. Ona sama miała trudności, aby dać wiarę słowom siostry.

W dniu gdy Simone poznała Johnny’ego na parkingu i spędziła z nim godzinę w Starbucksie, Roxanne przebywała w mieszkaniu, które dzieliła z Elizabeth. Była prawie północ, a ona jeszcze nie skończyła oceniać sterty esejów. Elizabeth siedziała w

swoim pokoju i surfowała po Internecie. Odwiedzała różne strony poświęcone reinkarnacji oraz anielskim objawieniom, które uwielbiała.

Nagle usłyszały walenie do drzwi wejściowych. Roxanne odłożyła czerwony długopis, Elizabeth wyszła ze swojego pokoju, a za nią wybiegł, głośno ujadając, jej miniaturowy sznaucer.

Roxanne spojrzała przez judasza, otworzyła drzwi i cofnęła się, ponieważ Simone wbiegła do środka.

— Roxy, jestem zakochana. Spotkałam najwspanialszego mężczyznę pod słońcem.

Elizabeth się roześmiała, podniosła psa i wróciła do swojego pokoju.

— Ma dwadzieścia dziewięć lat i prowadzi własną firmę. Jest taki przystojny i uprzejmy. To dżentelmen, tak jak BJ. Otwiera mi drzwi i robi inne podobne rzeczy. Sprawił, że czułam się jak lalka, jakbym była z porcelany. — Oplotła Roxanne ramionami i ścisnęła tak mocno, że o mało nie narobiła jej siniaków. — Poślubię go. On chce się mną zaopiekować.

— Tak powiedział?

— Nie. Ale widzę to.

Zaczęła tańczyć po małym mieszkaniu. Podskakiwała, kłaniała się i robiła piruety, wyśpiewując przy tym raz po raz jego imię.

— Johnny Duran, Johnny Duran, on jest najseksowniejszym mężczyzną, jakiego znam, Johnny Duran.

W JEDNYM z pokojów Celia włączyła odkurzacz. W salonie grał telewizor, choć nikt go nie oglądał. Roxanne chciała powiedzieć, że nadszedł już czas, aby wróciła do domu, ale Johnny jej przerwał, wracając do tematu Merell.

— Po tym zamieszaniu z telefonem na policję rozmawiałem z komendantem. Mamy szczęście, że jest moim dobrym przyjacielem. Powiedział, że gdyby jego córka wywinęła taki numer, umówiłby ją na wizytę z psychiatrą. Myślisz, że to dobry pomysł? — Zanim zdążyła odpowiedzieć, Johnny mówił dalej. — Nie lubię psychiatrów. Nie podoba mi się pomysł wprowadzania

obcej osoby do rodziny. Wiesz, o co mi chodzi? To przypomina sytuację, gdy przy pomiarach przez przypadek doliczy się gdzieś dodatkowy centymetr. Wszystko wtedy trafia szlag.

— Merell chętnie spędziłaby z tobą więcej czasu.

— Tak, tak, byłoby miło. Też bym tego chciał, tylko że teraz jestem zavalony robotą. Budujemy hotel w Vegas i to przedsięwzięcie zabiera mnóstwo czasu. — Wskazał na zarzucone papierami biurko. — Gdybym wiedział, jak wymagający będzie ten projekt, chybabym się go nie podjął. Moi klienci, Chińczycy — pieprzeni miliarderzy — chcieli, abym pracował podczas wrześniowego długiego weekendu, ale powiedziałem im, że zamierzam zabrać rodzinę nad jezioro. To nie podlegało negocjacom ani dyskusji. — Nagle się uśmiechnął. — Powinnaś z nami pojechać, Rox. — Johnny opadł na skórzany fotel za biurkiem i wypił swojego drinka jednym długim haustem. — Jak tam Ty?

Roxanne za żadne skarby nie chciała dzielić się z Johnnym Duranem osobistymi problemami.

— W październiku mamy pierwszą rocznicę ślubu.

— I co? Życie w małżeńskiej idylli?

— Coś w tym rodzaju.

Jej uśmiech, ton głosu — wszystko było sztuczne, ale nie martwiła się, że Johnny Duran coś zauważy. On widział i słyszał tylko to, co chciał.

— Hej, a może tutaj urządzimy przyjęcie z okazji waszej rocznicy? Ten dom nie widział prawdziwej imprezy od czasu waszego wesela. — Pochylił się do przodu. — Załatwię catering i zamówimy mały zespół. Nic nie sprawi mi większej przyjemności, Roxanne.

Jego zapał był zaraźliwy i w głębi serca chciała się zgodzić, aby sprawić mu przyjemność.

— Chyba jednak wymkniemy się gdzieś sami, ale dziękuję za propozycję.

— Gdybyś zmieniła zdanie, daj mi znać. — Znowu odchylił się na krześle. — Nad czym teraz pracuje twój małżonek?

— Nad tym samym, co rok temu. Nad jakimś super antybiotykiem. Mówi, że wirusy grypy nie zdążą się zorientować, co je zaatakowało.

— Rozumiesz te brednie?

Roześmiała się.

— Tylko tyle, aby zadawać na wpół inteligentne pytania.

— Nabrałaś go, co? — Johnny nalał sobie drugiego drinka.

— Wy, kobiety. Nie mamy z wami najmniejszych szans.

Johnny nigdy nie obrażał kobiet, wręcz przeciwnie. Lecz pod jego galanterią, pochlebstwami i serdecznym droczeniem się Roxanne wyczuwała głęboką protekcyjność, jakby chciał dać jej do zrozumienia, że jej nie szanuje, a jednocześnie wymuszał na niej, aby godziła się na prowadzoną przez niego grę pozorów.

Nadeszła najwyższa pora, aby wracać do domu, ale przed wyjściem musiała jeszcze coś powiedzieć. A jeśli go to zdenerwuje...

— Simone to sama skóra i kości, Johnny. Nie powinna zachodzić w ciążę tak szybko po urodzeniu Olivii. — Mogła również dodać, że Simone miała depresję, była zdezorientowana i niezdolna do zaopiekowania się dziećmi. — Myślę, że dziewczynki są zdziwione, gdy widzą, że ich matka nic nie robi, ale oddaje je pod opiekę niani Franny.

Nie minęła nawet sekunda.

— Ty się na tym znasz, prawda? Masz przecież ogromne doświadczenie w byciu rodzicem? — Zanim zdołała wymyślić odpowiednią ripostę, Johnny kontynuował swoją wypowiedź. — Simone przeszła wiele i trzeba przyznać... jest twarda. Na miejscu innych kobiet po tylu poronieniach już dawno dałaby sobie spokój.

— Zrobiła to dla ciebie, Johnny. Sama pewnie nie zdecydowałaby się na dzieci.

— Simone wie, jak bardzo pragnę syna, Rox. Mężczyźni potrzebują synów. Tacy już jesteśmy.

Tamtego popołudnia Simone powiedziała Roxanne, że jej zdaniem tym razem urodzi się chłopiec. Za tydzień ciąża będzie na tyle zaawansowana, że ultrasonograf wykaże, czy jej przeczucia

były prawdziwe.

— Kobieta jest szczęśliwa, gdy jej mąż jest szczęśliwy. W ten sposób funkcjonują małżeństwa, Roxanne.

Jego komentarz na pierwszy rzut oka wydawał się prawdziwy. Gdyby pojechała do Chicago, gdyby wywarła wspaniałe wrażenie na zebranych tam ludziach nauki... Nie chciała jednak dopuścić do siebie myśli, że tak właśnie wyglądało szczęśliwe małżeństwo — kobieta uszczęśliwiająca męża uległą postawą. Nie była aż tak zła na Tya, aby podejrzewać go o podobne poglądy.

— Simone jest młoda — kontynuował Johnny — i wygląda na to, że mamy przed sobą jeszcze wiele lat. Ale niekoniecznie. Nikt nie potrafi tego przewidzieć, prawda? Donosi tę ciążę albo nie. Nie ma żadnych gwarancji. Olivia może być naszym ostatnim dzieckiem. Dlatego nadal musimy próbować. Poznałaś mojego ojca. Gdy przybył do tego kraju, był jeszcze chłopcem. Po raz pierwszy prowadził samochód w wieku siedemnastu lat. Zaczynał od taszczenia betonowych cegieł na plecach, a skończył jako właściciel firmy. Był moim bohaterem. Ale pewnie o tym wiesz, Roxanne. Już to słyszałaś.

„Mimo to i tak jeszcze raz mi o nim opowiesz”.

A ona będzie uległa i wysłucha tego, co Johnny ma do powiedzenia.

— Tata zawsze chciał mieć syna, aby mógł po nim dziedziczyć, i moja matka postarała się o niego.

„Siedem córek i w końcu ostatni syn”.

Zaczynał się rozczulać.

— Tato opowiadał mi, jak się czuł w dniu, gdy przyszedłem na świat i po raz pierwszy wziął mnie na ręce. Powiedział mi, że wtedy w końcu zrozumiał, po co się urodził. — Głos Johnny'ego drżał z emocji.

Roxanne patrzyła, jak szwagier próbuje pohamować łzy i wyciera oczy wierzchem dłoni. Widząc na jego policzkach rumieniec zażenowania, zrozumiała, że jej uczucia względem niego wcale nie oscyływały pomiędzy miłością i niechęcią. Czowała

do niego jednocześnie jedno i drugie. Pojemność ludzkiego serca do pomieszczenia tak kontrastujących emocji zadziwiła ją, ale też martwiła. Godziło to bowiem w jej naturalną potrzebę uporządkowania świata.

— Muszę już iść.

— Nie, poczekaj. — Uśmiechnął się i wraz z jego ujmującym uśmiechem atmosfera w pokoju uległa zmianie. Johnny ponownie zmienił się w czarującego buldożera. — W piątek wyjeżdżamy nad jezioro i chciałbym, abyś pojechała z nami. Bez gadania. To ostatni długi weekend lata, a ty i Ty potrzebujecie wakacji.

To nie była zwykła propozycja wyjazdu. Po otworzeniu się przed nią po raz kolejny próbował zyskać jej poparcie. Jeśli przyjmie zaproszenie, da mu do zrozumienia, że po wysłuchaniu jego szczerych wyznań nie uważa go za słabeusza i że rozumie jego miłość do ojca oraz potrzebę splodzenia syna.

— Wrócimy z samego rana w poniedziałek, więc będziesz miała cały dzień, aby przygotować się do pracy w szkole. Proszę cię, Rox. To dla mnie ważne. Dla nas wszystkich.

— Chowder...

— Pies to żaden problem. Bierzemy samolot, więc może lecieć z nami.

— Masz własny samolot?

— Firma go wynajmuje. Spędzam tyle czasu w Vegas, że naprawdę się przydaje.

— I sam go pilotujesz?

— Boże, nie, kiedy miałbym się tego nauczyć? Zatrudniamy pilota.

Granitowe góry Sierra Nevada, las i spokojne jezioro.

— Prawdę mówiąc, pojedę sama — odparła. — Ty przez cały weekend nadzoruje eksperyment.

Ów eksperyment stanowił zakończenie drugiego etapu badań. Ty zapowiedział, że przez najbliższych kilka nocy będzie spał w laboratorium. Nigdy tego nie robił, więc doszła do wniosku, że po prostu znalazł wymówkę, aby być z dala od niej, ale teraz

pomyślała, że rozłąka dobrze im zrobi.

Skoro on mógł nocować poza domem, dlaczego ona miałaby sobie tego odmówić? Poza tym weekend nad jeziorem pozwoli jej spędzić więcej czasu z Merell. Simone się ucieszy, a Chowder będzie wniebowzięty.

— Swoją obecnością sprawisz ogromną radość Simone — powiedział Johnny. — Będzie jak za dawnych czasów.

Za dawnych czasów...

ROXANNE MIESZKAŁA na ranczo babci do ukończenia dziewiątego roku życia. To, co początkowo wydawało się dziwne, z czasem stało się znajome i przytulne. Choć jej pobyt tam trwał kilka lat, matka nigdy jej nie odwiedziła. Jedynie raz bądź dwa razy w miesiącu Roxanne znajdowała w skrzynce pocztowej kartki ze słoneczkiem podpisane: „Bądź grzeczna. Pozdrawiam, Mama”. Czasami na kartce była wiadomość opisująca poczynania mamy, ale zwykle widniały na niej te same cztery słowa. Sobotnio-wieczorne telefony z San Diego stawały się z każdym mijającym tygodniem i miesiącem coraz krótsze i bardziej krępujące. Bez względu na to, jak bardzo Roxanne ich wyczekiwała, nigdy nie potrafiła podzielić się z matką swoimi przemyśleniami ani uczuciami. Ellen zwykle mówiła:

— Jak sobie tam radzisz, Roxanne? Czy babcia wynajduje ci różne zajęcia? Założę się, że tak.

A Roxanne przeważnie nie wiedziała, jak ma zareagować, ani czy matka w ogóle oczekiwała odpowiedzi. Podczas długich momentów ciszy słyszała w słuchawce oddech matki oraz pobrzmiwające w nim nuty melancholii i niezadowolenia, które zagnieździły się głęboko w sercu Roxanne i jeszcze przez wiele kolejnych dni powodowały ukłucie bólu.

Gdy Roxanne była już dziewięcioletnią dziewczynką, w pewien czwartek, niczym dziwaczne tornado nadciągające z południa, niespodziewanie zadzwoniła Ellen i powiedziała, że w sobotę zabiera córkę do San Diego. Nie miała czasu, aby zatrzymać się na ranczo, ponieważ Roxanne w poniedziałek rano zaczynała już szkołę.

Tego samego dnia babcia pojechała do Daneville i kupiła czerwoną płócienną walizkę, do której Roxanne miała spakować wszystkie zgromadzone przez ostatnie lata rzeczy: niebieskie dzinsy i ubrania do szkoły, buty z lakierowanej skóry na specjalne okazje, zbiór opowiadań o psach oraz pudełko pełne małych skarbów i pamiątek. W sobotni poranek walizka leżała otwarta na łóżku Roxanne; przypominała rozwartą paszczę gotową połknąć jej życie w Daneville i wypluć je w San Diego. Nagle na plecach poczuła delikatne pchnięcie ciepłej i szorstkiej dłoni babci, która dawała jej w ten sposób znać, aby się pospieszyła.

— Przyjedzie przed obiadem. — Głos babci zabrzmiał szorstko. Odchrząknęła, po czym dodała: — Przygotuję kolację, abyś mogła coś zjeść w samochodzie. Matka pewnie będzie od razu chciała ruszyć w drogę.

— Ale ja nie chcę jechać. — Roxanne oplotła ramionami korpulentne ciało babci i przycisnęła twarz do jej flanelowej koszuli. — Chcę zostać z tobą.

Roxanne wiedziała, że nie było sensu dyskutować na ten temat. Nie dlatego, że babcia była uparta (choć rzeczywiście była), nie dlatego, że chciała się pozbyć Roxanne (obie wiedziały, że było inaczej). Babcia wyznała szczerze, że chciałyby, aby dziewczynka mogła z nią zostać, ale to matka Roxanne była jej prawnym opiekunem. Dodała też, że człowiekowi może pękać serce, ale z prawnego punktu widzenia nie ma to żadnego znaczenia.

Po latach spędzonych w dużym domu babci mieszkanie w San Diego wydawało się ciasne i bez względu na to, jak mocno Roxanne je szorowała, unosił się w nim odór brudu. A szorowała dokładnie, tak jak nauczyła ją babcia. Nie zapominała o kątach i przestrzeniach pod meblami, gdzie leżały martwe pająki. Starła się być szczęśliwa i tak dobrze wychodziło jej udawanie dobrego samopoczucia, że potrafiła oszukać nawet samą siebie. Jednak gdy wieczorem szła spać albo budziła się rankiem, myślała o babci, która nazywała ją „swoją małą dziewczynką”.

Te słowa były dla Roxanne niezwykle ważne.

Po upływie tygodnia od powrotu do San Diego Roxanne

zapytała o ojca Simone. Odpowiedź Ellen zakończyła rozmowę oraz nie zachęcała do podejmowania tego tematu w przyszłości.

— Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi. Ciebie też nie powinno, jeśli nie chcesz mi się narazić.

Dawne czasy.

Roxanne szybko nauczyła się opiekować siostrą. W porze obiadowej Ellen wracała do domu ze szkoły pośrednictwa handlu nieruchomościami i przebierała się w strój, w którym pracowała w barze Kapitan Jack w Mission Beach. Simone często była niespokojna w nocy i by ją uspokoić, Roxanne brała ją do siebie do łóżka. Skóra Simone była miękka i ciepła, jakby w jej środku ktoś rozpałił ognisko.

Była małym nerwowym stworzeniem, które cały czas się uśmiechało, ale potrafiło jedynie leżeć i poruszać kończynami jak odwrócony na plecy żółw. Miała duże oczy w nieco ciemniejszym i głębszym odcieniu brązu niż jej starsza siostra i czasami, w pewnym oświetleniu Roxanne nie potrafiła dostrzec granicy pomiędzy jej źrenicami a tęczęwkami. Gdy spała, rzęsy spoczywały na kościach policzkowych niczym małe szczoteczki.

Simone różniła się od dzieci, o których Roxanne czytała w otrzymanych od matki książkach poświęconych opiece nad niemowlętami i małymi dziećmi. Miała inny rytm snu i czuwania, nie przewracała się na brzusek ani nie siadała zgodnie z przedstawionymi tam schematami. Ellen powiedziała, że nie ma się tym przejmować.

— Jest leniwa, to wszystko. Nie wszyscy są tacy genialni jak ty.

Po powrocie do San Diego przez niemal całą jesień Ellen nie puszczała Roxanne do szkoły.

— A jeśli ktoś mnie zobaczy? Będę miała kłopoty z powodu wagarów.

— No to nie wychodź z domu. — Ellen miała odpowiedź na wszystko. — Wtedy nikt się nie zorientuje, że wróciłaś.

— Zapomnę, jak się wykonuje działania matematyczne. — Poza tym istniały inne ciekawe zagadnienia, na przykład ułamki,

które babcia zaczęła jej objaśniać. — A jeśli nie zdam do następnej klasy? — To było najgorsze.

Ellen się roześmiała.

— Prędzej piekło zamarznie.

Wyglądało jednak na to, że Ellen wzięła sobie do serca obawy Roxanne, ponieważ przyniosła jej stertę ćwiczeń z matematyki z mnóstwem zadań arytmetycznych wydrukowanych na miękkim szarym papierze. Z tyłu były podane odpowiedzi, więc mogła sprawdzić poprawność ich wykonania. Poza tym dostała krzyżówki dla dzieci, duże bloki rysunkowe z tego samego szarego papieru, który przypominał materiał, oraz ogromne pudełko kredek świecowych. W sklepie z artykułami używanymi, który znajdował się w pobliżu szkoły, Ellen udała ubogą kobietę i dzięki temu otrzymała za darmo karton starych wydań „National Geographic”.

— Będiesz miała się czym zająć — stwierdziła matka, kładąc pudło na łóżku Roxanne.

Roxanne śledziła rozwój Simone na kartach kalendarza i doszła do wniosku, że choć przymiotnik „leniwy” dobrze opisywał zachowanie młodszej siostry, nie wyjaśniał jej odmienności. W wieku, w którym według książek powinna chodzić, biegać i odkrywać świat, Simone z radością siedziała i bawiła się w pojedynkę, wyjmując zabawki z foliowego worka i wkładając je tam z powrotem. I tak bez końca. Grymasiła, gdy Roxanne nie chciała jej nosić, wpadała w szal, gdy wyciągano ją z wózka i kazano chodzić. Ellen nie mogła się uczyć w takim hałasie! Kazała więc Roxanne ją nosić, wsadzać do wózka lub szukać smoczka.

— To się opłaci — obiecywała córce. — Zobaczysz. Pewnego dnia będę zgarniać wielkie prowizje. Będziemy bogate.

Roxanne przekonała się już, że nie należało wierzyć w większość obietnic matki, ale trzeba przyznać, że tę akurat spełniła. Ellen potrafiła rozgryźć kupujących domy. Łączenie ludzi z nieruchomościami, które do nich pasowały, traktowała jak grę. Pięć miesięcy po rozpoczęciu pracy w Vadis Group przeprowadziły się do dzielnicy Point Loma — do domu jednorodzinnego z dwoma sypialniami i balkonem, z którego

widać było niewielki skrawek niebieskiej zatoki.

Roxanne poszła tam do szkoły i po kilku tygodniach nadrobiła zaległości. Była zaskoczona, że większość koleżanek i kolegów nigdy nie słyszała o ułamkach i gdy w końcu ten temat pojawił się na lekcjach, zostawiła wszystkich w tyle. Pisała długie listy do babci, w których opowiadała o tym, czego się uczyła, a babcia, dopóki żyła, odpisywała na nie co tydzień.

Ellen oddała Simone pod opiekę niani — kobiety, która starała się ją oskubać z pieniędzy. Codziennie po szkole Roxanne szła trzy przecznice do domu opiekunki, gdzie czekała na nią Simone. Z drugiego końca ścieżki widziała małą siostrę chwiejącą się za przeszklonymi drzwiami i słyszała uderzenia jej małych rączek o aluminiową ramę. Gdy Simone ją dostrzegła, wykrzykiwała coś na kształt imienia starszej siostry i zaczynała uderzać jeszcze mocniej. Roxanne nigdy nie czuła się tak kochana, jak w chwili, gdy słyszała niewysłowioną radość z ponownego spotkania.

CZEKAJĄC NA ZAMKNIĘCIE SIĘ elektronicznej bramy do domu Duranów, Roxanne wspominała tamte czasy i zdała sobie sprawę, że więź łącząca ją z siostrą była zbyt silna, aby pozwolić którejkolwiek z nich prowadzić w pełni niezależne życie. Jednocześnie nie potrafiła wybaczyć Tyowi uporu, z jakim nalegał, aby odwróciła się od miłości, którą tak szczerze darzyła ją Simone, zwłaszcza teraz, gdy sam pogrążył się w rozmyślaniach i stał się małomówny.

ROZDZIAŁ 7

Jezioro Huntington, sierpień 2009

Podczas lotu nad jezioro Merell była tak podekscytowana, że nie mogła przestać mówić, pomimo iż zdawała sobie sprawę, że zaczyna przypominać encyklopedię. Gdy samolot przelatywał nad drogą, która ciągnęła się od doliny San Joaquin przez pogórze i wiała się pośród sosen oraz szarego kamiennego chłodu skał, poinformowała ciocię Roxanne, że Huntington było najstarszym spośród jezior utworzonych przez elektrownię Edison Power. W tym podłużnym, powstałym w latach trzydziestych dwudziestego wieku zbiorniku lodowatej kobaltowoniebieskiej wody miały się gromadzić roztopy z gór Sierra Nevada. Gdy zaczęła wyjaśniać, w jaki sposób woda jest tłoczona z jeziora Edison do Huntington, a następnie do jeziora Shaver, tatuś poprosił, aby dała sobie z tym spokój i zamilkła. Ale nie zrobił tego w złośliwy sposób. Merell wiedziała, że on także kocha to jezioro.

Po wylądowaniu Chowder pierwszy wyskoczył z samolotu, dając wszystkim jasno do zrozumienia, że woli stąpać twardo po ziemi. Z podejrzliwością spoglądał na białego range rovera prowadzonego przez Aldo, opiekuna domku nad jeziorem, i nie chciał wsiąść do samochodu, dopóki ciocia Roxanne nie pozwoliła mu jechać na kolanach, choć ważył około czterdziestu kilogramów.

Oprócz gór, jeziora oraz domu Merell uwielbiała również jedyną drogę, która wiała się wokół zbiornika. Odchodziło od niej mnóstwo prywatnych podjazdów — większość z nich nie była nawet utwardzona. Wśród drzew dostrzegła domki na palach, mocno osadzone na stromych zboczach. Wiele z nich już było pozamykanych, jakby spodziewano się nadejścia wczesnej zimy.

Droga wyglądała tak, jakby pochodziła z innej epoki — to też jej się podobało — była wąska i kręta, a po obu jej stronach rósł gęsty las. Minęli kilka hoteli, ale mamusia stwierdziła, że wolałyby spać na dworze niż w jednym z nich. Nigdzie nie było widać barów z fast foodem. Tatuś powiedział, że najbliższy Pajacyk znajduje się aż we Fresno, w odległości stu sześćdziesięciu kilometrów. Nad jeziorem nie było śródmieścia, dyskontu, apteki czy supermarketu, ale w pobliżu pasa lotniczego znajdowała się przystań, przy której zacumowano około setki łodzi. Można się tam było zaopatrzyć w sprzęt żeglarski, wędkarski i biwakowy. Aldo powiedział tatusiowi, że stacja benzynowa wybudowana naprzeciwko przystani wzbogaciła się na motocyklistach, którzy nie mieli na tyle rozsądku, aby zatankować w dolinie. W jednym z hoteli strażnik leśny wygłaszał wieczorami pogadanki na temat zwierzyny dla ludzi nocujących na miejscowym polu namiotowym, które było zapełnione jedynie do połowy, pomimo iż był to ostatni w lecie długi weekend.

— Rzadko kiedy zajęte są tam wszystkie miejsca — powiedziała cioci Roxanne — ponieważ duże łodzie niezbyt dobrze sobie tutaj radzą. Nie mogą płynąć za szybko, bo znajdujemy się zbyt wysoko nad poziomem morza.

— Przez to miejscowość wolno się rozwija — dodał Johnny. — Panuje tutaj spokój.

— Ale nam się to podoba — przyznała Merell.

* * *

JOHNNY OKREŚLAŁ domek nad jeziorem mianem chatki, więc Roxanne spodziewała się rustykalnego budynku z gankiem, w którym poza sezonem myszy tańczyły po okrytych prześcieradłami meblach. Okazało się jednak, że była to urocza dwupiętrowa rezydencja ze stromym dachem pokrytym ciemnobrązowym gontem i rzędami okien z jaskrawoniebieskimi okiennicami.

— Johnny nie powinien był wydawać na ten dom tyle pieniędzy — powiedziała Simone, gdy przejeżdżali przez bramę. — Ale bardzo się cieszę, że go mamy. Tutaj ludzie raczej nie

sprzedają domów, zwłaszcza tak dużych jak ten. Johnny mówi, że jest cenniejszy od złota.

Pozostawiając mężczyznom rozładowanie samochodu, Roxanne, Simone i dziewczynki ruszyły na tyły domu i skierowały się w stronę jeziora. Z tyłu dobiegał je płacz małej Olivii.

— Franny się nią zajmie — stwierdziła Simone i złapała siostrę za rękę. — Jestem na wakacjach. Nie chcę rozmawiać o Olivii.

Z przodu szły Victoria i Valli. Próbowwały naśladować Merell, która robiła idealne gwiazdy na trawie. W czerwono-niebieskich szortach i jaskrawych T-shirtach wyglądały jak trzy kwiatki kołysane porywistym wiatrem.

— Czasami myślę, że miło byłoby zamieszkać tu na stałe. Tutaj wszyscy wydają się szczęśliwsi. Problem w tym, że w zimie zamykają drogę. Nie można nawet wynająć pługu.

Simone patrzyła z uśmiechem na córki.

— On myśli, że dzieci będą zapraszać tutaj swoich przyjaciół podczas wakacji, urządzać imprezy i wyścigi żaglówek. Zaprojektował nawet kilka kortów tenisowych z boku domu. Twierdzi, że tenis i żeglarstwo to „elitarny” sporty. — Roześmiała się, przytuliła Roxanne i wyszeptwała: — Widziałaś reklamy Ralpha Laurena? Właśnie tak chciałby żyć Johnny.

Szły pod rękę, aż dotarły na drugi koniec trawnika, gdzie stał sięgający do ramienia kamienny mur. Oddzielał on ogród od dziesięciometrowego klifu wyrastającego ponad jeziorem.

Przechyliły się przez niego i spojrzały na drugą stronę. W dole, u podstawy schodów, które wykuto w granicie, unosił się na wodzie pomost. Przywiązano do niego małą żaglówkę oraz ponton.

— Masz łódź, Simone. Dlaczego tutaj nie żeglujesz?

— Nie lubię.

— Dlaczego? Przecież masz ku temu odpowiednie warunki. Jest wiatr i woda. Czego ci jeszcze brakuje?

— Nie lubię słodkiej wody — odparła Simone. — Woda morska unosi cię i splywa po twarzy, wydaje się bardziej gęsta. Gdy mnie otacza, czuję się bezpieczniej.

— A więc po co ci żaglówka?
— W przyszłym roku Merell jedzie na wakacyjny obóz żeglarski, a bliźniaczki we wszystkim chcą ją naśladować.
— Nadarza się więc idealna okazja, abyście mogły pojechać tam razem.
— Tak, tylko że obóz organizują tutaj.
— Ale przecież nie musicie przyjeżdżać akurat tutaj.
Możecie popłynąć na wyspę Shelter.

— Przestań organizować mi czas, Rox! — Simone uderzyła siostrę w ramię na tyle mocno, że sprawiła jej ból. — Po co ci mówiłam o żeglowaniu? Nigdy bym o tym nie wspomniała, gdybym wiedziała, że się tego uczepisz. Ten okres mam już za sobą.

— Simone, ty nawet jeszcze nie skończyłaś trzydziestu lat. Możesz robić, co tylko zapragniesz. — Roxanne potarła bolące ramię. — Powinnaś zająć się kickboxingiem.

— Nie chodzi tylko o wodę. Chodzi o to, co leży na dnie. Jezioro było zbyt wzburzone, aby móc dostrzec, co znajduje się pod jego powierzchnią.

— Pamiętasz opowieści Merell o powstaniu tego zbiornika? Zanim przybyli inżynierowie, u podnóża stromego klifu rozciągała się dolina, w której leżało małe miasteczko i płynęła rzeka. Kiedy zbudowano zaporę, woda wszystko zalała, ale pozostałości osady znajdują się na dnie. — Wzdrygnęła się. — Mam przez to dreszcze.

Valli podbiegła do nich na bosaka. Złapała Simone za rękę i zawołała:

— Mamo, pokręć się ze mną.
Simone zrzuciła sandały.
— Pamiętasz, jak same tak robiłyśmy, gdy byłyśmy małe? No dalej, Rox, to świetna zabawa.

Gdy dzień był upalny, Roxanne odbierała Simone od opiekunki i razem szły na wzgórze w pobliskim parku, aby pobawić się wśród spryskiwaczy. Zwykle miały na sobie krótkie spodenki i gumowe klapki, które dzieci w szkole Roxanne

nazywały „człapami”. Łapały się za ręce i kręciły się w kółko, odchylając głowy do tyłu. Widziały wówczas tylko wirujące niebo. Teraz zrobiły to samo. Ziemia obracała się pod ich stopami, a ponad głowami chmury i słońce zataczały okręgi w zawrotnym tempie. Kręciły się, aż w końcu z jękiem upadły na plecy. W górze chmury pędziły po błyszczącym błękitnym niebie, pulchne niczym złociste pierożki. Pod złotym okiem słońca ziemia wznosiła się na spotkanie nieba, które odbijało się w wodzie jeziora, nadając mu niebieskożółtawą barwę.

Leżąc na trawie, Roxanne czuła zawroty głowy, ale była szczęśliwa. Z uśmiechem na twarzy pomyślała: „Właśnie po to mam siostrę, dzięki niej nigdy nie przestanę być dzieckiem”.

Valli usiadła.

— Jeszcze raz.

Simone jęknęła.

— Zapomniałam, że jestem w ciąży. Nigdy nie powinnam była... Chyba zaraz się porzygam. — Ponownie położyła się na plecach, zanosząc się śmiechem. — Pomyślałaś życzenie? W chwili upadku zamykasz oczy i zanim ponownie je otworzysz, musisz pomyśleć życzenie.

— Zawsze wymyślasz nowe zasady — stwierdziła Roxanne.

Simone usiadła i posadziła córeczkę na kolanach.

— Czego sobie zażyczyłaś, Victorio?

— Lodów na obiad.

— Ja też! — krzyknęła Valli. — Ja byłam pierwsza.

— Ja zażyczyłam sobie tego samego! — krzyknęła Simone i wstała. Pomogła Victorii się podnieść i ustawiła ją twarzą w kierunku domu. — Ogłaszam, że ten wyjazd to wakacje z lodami. Będziemy jeść lody na każdy posiłek.

— I inne słodycze! — dodała Valli.

— Lodowe witaminy! — krzyknęła Simone i popchnęła Victorię ku rezydencji. — Powiedz niani Franny, że na obiad zjemy lody. Każdy dostanie dwie gałki.

Victoria popędziła po trawie, a za nią biegiem ruszyła Valli.

Zerwał się mocniejszy wiatr, grając na sosnach jak na

obojach, a pierogowe chmury zamieniły się w poduszki i piernaty spoczywające na górskich szczytach. Słońce i wiatr posiekały wodę na milion złocistych kawałków. U podnóża klifu ponton obijał się o burtę żaglówki.

Merell zniknęła.

— Jak zwykle gdzieś się schowała. Gdziekolwiek pojedziemy, wszędzie znajduje przeróżne kryjówki, zwłaszcza tutaj. Lubi, gdy ktoś jej szuka.

* * *

MERELL DOSZŁA do wniosku, że posiadanie cioci jest czymś wspaniałym. Zwłaszcza jeśli ciocia była właścicielką dużego, skorego do zabawy psa, który uwielbiał ganiać za piłkami i węszyć w najbardziej dzikich miejscach w ogrodzie. Po kilku godzinach spędzonych na dworze Chowder wszedł do domu i padł przed kominkiem. Dwie minuty później już chrapał i ruszał łapami przez sen.

Ciocia Roxanne grała w monopol i naprawdę próbowała wygrać, poza tym słuchała i zadawała pytania, gdy Merell opowiadała o swoich planach na przyszłość. Chciała pojechać do Chin i pożeglować samotnie na Hawaje. Pytania cioci Roxanne sprawiły, że zaczęła się zastanawiać nad szczegółami, na przykład dlaczego chciała pojechać akurat do Chin i kiedy zamierzała nauczyć się żeglarstwa.

Co więcej, mama była bardziej energiczna w towarzystwie cioci. Więcej mówiła i częściej się śmiała, a w pobliżu nie było żadnych niemiłych ludzi.

Ciocia Roxanne i niania Franny śmiały się podczas przygotowywania lunchu, a mamusia układała puzzle z bliźniaczkami i choć raz udało się uniknąć krzyków i bijatyk. Na lunch było ulubione danie Merell — tuńczyk z majonezem, sałata i frytkami pieczonymi w piekarniku. A do tego napój gazowany, co w domu nigdy się nie zdarzało. Gdy Franny nakrywała do stołu, ciocia Roxanne zmieniła pieluchę małej Olivii i zaczęła ją rozśmieszać, mówiąc do niej piskliwym głosem. Widząc to, Merell poczuła ciepło w żołądku. Po lunchu ciocia Roxanne poprosiła

Merell, aby oprowadziła ją po posiadłości. Bliźniaczki chciały do nich dołączyć, ale Franny stwierdziła, że są zbyt hałaśliwe, i jeśli się nie uspokoją, przywiąże je do słupa.

PO ZACHODNIEJ STRONIE domu znajdował się plac zabaw. Stał na nim domek, w którym Merell bawiła się razem z bliźniaczkami. Miał spadzisty dach i komin oraz atrapę kominka. Czasami dziewczynki udawały, że to szkoła, a Merell była nauczycielką.

— Bliźniaczki nie potrafią nawet liczyć.

Minęły domek zabaw i znalazły się na rozległym terenie, na którym latem przyszłego roku tatuś planował zbudować korty tenisowe. Chowder biegał wokół drzew, a Merell opowiadała. Ciocia Roxanne nie kazała jej siedzieć cicho.

— Masz najlepszego przyjaciela? — zapytała Merell.

— Oczywiście. Znasz Elizabeth.

Merell wolałaby usłyszeć, że to ona jest najlepszą przyjaciółką cioci, ale wiedziała, że to niemądre.

— Czy czasami zostaje u ciebie na noc?

— Już nie, ale kiedyś razem mieszkaliśmy.

Merell bardzo spodobały się słowa cioci.

— Zwierzasz się jej z tajemnic?

— Czasami.

— Z jakich?

— Nie pamiętam żadnych, więc chyba nie były zbyt istotne.

Oparły się o mur stojący na krawędzi klifu, ich ramiona skrzyżowały się na zimnym kamieniu.

— Pokazali nasz dom w czasopiśmie — powiedziała Merell.

— Tatuś ma jeden egzemplarz w gabinecie. — Wybuchnęła śmiechem, gdy przypomniała sobie, jak głupio wyglądała chuda modelka w długiej fioletowej sukni stojąca na dachu. — Tatuś powiedział, że to nie jest dom, ale chatka, a teren, który ją otacza, nazywa się posesja.

Chmury zasnuły niebo i zerwał się silny wiatr. Na środku jeziora dwa kajaki walczyły z jego podmuchami.

— Jeśli zatoną, trafią do Vermillion. Tak nazywało się

miasto, które znajduje się pod wodą. Tatuś mówi, że mieszkał tam pewien stary mężczyzna. Gdy przybyli inżynierowie i powiedzieli mu, że musi się wyprowadzić, ponieważ w przeciwnym razie się utopi, stwierdził, że go to nie obchodzi. Więc go zostawili. Z psem i mułem. Ich kości znajdują się na dnie. — Merell wbiła wzrok w wodę. — Nie lubię o nim myśleć. Ani o tonięciu.

Roxanne złapała ją za rękę.

— Czy możesz przyrzec, że jeśli zdradzę ci tajemnicę, nikomu o niej nie powiesz? — zapytała Merell.

Przez cały dzień myślała o obietnicy złożonej babci Ellen. Czowała jej obecność w swojej głowie, jak mamusia obecność niemiłych ludzi. Od samego początku nie chciała jej składać i żałowała, że nie była na tyle odważna, aby wyjść z pokoju i ukryć się w jednej ze swoich kryjówek do czasu, aż wszyscy zapomną o tym, co wydarzyło się nad basenem. Obawiała się jednak, że to mogłoby potrwać wiele lat. Ukrywanie ważnej tajemnicy w pojedynkę było niezwykle męczące.

— Merell, jeśli zdradzisz komuś tajemnicę, to ta informacja przestaje już być sekretem.

Dziewczynka wbiła czubek tenisówki w trawnik tak mocno, że wyrwała kępkę trawy. Wstrzymała oddech. Bardzo chciała, żeby ciocia Roxanne zmieniła zdanie i obiecała, że nikomu nic nie powie. Jednak nauczyciel rzadko zmienia zdanie, nawet jeśli jest nim ciocia.

— Przy nabrzeżu są jaskinie. Chcesz je obejrzyć?

— Nie przepadam za jaskiniami, Merell. Czuję się w nich nieswojo. — Ciocia Roxanne spojrzała w niebo. — Poza tym chyba zbiera się na deszcz.

Merell wzięła ją za rękę i delikatnie ścisnęła.

— To bezpieczne.

Wyjaśniła, że wiosną, gdy śnieg z wyższych partii gór topniał, strumienie wylewały z brzegów i płynące potoki rzeźbiły w zboczach koryta. Podnosił się też poziom wody w jeziorze. W lecie wracał on do normy, ponieważ wodę regularnie spuszczano w celu nawodnienia farm w dolinie San Joaquin.

Na początku września linia wody znajdowała się kilka metrów poniżej wiosennego poziomu.

— Gdy poprzednim razem tu byliśmy, jaskinia była niemal sucha, ale i tak nie mogłam tam wejść. Teraz pewnie mi się uda. Chcesz pójść ze mną?

— Powinniśmy wrócić do domu, Merell.

Dziewczynka wiedziała, że kiedyś dorośnie, ale podchodziła do tej kwestii w podobny sposób jak do wiadomości o lądowaniu człowieka na księżycu. Zarówno jedno, jak i drugie było czymś realnym, a jednocześnie trudnym do pojęcia. By stać się człowiekiem dorosłym, będzie musiała trochę urosnąć i więcej się nauczyć. To akurat jej nie przeszkadzało. Niestety będzie też musiała zrezygnować z niektórych rzeczy. Nigdy jednak nie chciała stać się osobą, która będzie czuła strach przed odkrywaniem nowości.

Na południowym zachodzie zygzak błyskawicy przeszył burzowe chmury, a odgłos grzmotu rozległ się wśród górskich szczytów.

Nie interesowało jej dorastanie, jeśli miało ono oznaczać, że będzie się bała zmoknąć podczas deszczu. Tatuś nazywał burze w górach nawalniami, a Merell wiedziała, że mogą one nadejść szybko. Pomimo to pragnęła pozostać w miejscu i rozkoszować się podmuchami wiatru oraz tańczącymi wokół piorunami próbującymi ją nastraszyć. Powietrze naładowane było możliwościami. Lada chwila mogło wydarzyć się coś ekscytującego.

Kajakarze zniknęli już z pola widzenia, ale po drugiej stronie jeziora jakaś żaglówka próbowała z trudem dobić do brzegu. Może na pokładzie znajdowały się dzieci. Pewnie się boją. Merell wiedziała, co to prawdziwe przerażenie. Różniło się ono od ekscytującego strachu wywołanego burzami albo wizytą w jaskini. To był głęboko zakorzeniony lęk, w wyniku którego miała wrażenie, że nogi odmówią jej posłuszeństwa.

Dobrze się stało, że nie zdradziła tajemnicy. W przeciwnym razie wydarzyłoby się coś złego.

* * *

O ZMIERZCHU nad jeziorem zawisł niski sufit granatowo-czarnych chmur; zimny wiatr targał drzewami i trzaskał okiennicami oraz gontem. Aldo przyniósł świece, lampy naftowe i drewno do kominków — dwa znajdowały się w salonie, a jeden w dużej sypialni na piętrze. Gdy zaczęła się ulewa, Johnny'ego nadal nie było w domu.

W czasie kolacji Simone dziobała lasagnę i sałatę z talerza, który postawiła przed nią Franny. Po posiłku bliźniaczki zaciągnęły mamę na krzesło i błagały ją, aby zagrała z mini w monopol. Za każdym razem, gdy nadchodziła jej kolej, wydawała się zaskoczona i wpatrywała się w kostki, jakby nie wiedziała, do czego służą.

Roxanne podejrzewała, że siostra zażyła jakieś lekarstwo.

W końcu Simone poszła na górę. Godzinę później do domu wrócił Johnny, ociekając wodą i pozostawiając za sobą ślady z błota. Bliźniaczki zaczęły piszczeć z radości, gdy usłyszały tatę w korytarzu. Przywiózł litr czekoladowych lodów z bakaliami i zaserwował miłośniczkom gry monopol ogromne zmrożone porcje. Była to już trzecia bądź czwarta porcja tego dnia, ale skoro Simone ogłosiła, że ten wyjazd to wakacje z lodami, tak już musiało być. Johnny zabawiał wszystkich opowieścią o przejażdżce konnej do miejsca zwanego Gęsim Jeziorem, o małych kaczątkach i odchodach niedźwiedzia oraz o tym, jak zaskoczył go deszcz, i o piorunie, który uderzył tak blisko niego, że przypalił mu gałki oczne.

Miłość Johnny'ego do córek przypominała ciepło bijące od pieca, wszyscy ją czuli i na nią reagowali. Usiadł przy stole z małą Olivią wijącą się w jego ramionach, a wokół niego zebrały się trzy starsze córki. Każda z nich patrzyła na niego rozmarzonym z uwielbienia wzrokiem. Uśmiechał się i droczył z dziewczynkami, a gdy Olivia zaczęła płakać, zamiast oddać ją Franny, położył ją na swoich ramionach i powiedział dzieciom, aby ustawiły się za nim w rzędzie. Zaczęli się bawić w „rób to, co ja”: noga w prawo, noga w lewo, podskocz, złap za boki i obróć się. Krzycząc z radości,

śmiejąc się i wygłupiając, chodzili od pokoju do pokoju; Franny i Roxanne zamykały kolumnę, a Olivia zawodziła.

BYŁ ŚRODEK NOCY. Roxanne leżała w ciepłym łóżku owinięta kołdrą niczym ukochane dziecko. Z dala od żywiołów zapadła w błogi półsen, żałując, że nie ma z nią Tya. Wtedy przypomniawszy sobie, że ostatnio im się nie układało, i na chwilę ogarnęło ją zwątpienie, czy nie powinna zostać w San Diego w ten weekend, w razie gdyby jej potrzebował. Jej myśli błądziły, podczas gdy deszcz zagłuszał inne odgłosy płynące z domu. Przypomniawszy sobie wygłupy Johnny'ego z córkami w salonie i przed oczami stanął jej ojczym, BJ Vadis, wielki, przysadzisty mężczyzna z gęstą czupryną srebrnych włosów oraz przeszywającym błękitnym spojrzeniem ukrytym pod krzaczastymi brwiami, które unosiły się i opadały w trakcie mówienia. Poważny Skandynaw nie grzeszący poczuciem humoru, ale na swój sposób hojny i pełen miłości. Uwielbiał Ellen i dobrze traktował Roxanne i Simone.

Roxanne podejrzewała, że BJ nigdy nie wygłupiał się tak jak Johnny. To po prostu nie leżało w jego naturze.

Roxanne nie miała żadnych szczególnych wspomnień dotyczących BJ-a przed ukończeniem dziesiątego bądź jedenastego roku życia. Dopiero wtedy zrozumiała, że to ktoś ważny dla mamy. Pamiętała jednak, że zawsze jedli razem posiłki. Zaraz po przyjeździe zaręczynowym Simone i Johnny'ego, BJ zaprosił Roxanne na obiad do Rainwater's, drogiej restauracji specjalizującej się w stekach, w której chętnie jadaliby konserwatyści ze środowiska biznesowego. W tamtym okresie Roxanne mieszkała razem z Elizabeth i spłacała kredyt studencki oraz kartę kredytową, próbując jednocześnie odłożyć na zaliczkę na dom. Rzadko mogła sobie pozwolić na filet mignon.

— Cieszę się, że przyszłaś, Roxy — powiedział BJ i wydawało się, że mówi szczerze. Odsunął dla niej krzesło. — Obawiałem się, że twoi uczniowie mogli cię zbyt wymęczyć.

Uczniowie w gimnazjum Balboa rzeczywiście dawali jej w kość, ale jednocześnie bawili ją i motywowali do pracy. Miała

szczęście, że w tak młodym wieku udało jej się znaleźć pracę, którą kochała. Tamtego wieczoru opowiedziała ojczymowi o wyzwaniach, jakie stawiała klasa składająca się z ponad trzydziścioro chłopców i dziewcząt w okresie dojrzewania.

— Powinnaś dostawać dodatek za pracę w trudnych warunkach. Może martini? Po jednym nic ci nie będzie.

Potem zeszli na temat Simone i Johnny'ego.

— Lubię go — przyznała Roxanne.

— Myślisz, że istnieje osoba, która go nie polubiła? — BJ zębami zsunął oliwkę z wykałaczki. — Twoja mama jest szczęśliwa, choć tak między nami wydaje mi się, że liczyła na kogoś z rodziny królewskiej.

Roxanne wybuchnęła śmiechem, choć drwienie z Ellen w miejscu publicznym, i to w towarzystwie BJ-a, wydawało jej się nieco niebezpieczne.

— Pewnego dnia zbije fortunę. Rozmawiałem z kilkoma znajomymi, którzy także pracują w branży budowlanej, i według nich jeszcze o nim usłyszymy.

Roxanne miała tylko jedno zastrzeżenie.

— Problem w tym, że takie życie będzie pełne wyzwań. Nie jestem pewna, czy ona sobie z tym poradzi.

Nie musiała wyjaśniać, co miała na myśli.

— Rozmawiałem już z nim na ten temat. Powiedziałem mu to samo, co ty byś mu powiedziała. Zawsze będziesz obok gotowa do pomocy, będziesz trzymać rękę na pulsie i pilnować, aby życie jej nie przytłoczyło.

Roxanne pamiętała swoją reakcję na jego słowa. W jej głowie pojawił się impuls, aby wstać i wyjść z Rainwater's. Nigdy by tego nie zrobiła, ale miała na to ochotę. Pragnienie ucieczki było tak silne, że poczuła, iż ręce zaczynają jej drżeć. Kiedy stała się narzędziem, które przekazywano sobie z rąk do rąk w razie potrzeby?

— Johnny wie, że Simone jest jeszcze młoda i ma delikatne usposobienie. Obiecał, że podejdzie do sprawy spokojnie i powoli wprowadzi ją do nowego środowiska. — BJ odchylił się do tyłu,

opierając przedramiona wygodnie na podłokietnikach fotela. — Z drugiej strony, co w tym takiego trudnego? Nie trzeba być geniuszem, aby urządzić przyjęcie. Będzie musiała jedynie wynająć odpowiednich ludzi, a ty i Ellen możecie jej pomóc. Poza tym która ładna dziewczyna nie lubi kupować eleganckich sukienek na imprezę?

Roxanne zaczęła się wówczas zastanawiać, ile BJ tak naprawdę wiedział o Simone, co udało mu się samemu wydedukować, a co usłyszał od innych. Matka izolowała go od Simone, gdy ta przeżywała chwile gorszego nastroju. A jeśli zauważył, że często opuszczała lekcje i przez wiele dni nie wychodziła ze swojego pokoju, nigdy nawet nie skomentował tego w obecności Roxanne.

BJ wyjął zza klapy marynarki kopertę i położył na białym obrusie obok jej kieliszka na wino.

— Możesz otworzyć ją teraz lub później. Decyzja należy do ciebie.

— Co to jest?

— Zajrzyj do środka, jeśli jesteś ciekawa.

Otworzyła kopertę za pomocą noża i wyjęła czek wypisany na prywatne konto BJ-a.

— To będzie nasz mały sekret, dobrze? — Wyciągnął ramię przez stół i chwycił jej dłoń. — Jesteś dobrą dziewczyną, Roxy.

Spojrzała na czek i policzyła zera.

— Nie rozumiem.

BJ uśmiechnął się szeroko, napawając się jej zdumieniem.

— Dlaczego mi to dajesz?

— Zapytam cię o coś, kochanie. Zgodzisz się zapewne, że przez ostatnie lata dobrze się dogadywaliśmy z twoją mamą, prawda? Nie kłóciliśmy się, nie robiliśmy zamieszania. Chcę jednak, abyś wiedziała, że nie zawsze się z nią zgadzałem. — Mówiąc, bawił się podstawą kieliszka. — Gdy się spotkaliśmy, przechodziła trudny okres, więc przymknąłem na pewne rzeczy oko. Wszedłem dopiero z wojska i miałem dość sztywne pojęcie o życiu małżeńskim. Wydawało mi się, że skoro przynoszę do domu

pieniądze, Ellen zajmie się domem i dziećmi. Nie miałem nic przeciwko równouprawnieniu kobiet, po prostu nie wiedziałem, że sam tego doświadczę. — Parsknął cicho i pokręcił głową. — Oczywiście nie miałem wówczas racji. Twoja mama jest niesamowita. Od samego początku taka była. — Uśmiechnął się szeroko do Roxanne. — Ta kobieta byłaby w stanie sprzedać Most Brooklyński. Poza tym praca sprawiała jej przyjemność. Widziałem, że im więcej pieniędzy zarabiała, tym stawała się piękniejsza i szczęśliwsza. Nie chciałem zniszczyć jej sukcesu. Nie zgadzaliśmy się tylko co do jednej rzeczy — nie podobało mi się, że zmuszała cię do opiekowania się Simone. Uważałem, że to było nie w porządku wobec ciebie i wpływało niekorzystnie na twoją siostrę.

Roxanne złożyła czek na pół i dokładnie wygładziła zgięcie.

— Ale im mocniej naciskałem w jedną stronę, tym mocniej twoja matka naciskała w przeciwną. Mówiła, że tylko ty potrafisz sobie z nią poradzić. Zrobiła nawet listę, aby mi pokazać, co ma na myśli. — Zaczął odliczać na palcach. — Simone miała osłabione funkcje motoryczne. Była humorzasta i nienawidziła wody, więc gdy zbliżała się pora kąpieli, wpadała w szał. Do tego jeszcze obsesja na punkcie stóp. Pamiętasz? Nie chciała chodzić bosą ani wkładać sandałów. Odmawiała nawet zdjęcia butów, dopóki druga osoba nie obiecała, że nie będzie patrzyła na ten jej śmieszny mały palec.

Złamany palec Simone krzywo się zrosł i przez kilka lat Simone utrzymywała, że nie należy on do niej. Upierała się, że ktoś w izbie przyjęć oderwał jej stary palec i przyszył nowy, który nigdy nie pasował.

BJ opróżnił kieliszek i choć o to nie prosił, kelner podał mu kolejny.

— Powiedziałem Johnny'emu, że w razie czego będziesz w pobliżu i mu pomożesz, ale nie sądzę, abyś musiała zbyt często interweniować. Jednym słowem, wydaje mi się, że ich ślub będzie dla ciebie niczym Czwarty Lipca. Dzień odzyskania niepodległości. I by to uczcić oraz okazać ci wdzięczność... —

Postukał czek palcem wskazującym. — Wiem, że chcesz kupić dom na Little Goldfinch. To dobra inwestycja. Ta kwota powinna starczyć na zaliczkę.

Roxanne rozłożyła czek i wygładziła go na białym bawełnianym obrusie. Patrzyła na cyfry nakreślone niemal nieczytelnym pismem BJ-a. Cyfra pięć i stojące za nią cztery zera.

NAD JEZIOREM padało niemal cały piątek i sobotę. Co jakiś czas następowała poprawa pogody i promienie słoneczne przebijały się przez zachmurzone niebo. Chwile te trwały na tyle krótko, że członkom rodziny Duranów udawało się jedynie unieść z nadzieją wzrok znad książek, puzzli lub gier planszowych, tylko po to, by się przekonać, że była ona złudna. Jediną osobą, która nie straciła dobrego humoru, była Franny. Jej pokłady kreatywności i energii wydawały się nieograniczone. Przygotowywała miski pełne popcornu oraz kubki z gorącą czekoladą z grubą na dwa centymetry warstwą roztopionych pianek. A z krakersów graham, czekolady Hershley i kolejnej paczki pianek przygotowała *s'mores*¹, wykorzystując do tego znalezione gdzieś patyki ze szpikulcami do pieczenia kiełbasek. Organizowała długie rozgrywki w węże i drabiny oraz monopol. Gdy ich urok przeminął, rozłożyła stolik i postawiła na nim kilka pudełek z gliną w jaskrawych kolorach, która bardzo spodobała się bliźniaczkom.

Roxanne leżała pod kołdrą w salonie i czytała kryminał, który nie wymagał zbyt wielkiego skupienia. Na drugim końcu pokoju, w rogu, Johnny ułożył się na rozkładanym fotelu i grał na telefonie, podczas gdy Merell stała za jego plecami i mu się przyglądała. Simone nie mogła znaleźć sobie miejsca. Przechodziła z krzesła na kanapę, a potem na kolejne krzesło, wpatrywała się w okno i przeglądała czasopisma plotkarskie. Nie interesowało jej lepienie z gliny, ponieważ twierdziła, że ten zapach przyprawiał ją o mdłości. Roxanne dołączyła jednak do dziewczynki i Franny. We czwórkę zaczęły tworzyć przerażające twarze potworów. Bliźniaczki straszyły swoimi upiornymi stworzeniami mamę, a w odpowiedzi Simone wydawała z siebie

udawane piski i symulowała omdlenie. Jednak podobnie jak inne małe dzieci, nie wyczuły momentu, gdy zabawa straciła swój czar. Potem zaczęły się śmiać i tańczyć, lecz Roxanne widząc, że siostra traci dobry humor, zaprowadziła je z powrotem do stołu. Franny wyjęła wełnę, z której miały powstać włosy potworów, oraz guziki na ich oczy. Wszyscy świetnie się bawili, gdy nagle śpiąca na piętze Olivia zaczęła płakać.

— Nienawidzę tego dziecka! — oznajmiła Victoria, rzucając głowę swojego potwora na podłogę.

Simone wydała z siebie krótki śmiech, a potem westchnęła. Płacz Olivii przerodził się we wrzask. Palce Johnny'ego zatrzymały się na klawiaturze telefonu, a Merell odsunęła się od ojca i schowała w cieniu. Płacz znowu zmienił tonację, stał się ostrzejszy i przerywany, jakby Olivia otrzymywała kolejne dźgnięcia nożem. Oczy Franny i Roxanne się spotkały. Victoria, nucąc pod nosem, podniosła głowę potwora z podłogi i zaczęła lepić ją od nowa.

W końcu Simone odłożyła czasopismo i wyszła z pokoju.

— Zrobię mleko! — krzyknęła za nią Franny. — Dosypię do niego lekarstwo.

Simone wróciła z czerwoną na twarzy i spoconą od płaczu Olivią. Bez słowa podziękowania wzięła od Franny butelkę i usiadła na kanapie. Przez kilka minut w pokoju słychać było jedynie cichy odgłos ssania oraz krople deszczu uderzające w daszek nad tarasem. Valli i Victoria dorobiły swoim potworom usta — mięsiste, ponętne wargi. Następnie zaczęły głośno cmokać, co rozbawiło je do tego stopnia, że aż pospadały z krzeseł. Franny delikatnie uciszyła dziewczynki, a wtedy obie jednocześnie spojrzały do tyłu na matkę.

Olivia odrzuciła butelkę, która spadła na dywan i potoczyła się pod kanapę. Następnie wyciągnęła się i wygięła kręgosłup niczym gimnastyczka wykonująca salto do tyłu. Otwierając szeroko oczy, zaczęła się wić i wiercić, a potem znowu wybuchnęła płaczem.

— Wezmę ją na chwilę — zaproponowała Roxanne.

— Nie.

— Simone, mam dość siedzenia. Może pochodzę...

— Ja to zrobię.

— Simone, z chęcią... — wtrąciła się Franny.

— Obie ogłuchłyście? Powiedziałam „nie”.

W domu słychać było dudnienie deszczu, bezbarwny szum w tle dziecięcego płaczu.

Simone podeszła do Johnny'ego i stanęła przed nim.

— Dlaczego nie może przestać? — zapytała, podnosząc głos, aby było ją wyraźnie słychać.

— Wiesz, że to silniejsze od niej...

— Nie chodzi mi o Olivię — powiedziała to takim tonem, jakby uważała, że jest zbyt głupi, aby zrozumieć, co miała na myśli. — Chodzi mi o ten pieprzony deszcz.

Olivii głośno się odbiło. Na sekundę zapadła cisza, po której wybuchł śmiech. Valli i Victoria rozpoczęły konkurs bekania.

— Powiedziałeś, że będzie piękna pogoda — stwierdziła Simone. — Obiecałeś.

Johnny odłożył na bok telefon.

— Co mam zrobić? Myślisz, że mam wpływ na pogodę?

— To przez globalne ocieplenie, prawda?

— Nie musisz się o to martwić — odparł Johnny.

— Wręcz przeciwnie. Wszyscy powinniśmy się o to martwić. Myślisz, że jestem głupia?

W pokoju zapanowała napięta atmosfera.

— Simone...

— Wiem, że gdy nasze dzieci dorosną, świat stanie się okropnym miejscem. — Rozmawiała z Johnnym, jakby to on był odpowiedzialny za tę katastrofę. — Może wszyscy powinniśmy się zabić i mieć to z głowy?

— Mamusiu, ja mogę pomóc — powiedziała Merell.

— O mój Boże, Merell, kiedy w końcu przestaniesz się tak bardzo starać. Nie musisz...

— Dość tego, Simone. — Johnny położył dłoń na karku żony. — Chodźmy na górę. Franny zajmie się Olivią.

W jego głosie pobrzmiwał fałszywy spokój, który Roxanne kojarzył się z policyjnymi serialami. Johnny przypominał oficera próbującego rozmową odwieść samobójcę od skoczenia z dachu.

— Chcę wracać do domu.

— Nie mamy samolotu, a nawet gdybyśmy mieli...

— Jesteśmy uwięzieni.

Franny próbowała odebrać Simone niemowlę.

— Nie!

Simone wyrwała się i w rezultacie Olivia wysliznęła się z jej ramion i upadła na podłogę. Bliźniaczki zaczęły krzyczeć, a Roxanne uklękła obok leżącej na plecach, zdumionej i cichej Olivii.

— Cholera — zaklął Johnny.

— Niegrzeczny tatuś! — Victoria zaczęła płakać.

Roxanne szybko sprawdziła stan dziewczynki.

— Nic jej się nie stało. Jest tylko zaskoczona.

Franny wzięła niemowlę na ręce.

— Idź na górę, Simone — powiedział Johnny. — Teraz.

Z wysokości ramienia Franny Olivia, chwilowo bardziej zaniepokojona niż nieszczęśliwa, spoglądała na swoją rodzinę szeroko otwartymi i mokrymi od łez oczami.

— Ona mnie nienawidzi.

Johnny wyciągnął dłoń w kierunku Simone, ale ona się wzdrygnęła, jakby miał ją zaraz porazić prąd elektryczny.

— Wszyscy mnie nienawidzicie.

Z jej gardła wyrwało się zawodzenie, na wpół ludzki dźwięk, który wchodził w coraz wyższe rejestry, rozpryskiwał się na drobne kawałki i zamieniał w przejmujący szloch. Roxanne wiedziała, że powinna coś zrobić, aby jakoś pomóc siostrze, ale podobnie jak reszta rodziny była zdumiona sceną rozgrywającą się na jej oczach i czekała na dalszy rozwój wypadków.

— Proszę bardzo, możecie mnie nienawidzić. — Oczy Simone były szeroko otwarte i czarne. — Im nas więcej, tym, kurwa, weselej! To i tak nic w porównaniu z nienawiścią, którą sama odczuwam względem siebie.

* * *

PÓŻNYM NIEDZIELNYM popołudniem gruba warstwa chmur zaczęła się przerzedzać, ukazując coraz większe połacie błękitnego nieba, aż w końcu wyjrzało słońce.

— Chodź ze mną na spacer, Roxanne — powiedział tatuś. — Idę do sklepu na końcu drogi. Weź Chowdera. Ten wariat musi się wybiegać.

— Mogę pójść z wami? — zapytała Merell. — Pojadę rowerem.

Rower górski był czarny ze srebrnym paskiem i najlepiej jeździło się na nim nad jeziorem.

— Niech idzie — powiedziała Roxanne, kładąc dłoń na ramieniu Johnny'ego. — Ona też musi odetchnąć.

Skąpany w słońcu las wydawał się zaczarowany, niczym z bajki. Każdy liść, każda igła, każde drzewo i krzew, a nawet leżąca na ziemi warstwa mierzwy błyszcząły jakby tuż przed przejazdem Merell przeszedł tamtędy czarodziej i rozsypał wszędzie złoty pył z kawałkami diamentów. Spodobał jej się ten pomysł i zaczęła żałować, że na świecie nie było czarodziejów, którzy rzucali zaklęcia i mogli spełniać życzenia.

Chowder biegł wesoło przed nią. Wskakiwał do lasu, by po chwili, z radością merdając ogonem, ponownie pojawić się na drodze i sprawdzić, co się dzieje z jego ludzkimi towarzyszami. Merell napawała się zapachem mokrego lasu i ciszą przerywaną jedynie bieraniną Chowdera oraz odgłosem wody spływającej przeróżnymi żlebami, rowami i bruzdami wydrążonymi w glebie. Szum wody po burzy przypominał śmiech. Merell zmrużyła oczy i wyobraziła sobie, że las zamieszkują radosne elfy i wróżki, nie większe od jej dłoni. Pragnęła, by czarodziej zaczarował mamę i uczynił ją szczęśliwą. W pewnym momencie krzyknęła i popędziła przez głęboką kałużę, pozostawiając za sobą falę w kształcie ogona koguta, która zmoczyła całego Chowdera. Pies nie ruszył się z miejsca, ale zaczął gwałtownie szczekać.

Przeważnie wyprzedzała na rowerze tatę i ciocię, ale co jakiś czas zostawała w tyle, by zjechać w prywatną drogę prowadzącą

do domu, który został już zamknięty na zimę. Żaden z tych, które widziała, nie był tak okazały jak ich chatka, a niektóre wyglądały nawet na zaniedbane. Chowder za każdym razem dostawał szau, gdy wyczuwał myszy pod gankiem i tarasem. Merell zauważyła czerwoną plastikową zabawkę leżącą w krzakach. Choć dawno zapomniana i nie używana pod koniec letniego sezonu, była dowodem na to, że jakieś dzieci spędzały tam wakacje. Wędką oparta o ścianę szopy należała zapewne do jakiegoś mężczyzny. Dziewczynka zsiadła z roweru i zajrzała przez okno. W środku zobaczyła pokój pełen pudełek i mebli okrytych prześcieradłami. Wyobraziła sobie, że okno to ukazuje przyszłość i widać przez nie wnętrze ich chatki, a w niej porzucone zabawki i sprzęt wędkarski.

Zaczęła się zastanawiać, czy inni ludzie potrafili tak jak ona odczuwać dwa różne rodzaje emocji jednocześnie: radość z powodu przebywania w zaczarowanym lesie oraz melancholię. Słowo „melancholia” należało do jej ulubionych. Natknęła się na nie w jednej z książek i sprawdziła jego znaczenie. Od razu wiedziała, o co chodzi. Smutek, który ogarniał głowę, serce i przeszywał człowieka aż do szpiku kości.

* * *

JOHNNY SZEDŁ z opuszczoną głową w tak szybkim tempie, że Roxanne ledwo za nim nadążała. Stawiał o połowę dłuższe kroki od niej, jakby za wszelką cenę chciał jak najszybciej dotrzeć do sklepu. Lecz gdy budynek znalazł się już w zasięgu jego wzroku, zwolnił, a następnie się zatrzymał. Stał przez chwilę w miejscu, wpatrując się w tabliczkę ZAMKNIĘTE wiszącą na sklepowym oknie.

— Bliźniaczki będą zawiedzione. — Obiecał im specjalne cukierki, które sprzedawali tylko w tym sklepie.

Wzruszył ramionami i wyznał Roxanne, że zakupy były jedynie wymówką, aby wyjść z domu. Patrzyli, jak Merell zjeżdża w boczną drogę, która prowadziła na jedną z niewielu plaż przy jeziorze. Zrobili kilka kroków w jej kierunku, a potem Johnny ponownie się zatrzymał. W zachodzącym słońcu jego oblicze wydawało się połączeniem dwóch nałożonych na siebie twarzy:

jedna młoda i przystojna, druga wynędzniała i stara.

— Co ja mam robić? Powiedz mi, Rox. Pomóż mi. — Oparł się plecami o drzewo i zakrył dłońmi twarz. — Nie wiem, ile jeszcze uda mi się wytrzymać.

Szukał u niej współczucia, ale ona nie mogła się na nie zdobyć, choć dokładnie wiedziała, co miał na myśli. Gdy przez dłuższy czas przebywało się z Simone w domu, jej zboląła dusza stawała się zaraźliwa. Ale jak miała go żałować, skoro to on nalegał, by mieli kolejne dzieci w oczekiwaniu na ideał, na syna?

— Nie zawsze taka była — kontynuował. — Pamiętasz? Na początku była idealna. Byłem najszcześliwszym mężczyzną na ziemi.

Obserwowali, jak Merell podskakuje na wyboistej drodze, a Chowder biegnie obok niej. Merell — pierwsze dziecko idealnej żony i najszcześliwszego mężczyzny na ziemi.

— Znam oblicze Simone, którego nie zna nikt inny. Nawet ty, Rox. Kiedyś tak dobrze się razem bawiliśmy. Rozśmieszała mnie...

Wrócili na główną drogę i poczekali, aż Merell ich dogoni.

— Musisz poszukać dla niej pomocy.

— Pomocy? Ma gosposię, a niani Franny płacę więcej niż mojej sekretarce.

— Chodzi mi o terapię. Musisz znaleźć dobrego lekarza.

Pokręcił głową.

— Nie, to nie wchodzi w grę. Znasz moje zdanie na ten temat. Gdy rozmawialiśmy o Merell, powiedziałem...

— Wiem, co powiedziałeś, ale to nie zmienia istoty sprawy.

— Jestem staroświeckim mężczyzną, Roxanne. — Ze sposobu, w jaki to powiedział, wywnioskowała, że dla niego słowa „staroświecki” i „wybitny” były synonimami. — Nie chcę się kłócić, nie chcę być złym facetem, ale jestem tak kurewsko zmęczony zamartwianiem się o Simone. Mógłbym wysłać ją do wszystkich terapeutów na świecie, a i tak by jej nie pomogli. Psychologia nie jest nauką. To profesja oparta na zawodowej wścibskości.

Równie dobrze mogła walić głową w Wielki Mur Chiński w nadziei, że zmieni jego punkt widzenia.

— Posłuchaj — powiedziała, podchodząc do muru z innej strony. — Zastanawiałam się nad pewną sprawą. Wiedziałeś o tym, że Simone kiedyś żeglowała?

— Tak. Jakiś dzieciak ganiał za nią po łodzi, aż w końcu musiała z tego zrezygnować, aby się od niej odczepił.

Oto nowa wersja historii Shawna Huttona.

— Może powinieneś zaproponować jej...

— Żeglowanie? Simone?

— Mogłaby wziąć udział w kursie razem z Merell.

— Jeśli chodzi o Merell, jak najbardziej. Ale Simone? Nie ma mowy.

— Dlaczego nie?

— Kocham moje dzieci, Rox, ale nie chcę wychowywać ich samotnie. Poza tym kiedyś wziąłem ją na przejażdżkę łódką po jeziorze, a ona siedziała w rogu jak zasuszony robak.

— Simone nie lubi słodkiej wody.

— Woda to woda. Gdyby naprawdę lubiła żeglarstwo, gdyby to nie była jedynie czcza gadanina, nie miałyby to żadnego znaczenia.

W lesie Chowder zaczął na coś szczekać. Johnny odwrócił się w kierunku, z którego dochodziło ujadanie. Sprawiał wrażenie zirytowanego.

— Lepiej przywołaj psa. Weź go na smycz, zanim ktoś zacznie się skarżyć.

— Żeglowanie dodałoby jej siły.

— Ona nie potrzebuje siły, ona potrzebuje ciebie.

Utrzymujesz ją w formie, Roxanne, zapewniasz jej poczucie równowagi, jakiego potrzebuje.

— Johnny, to nie w porządku!

— Gdybyś zrezygnowała z pracy albo chociaż pracowała na niepełny etat...

Ruszyła z powrotem w kierunku chatki, wykorzystując całe swoje pokłady samokontroli, aby nie zacząć biec. Chowder, mokry

od hasania po zaroślach, wypadł z lasu i zaczął zakreślać wokół niej okręgi. Przed nią Merell starała się jechać na rowerze bez trzymanki. Roxanne nie potrafiła wtłoczyć do płuc odpowiedniej ilości tlenu. Po chwili zatrzymała się na drodze i zgięła się wzdłuż. Ręka Johnny'ego dotknęła jej ramienia.

— Nie rób mi tego — poprosiła. — Nie zrzucaj wszystkiego na mnie.

— Ja już nie wiem, jak sobie z tym poradzić — odparł, obejmując ją. Choć chciała się wyrwać z uścisku, choć w tamtym momencie go nienawidziła, była wdzięczna za jego ramiona, dzięki którym mogła się utrzymać na nogach. — Wiem tylko, czego nie mogę zrobić. A to gadanie o terapii...

— Nie chodzi przecież o jakieś czary-mary albo gusła. Terapeuta to osoba, z którą można porozmawiać, jest neutralną trzecią stroną.

— To tak jak ty, Rox. Dlaczego ty nie możesz tego zrobić?

— Ja mam swoje życie, Johnny. Mam męża, z którym chcę założyć rodzinę, zanim będzie za późno. Mam też pracę, którą uwielbiam. Nie mogę do końca życia być opiekunką Simone.

— Ale przecież nie będziesz tego robiła do końca życia. Tylko przez jakiś czas, dopóki nie przejdzie przez ten trudny okres.

— A jak długo to według ciebie potrwa? Aż w końcu doczekasz się upragnionego syna? To może zająć wiele lat, może też nigdy się nie zdarzyć. A tymczasem mój zegar biologiczny tyka. Słyszysz go, Johnny? Tik-tak, tik-tak. Sygnalizuje, że niedługo dobiję czterdziestki. Nie zostało mi zbyt wiele czasu.

— Nie masz racji, twierdząc, że terapeuta jest neutralny — przerwał jej. — Każda terapeutka — bo to sfeminizowany zawód, więc w większości przypadków wykonują go kobiety — stanie po stronie Simone i skłóci nas ze sobą. Wiesz, o czym będą rozmawiać? O mnie.

Terapeuta mógłby wzbudzić w Simone odwagę, dzięki której zdoła postawić się mężowi i odmówić kolejnych ciąż. To zrozumiałe, że się tego obawiał.

— Ja też rozmawiam z nią o tobie, Johnny. Co za różnica?

— Ty nie chcesz jej nastawić przeciwko mnie.

— Prawdę mówiąc, Johnny, nie jestem aż tak neutralna, jak ci się wydaje. Gdybym umiała skłonić Simone do postawienia na swoim, zrobiłabym to.

„Ale na to jest już chyba za późno”.

S'mores — słodka przekąska, składająca się z krakersów przełożonych czekoladą i roztopionymi piankami. [\[wróć\]](#)

ROZDZIAŁ 8

Rodzina Duranów wróciła do San Diego w poniedziałek. Następnego dnia Simone wstała z łóżka o dziewiątej, wypła sześć szklanek wody, włożyła luźną bluzkę i spódnicę z elastycznym pasem i pojechała taksówką do gabinetu swojego ginekologa, pozostawiając Merell, Olivie i bliźniaczki pod opieką Franny.

Po dwudziestu minutach siedzenia w poczekalni, podczas których starała się nie myśleć o pełnym pęcherzu, zaprowadzono ją do gabinetu zabiegowego i poproszono, żeby się położyła. Pielęgniarka ubrana w fartuch z postaciami z bajek Disneya poleciła jej zsunąć spódnicę. Następnie nałożyła na odsłonięty brzuch Simone bezbarwny żel, ostrzegając wcześniej, że może być zimny. Kobieta mówiła jakby z pamięci, a Simone wiedziała, co usłyszy, jeszcze zanim słowa padły z jej ust. Pielęgniarka ogrzała w dłoniach sondę przed położeniem jej na brzuchu Simone. Ponownie ostrzegła pacjentkę przed nieprzyjemnym chłodem. Przez chwilę nasłuchiwała, a następnie uśmiechnęła się i powiedziała:

— Słyszę silne bicie serca. Poproszę lekarza.

Simone chodziła do tego samego ginekologa od czasu pierwszej ciąży. Doktor Wayne był sześćdziesięciokilkuletnim mężczyzną o siwych włosach. Miał ciepłe różowe dłonie i zachowywał się z onieśmielającą pewnością siebie, która zdaniem Simone wynikała z faktu, że wielu dzieciom pomógł przyjść na świat. Odnosił się do niej stanowczo, co dodawało jej otuchy, ale jednocześnie była pewna, że nie wiedział o niej nic poza tym, co znajdowało się w jej karcie pacjenta.

— Zobaczmy, co mamy tutaj w środku — powiedział, jakby myślał, że Simone połknęła coś z plastikowego pudełka na zabawki należącego do bliźniaczek. Przesuwał sondę po jej brzuchu i obserwował obraz na monitorze, nucąc przy tym pierwsze takty piosenki *White Rabbit*. W końcu zobaczył to, czego

szukał.

Simone próbowała wyobrazić go sobie jako młodego mężczyznę z pokolenia Woodstock, który pali trawkę i — jak przystało na studenta medycyny — robi gorzałę ze spirytusu.

— Proszę, proszę. — Uśmiech doktora Wayne'a był bardzo szeroki, pokazał wszystkie zęby. — Niesamowite. Wspaniały obraz. Simone jesteś profesjonalistką, a twoje dziecko to prawdziwa gwiazda filmowa.

Odwrócił monitor w taki sposób, aby Simone mogła spojrzeć na ekran.

Zamknęła oczy.

— Proszę mi powiedzieć.

— Wygląda zdrowo — odparł lekarz. — Mocne serce, palce u rąk i nóg na swoim miejscu.

— Proszę mi powiedzieć.

Doktor Wayne westchnął i poklepał ją po dłoni.

— Będiesz miała kolejną dziewczynkę, Simone.

PO POWROCIE do domu nastawiła klimatyzator w sypialni na osiemnaście stopni, zasunęła zasłony, zdjęła buty i położyła się do łóżka w ubraniu. Minęła godzina jedenasta. Pogoda w ten pierwszy wtorek września była wspaniała, lecz ona chciała spać do końca życia, mając nadzieję, że nie potrwa ono zbyt długo. Jej powieki drżały i nie mogła ich do końca zamknąć. Nałożyła opaskę na oczy, ale drżenie nie ustawało. Nie unosząc maski, sięgnęła po buteleczkę z xanaxem. Nie było jej w miejscu, w którym ją pozostawiła. Uniosła opaskę i zaczęła przeszukiwać szufladę w stoliku nocnym. Pewnie Johnny schował przed nią lekarstwo. A może to Franny wślizgnęła się do sypialni podczas jej wizyty u ginekologa. Chwyciła szklankę z wodą stojącą przy łóżku i rzuciła ją na drugi koniec pokoju, gdzie spadła na puszysty dywan z niezadowalającym głuchym odgłosem.

Z jakiegoś miejsca w domu dobiegał płacz Olivii.

„Czy ta dziewczyna nie potrafi robić, co do niej należy...”.

Przewinienia niani układały się w głowie Simone jedno za drugim: jej niekompetencja, poczucie wyższości, niewdzięczność.

Wstała z łóżka, włożyła kapcie i zeszła na dół do salonu. Franny chodziła tam i z powrotem przed drzwiami na taras, trzymając w ramionach niemowlę ze szklistymi oczami i zaczerwienioną twarzą. Pomimo tego płacznego zamieszania Franny wyglądała nieprzyzwoicie spokojnie i schludnie w T-shircie oraz krótkich spodenkach.

— Daj jej lekarstwo.

— Już dostała maksymalną dawkę. Mały koteczek pewnie myśli, że życie jest pełne cierpienia.

— Wsadź ją do samochodu i zacznij jeździć po okolicy, aż uśnie.

Franny zatrzymała się i spojrzała na nią wzrokiem, w którym Simone dostrzegła wyzwanie.

— Zajmiesz się bliźniaczkami?

— A gdzie moja matka?

— Wyszła jakąś godzinę temu.

— Nie ma jeszcze południa! Gdzie ona poszła?

— Wiesz dobrze, że nie mogę jej o to pytać.

Ton Franny oznaczał: to twoja matka, sama ją zapytaj.

Simone miała wrażenie, że Franny nigdy nie mówiła wprost; drugie znaczenie zawsze pływało gdzieś pomiędzy słowami.

Do listy przewinień Frances Biddle dodała jeszcze bezczelność.

Franny zdmuchnęła jasny kosmyk włosów, który opadł jej na policzek. Jej mocne ramiona oraz nogi opalone i usiane piegami po letnim wylegiwaniu się przy basenie Duranów, były niczym policzek dla Simone.

Franny przełożyła Olivię na drugie ramię.

— Zadzwoiłam do pediatry i powiedziałam pielęgniarce, że Olivia musi dostać jakiś mocniejszy lek. Chciałam nawet podać małej podwójną dawkę, ale pielęgniarka wygłosiła mi krótki wykład o tym, że płacz Olivii jest trudniejszy do zniesienia dla nas niż dla samego dziecka. Czy to nie bezduszne podejście? Przecież bidulka jest ciągle nieszczęśliwa. To nie może być dobre.

Musiałam niemal przekupić pielęgniarkę, ale w końcu znalazła dla

ciebie wolny termin dzisiaj o wpół do czwartej.

— Dla mnie? Dzisiaj?

Simone pożałowała, że nie pozostała w swoim pokoju, który zapewniał schronienie.

— Miałyśmy szczęście — wyjaśniła Franny. — Ktoś odwołał wizytę.

— Ale ja już dzisiaj wychodziłam.

Franny otworzyła usta, a potem ponownie je zamknęła.

— O mój Boże, zapomniałam. Co powiedział ginekolog?

Simone patrzyła na Franny, jakby ta mówiła po marsjańsku.

— Z dzieckiem wszystko w porządku?

Piski bliźniaczek dobiegające ze znajdującego się przy domu placu zabaw drażniły bębenki Simone niczym ząbki widelca drapiące o talerz. Opadła na pufę stojącą obok narożnika i pozwoliła, aby głowa zwiśla jej między kolanami.

— Och, kolejna dziewczynka. Przykro mi, Simone.

Naprawdę. Wiem, że pragnęłaś...

— Dzisiaj nie wejdę po raz drugi do gabinetu lekarskiego. Ty będziesz musiała to załatwić.

— Lekarz się na to nie zgodzi.

Doktor Omar miał pełną listę oczekujących młodych rodzin, które z ogromną radością rzucają wszystko, aby tylko móc przyjść do niego na wizytę. Pod żadnym pozorem nie będzie rozmawiał z nianią.

— Widziałaś, jak moja mama wychodziła? W co była ubrana? Była wystrojona?

— Wyglądała fantastycznie.

— Zadzwoń na jej telefon komórkowy. Powiedz, że zdarzył się nagły wypadek i musi wrócić do domu.

Pot i łzy Olivii pozostawiły mokre plamy na białej koszulce Franny.

— To nie należy do moich obowiązków!

— Do twoich, moich, jaka to różnica.

Leniwa i nieposłuszna. Liczba przewinień Franny stała się tak długa, że Simone uznała, iż musi zacząć wszystko zapisywać,

ponieważ w przeciwnym razie wyleci jej to z głowy.

Simone chciała wyjaśnić z nią pewne sprawy, ale doszła do wniosku, że samopoczucie jej na to nie pozwoli. Jeśli w ciągu pięciu minut się nie położy, padnie na miejscu.

— Franny, boli mnie głowa.

— Pewnie jesteś odwodniona. — Franny uczepiła się tego pomysłu. — Brak płynów może powodować niesamowity ból głowy. Nalej sobie szklankę wody i idź na górę. Przyniosę ci lunch, gdy nakarmię dziewczynki. Dzięki temu będziesz miała czas na drzemkę. Obudzę cię o drugiej.

Jak ona się rządzi. Brakuje jej tylko bata.

— Możemy zapakować wszystkich do cayenne i po wizycie u doktora Omara pojechać do Mission Bay.

— Mówiłam ci już, że nie pójdę do tego cholernego pediatry. I nie patrz tak na mnie. To ty jesteś nianią. Powinnaś zajmować się takimi sprawami. Jeśli będziesz odpowiednio upierdliwa, dadzą ci to, czego chcesz, żebyś się tylko odczepiła.

Obie wiedziały, że to nie zadziała.

— Powiedz pielęgniarce, że nazywasz się Simone Duran. Jest tak zajęta, że nic nie zauważy. To nie przestępstwo. Przecież dostałaś na to moją zgo...

Simone usłyszała krzyk oraz odgłos stóp biegnących po zwirze. Odwróciła się w kierunku schodów, ponieważ nie chciała wiedzieć, co się stało. Nie była w stanie zmusić się do pozostania w pokoju i słuchania kłótni pomiędzy bliźniaczkami a Merell. Ale zanim zdążyła przejść przez salon, najstarsza córka wpadła przez drzwi na taras i oznajmiła, że to, co się wydarzyło, nie było jej winą.

— Victoria spadła z karuzeli, ale ja nic nie zrobiłam. Ona nie chciała się trzymać.

— Kłamiesz! — Valli popchnęła Merell. — To ona, Franny. To przez nią. Nienawidzę Merell. — I kopnęła siostrę w łydkę.

— Przestańcie! — Franny przeniosła Oliwię z ramienia na biodro. — Żadnego kopania, Valli.

Simone patrzyła na swoje córki, szalone małe stworzenia,

które nieustannie biegały, płakały i narzekały, a do tego darły się jak potępiency. Na ich widok i na dźwięk ich głosów czuła obrzydzenie, które sięgało głębiej niż zwykły brak sympatii. Całe jej ciało emanowało niechęcią do nich, jakby jego przetrwanie zależało od ucieczki od zarazy, którą przenosiły. W tym momencie do domu weszła Victoria. Głośno zawodząc, rzuciła się na nogi Simone z taką siłą, że omal jej nie przewróciła.

— Nie zrobiłam nic złego, mamusiu — powiedziała Merell.

— Za mocno kręciła — stwierdziła Valli.

Ich głosy miały palce; palce, które podwazywały czaszkę Simone, kawałek po kawałku, jakby była pomarańczą.

— Gdy kręcę karuzelą wolno, zaczynają narzekać, więc powiedziałam, że mogę to robić szybciej, ale muszą się trzymać. Victoria mnie nie posłuchała.

— Nienawidzę cię, Merell.

— Ja też.

— Zamknijcie się! — Simone zakryła uszy dłońmi. — I to już, wszystkie macie się zamknąć! — Wskazała na schody drżącą ręką. — Merell, idź do swojego pokoju i zamknij drzwi. Nie wychodź, dopóki nie wróci ojciec.

— Ale przecież nie zrobiłam nic złego. A co z lunchem? Nie dostanę nic do jedzenia? Umieram z głodu.

— Mogę jej coś zanieść — zaproponowała Franny. — To żaden problem.

— Dlaczego podwazasz wszystkie moje decyzje?

— Przepraszam. — Franny cofnęła się wyraźnie zaskoczona reakcją Simone. — Po prostu moim zdaniem...

— Nie obchodzi mnie twoje zdanie.

Franny zacisnęła mocno usta i poszła za Merell w kierunku schodów.

— Olivia się zmoczyła. Muszę ją przewinąć.

— Uważasz mnie za złą matkę.

— Przecież nie obchodzi cię moje zdanie.

— Żebyś wiedziała, do cholery!

Merell i bliźniaczki obserwowały rozgrywającą się scenę z

oczami błyszczącymi od ciekawości. Nawet niemowlę przestało płakać i przysłuchiwało się kłótni. Na kilka chwil zapanowała cisza. Widząc, jak Franny, która zwykle zachowywała kamienny spokój, teraz próbuje pohamować złość, Simone odczuła satysfakcję.

— Uważam, że jesteś niesprawiedliwa, Simone.

Dziewczyna ważyła każde słowo, jakby rozmawiała z dzieckiem, które łatwo wpada w szał. Jej protekcjonalny ton sprawił, że Simone poczuła się mała i głupia.

— Prosisz, abym okłamała pielęgniarkę — kontynuowała Franny — a już po chwili karzesz Merell, ponieważ uważasz, że kłamie.

— Od kiedy stałaś się taka uczciwa?

Na twarzy dziewczyny pojawił się rumieniec.

— Simone, kocham twoje dzieci i jestem wdzięczna za tę pracę...

— Mam nadzieję. Bardzo dobrze ci płacimy. Nie wspomnę już o różnych premiach. Ale jakoś nie widzę, abyś na to zapracowała.

— Rano otrzymałaś złe wieści. Jesteś zdenerwowana. Może porozmawiamy na ten temat, gdy lepiej się poczujesz?

Simone wstrzymała oddech i zamknęła oczy. Przez chwilę miała wrażenie, że nadal przebywa w pokoju na piętrze. Śpi w swoim łóżku i męczy ją koszmarne sen. Wydawało jej się, że niczym w ślepej uliczce stoi na szczycie góry i ma dwa wyjścia: może się cofnąć albo skoczyć z klifu. Leć. To słowo pobrzmiwało w jej głowie. Nagle obudziła się w pełni świadoma. To dziwne, jak w jednej chwili będąc w stanie całkowitej dezorientacji, nagle odzyskała jasność umysłu.

Jeszcze przed sekundą była ślepa, a teraz przejrzała na oczy.

— Frances, wyjdź. Jesteś zwolniona.

ROZDZIAŁ 9

Wyjazd nad jezioro Huntington okazał się katastrofą. Tylko tak potrafiła go opisać Roxanne. Jakby na domiar złego, że przez cały weekend jej potrzeby i marzenia były lekceważone, Johnny wyskoczył jeszcze z propozycją, aby poświęciła swoją karierę na ołtarzu Simone. Roxanne nie wiedziała, co było gorsze: sama prośba czy może fakt, że w jego mniemaniu miał prawo zwrócić się do niej o coś takiego.

Nawet jeśli pobyt nad jeziorem był straszny, to jej powrót do domu był jeszcze gorszy. Potrzebowała bliskości oraz ramienia, na którym mogłaby się wyplakać i wyrzucić z siebie szczegóły tego okropnego weekendu. Znalazła jednak Tya śpiącego na kanapie. Wyglądał bardzo niechlujnie — ubrany był w dresy i miał dwudniowy zarost. W kuchni walały się nieumyte naczynia, a na automatycznej sekretarce migająca czerwona lampka informowała o czterech nieodsłuchanych wiadomościach. Po przebudzeniu Ty miał podły nastrój, a uśmiechy i objęcia zarezerwowane były jedynie dla Chowdera. Eksperyment odbywający się podczas weekendu nie powiódł się — miała nie pytać dlaczego, ponieważ sam, kurwa, nie wiedział — i został zakończony w sobotę późnym wieczorem.

— Ostatnio mam problem z obstawieniem zwycięzcy.

Gdy wrócił do pustego domu, okazało się, że nie było nawet Chowdera, który mógłby okazać mu współczucie. Wiedziała, że oczekiwał przeprosin za to, że jej zabrakło, gdy potrzebował jej wsparcia, ale miała na głowie własne problemy. Próbowwała, co prawda, go pocieszyć, ale robiła to bez przekonania. Gdy wydawał się nieco udobruchany, opowiedziała mu o swoim weekendzie, jednocześnie wrzucając rzeczy do pralki i sprzątając kuchnię. Nie siliła się na dowcipne opowieści ani filozoficzne komentarze podczas opisywania rozczarowań, w które obfitował wyjazd.

Ty jej nie słuchał.

— Co się dzieje?
— Mów dalej, zamieniam się w słuch.
Siedział na blacie kuchennym i przeglądał stertę katalogów, które w większości adresowane były do niej.
— Co powiedziałam przed chwilą?
— Niech no zgadnę. Mówiłaś o swojej siostrze?
— Przepraszam, jeśli cię zanudzam.
Plastikowa butelka z płynem do zmywarki wyślizgnęła się jej z rąk i spadła na kuchenną podłogę, tworząc kałużę zielonej brei.
— Cholera!
— No właśnie.
Ściągnął klucze z wieszaka przy drzwiach.
— Gdzie idziesz?
— Do laboratorium.
— Ale przecież mówiłeś, że nie ma...
— Nie czekaj na mnie, Roxy. Raczej nie nabiorę ochoty na rozmowę.

NASTĘPNEGO RANKA wstał wcześniej i wyszedł, zanim o szóstej zadzwonił jej budzik. Wziął też ze sobą Chowdera. Snuła się po domu, użalając się nad sobą — nie było psa, nie było męża, a karton z mlekiem prawie pusty. W drodze do szkoły zatrzymała się na kawę i skusiła się na pączka. W rezultacie teraz czuła w ustach posmak cukru, sodы i proszku do pieczenia, a z jej żołądka dochodziło burczenie. Wbrew sobie obwiniła Tya za zepsucie potencjalnie wspaniałego poranka.

Gimnazjum Balboa znajdowało się w najstarszym kompleksie szkolnym w San Diego. W skrzydle budynku, w którym pracowała Roxanne, nie było klimatyzacji, a okna znajdujące się w sali numer sto dziesięć można było otworzyć jedynie przy użyciu długiego pałaka zakończonego hakiem. Powietrze poruszały wiszące pod sufitem cztery wentylatory z łopatkami o długości dwudziestu pięciu centymetrów. Każdego dnia Roxanne doceniała to, że mogła się cieszyć świeżym powietrzem oraz naturalnym światłem. Uważała nawet, że była lepszym i bardziej cierpliwym nauczycielem, ponieważ widziała

niebo oraz drzewa z każdego miejsca w sali.

Dzisiaj jednak będzie potrzebowała czegoś więcej, aby dobrze wypełnić swoje obowiązki. Zwykle w pierwszy dzień z łatwością zdobywała się na entuzjazm i pozytywne myślenie, ale tym razem jej umysł wypełniały same pesymistyczne wizje. Musiała się nauczyć trzydziestu pięciu imion, wyszkolić nowego nauczyciela wspomagającego, przeprowadzić testy diagnostyczne, stłumić niewielkie powstania i rozpocząć walkę z technologią. Telefony komórkowe wszelkiej maści — wyłączyć. BlackBerries i Apples oraz pozostałe owoce¹ — wyłączyć. Żadnego pisanja mejli. Żadnego esemesowania. Żadnego surfowania po Internecie. Żadnego pisanja na Twitterze. Możliwości popełnienia wykroczenia były nieskończone.

Spojrzała na swój telefon w poszukiwaniu wiadomości od Tya. Nic.

Jakiś czas temu Roxanne doszła do wniosku, że gdy weźmie się pod uwagę wszystkie dni roku szkolnego — po odjęciu poniedziałków i piątków, a także świąt oraz dni, które je poprzedzały i po nich następowały — prawdziwe nauczanie ograniczało się do wtorków, śród i czwartków w okresie pomiędzy świętami Bożego Narodzenia a przerwą wiosenną. Pierwsze dni po rozpoczęciu roku szkolnego polegały głównie na pracy organizacyjnej. Roxanne nauczyła się stawiać sobie realne cele i cieszyć się nawet z małych zwycięstw. Dzisiaj postanowiła, że jeśli zdoła zebrać odpowiednią ilość energii oraz zrobić to z uśmiechem na twarzy, porozmawia na osobności z każdym uczniem w klasie. Chłopak siedzący niedbale na krześle obok biurka miał numer jedenasty. Wspaniale. Pozostało jedynie dwudziestu czterech.

Znała mnóstwo równie gburowatych nastolatków jak ten smukły ciemnoskóry chłopak z załążkami zarostu na twarzy. Za kilka lat będzie przystojny, ale teraz żadna z części jego ciała nie pasowała do siebie. W jego karcie znajdowała się informacja, że chłopiec jest posępny i małomówny, co w sumie charakteryzowało każdego normalnego trzynastolatka. Pragnęła jedynie nawiązać z nim kontakt wzrokowy. Nawet nie liczyła na uśmiech z jego

strony.

— Wyglądasz na śpiącego, Ryan. Jesteś zmęczony?

Wzruszył ramionami. Oni wszyscy wzruszają ramionami. Wśród nastolatków problemy zawsze dotyczyły zapachu ciała, cery i wzruszania ramionami.

A do tego żaden z nich się nie wysypiał. Uczniowie Roxanne dzielili pokoje z rodzeństwem, zwierzętami, telefonami, telewizorami i komputerami. Bała się nawet zapytać, co jeszcze znajdowało się w ich sypialniach. Wielu z uczniów, jeśli nie większość, nigdy nie przestrzegało stałych pór snu — i to prawdopodobnie od czasu, gdy nauczyli się wychodzić z łóżeczka.

— Jeśli ze mną porozmawiasz, będzie nam obojgu dużo łatwiej. Nie znamy się...

Spojrzał na nią.

— Ja panią znam.

Roxanne często uczyła rodzeństwo lub kuzynów. Nazwisko Ryan Moline nic jej nie mówiło. Przez te wszystkie lata miała do czynienia z dziećmi z rodzin rozwiedzionych, zastępczych lub przybranych oraz z dziećmi adoptowanymi. Czasami też chłopcy lub dziewczęta zmieniali nazwisko ot tak, po prostu.

— Uczyła pani moją kuzynkę Taryn. — Zacisnął szczęki. — Została zastrzelona.

Podczas pierwszej rady pedagogicznej przed rozpoczęciem roku szkolnego psycholog szkolny poinformował kadre o śmierci byłej uczennicy Roxanne. Została zastrzelona we własnym salonie, ponieważ nikt nie zauważył, że znajduje się w pokoju i ogląda telewizję.

Ryan poprawił się na krześle i zsunął się w dół, wyginając przy tym plecy na kształt skorupy żółwia.

— Mój wujek rozmawiał z takim facetem, Chauncym. Ten facet twierdził, że wujek winny jest mu pieniądze. A potem wyjął dużą czterdziestkę piątkę.

Roxanne wyobraziła sobie ogłuszający odgłos strzału w salonie małego domu oraz zapach prochu, którego nigdy już nie uda się usunąć z zasłon i obić mebli.

Zdarzały się sytuacje, gdy ciężko było znaleźć odpowiednie słowa. Bez względu na to, jakich rzeczowników czy czasowników Roxanne by użyła, dla Ryana brzmiałyby niedorzecznie. Przypomniła sobie oczy Taryn.

— Miała piękne oczy.

— Zielone — odparł. — Jak winogrona.

Gdy wrócił na swoje miejsce, nie zawołała następnego ucznia. Poprosiła nauczyciela wspomagającego o rozdanie kwestionariuszy osobowych, które gromadziła w prywatnym archiwum, wyszła na korytarz i zadzwoniła na telefon komórkowy Tya. Obraz Taryn oglądającej telewizję, niezauważonej przez ojca ani Chauncy'ego, odgłos strzału z czterdziestki piątki odbijający się rykoszetem od ścian salonu, otwieranie drzwi oraz krzyki matki — oto ścieżka dźwiękowa filmu, który wyświetlany był w jej wyobraźni. Ty nie odebrał, a Roxanne ogarnęło zbyt wielkie zniechęcenie, aby zostawić wiadomość.

Gdy jakiś czas później jadła lunch z Elizabeth w swojej pracowni, porażający obraz śmierci dziewczyny nadal utrzymywał się w jej świadomości.

— Siedziała w pokoju, ale nikt nie zwrócił na nią uwagi.

Równie dobrze mogłaby być niewidzialna.

Wrzuciła lunch do śmieci. Od zapachu szynki robiło jej się niedobrze. Elizabeth wyciągnęła z torebki chusteczkę higieniczną i podała ją Roxanne ponad biurkiem.

Roxanne planowała rozpocząć rok szkolny młodzieżową powieścią opartą na historii Cyrano de Bergeraca. Dla wzbogacenia metod nauczania i rozrywki zamówiła film — komiczną wersję historii Cyrano ze Steve'em Martinem. W dalszej części semestru aktorzy z San Diego State mieli odwiedzić salę sto dziesięć i odegrać kilka scen z oryginalnej sztuki. Planowany był nawet pokazu fechtunku.

— Ale dlaczego taki chłopak jak Ryan miałby się, do cholery, przejmować Cyranem?! Może powinnam znaleźć coś bardziej z charakterem, coś bardziej...

— No, jakiego? Znaczącego? W razie gdyby Ryan zapomniał

o swojej kuzynce, która została postrzelona w głowę? To niemożliwe. Doświadczenia biednego Cyrano są tak odmienne od doświadczeń tego chłopca, że może właśnie takiej powieści twój uczeń potrzebuje. A nuż Steve Martin go rozśmieszy.

Elizabeth była mądrą i doświadczoną nauczycielką, która pomimo drobnej budowy ciała potrafiła zapanować nad klasą pełną trudnych przypadków. Dlatego też Roxanne liczyła się z jej zdaniem. Rozmowa o Rynie przyniosła jej ogromną ulgę. Nie musiała tłumić w sobie emocji wywołanych przeżytą przez niego tragedią, co było o tyle istotne, że jej myśli i tak już zaprzętały liczne nadal nie rozwiązane problemy.

— Rox, jeśli pominiemy skomplikowany język, to czy Cyrano nie opowiada po prostu o niskiej samoocenie oraz uczeniu się wyrażania własnego zdania?

— Czyli uważasz, że idealnie nadaje się dla uczniów klasy ósmej.

— Mój geniusz mnie samą zaskakuje.

Przysłuchiwały się dzieciom jedzącym lunch przy stolikach ustawionych na dworze, gdzie zwykle spożywano posiłki w pogodne, bezdeszczowe dni. Elizabeth zapytała o weekend spędzony nad jeziorem Huntington. Roxanne opowiedziała jej wszystkie makabryczne szczegóły wyjazdu. Nagle z głębi torebki dobiegł sygnał telefonu. Mając nadzieję, że dzwoni Ty, szybko wyjęła komórkę, lecz gdy zobaczyła numer na wyświetlaczu, pozwoliła, aby włączyła się poczta głosowa. Po chwili odsłuchiwała nagraną wiadomość.

— Dzwoniła Merell. Chce, abym poprosiła dyrektora o pozwolenie na wcześniejsze wyjście z pracy. Simone zwolniła nianię. — Roxanne oparła czoło o blat biurka. — Dłużej już nie dam rady.

Nawet gdyby chciała wziąć na siebie odpowiedzialność za rodzinę Duranów — a nie miała na to ochoty — nie mogła tego zrobić bez ryzykowania własnego małżeństwa.

Pomimo iż Elizabeth często zapewniała ją, że cuda zdarzają się codziennie, Roxanne ich nie uznawała. Elizabeth wierzyła w

wiele rzeczy, które nie miały sensu. W aurę i świadomy sen, anioły i przewodników duchowych oraz w niezwykle i nieprawdopodobne zdarzenia spowodowane ustawieniem planet lub ręką niewidzialnego Boga. Roxanne śmiała się z większości tych rzeczy, lecz cud był jedynym wytłumaczeniem dla jej przypadkowego spotkania z Tyem — dwie osoby o całkowicie odmiennych charakterach, które w jakiś sposób, wbrew wszelkim oczekiwaniom, poznały się i przekonały, że idealnie do siebie pasują. Zwyczajny cud. Zmuszona do wyboru pomiędzy siostrą a cudem, musiała wybrać Tya. Jeśli postąpi inaczej, odrzuci szansę na wspólną przyszłość, nadzieję i śmiech oraz pozostałe przyjemności. Jednak nad jeziorem zobaczyła, w jak napiętej i niebezpiecznej sytuacji znalazła się rodzina Simone. Nie wyobrażała sobie więc, że mogłaby opuścić siostrę i siostrzenice, gdy tak bardzo jej potrzebowały. Będzie musiała znaleźć sposób, aby zadowolić wszystkich.

Przypomniał jej się podniecony ton Merell, gdy snuła opowieści w samolocie, przejęcie, z jakim oprowadzała ją po posiadłości, oraz chwile, gdy stawała na pedałach roweru i podskakiwała na wyboistej drodze.

— Ona tak bardzo potrzebuje pomocy.

— Głowa do góry, Rox, one wszystkie potrzebują pomocy.

— Elizabeth wstała i zaczęła strzepywać okruszki z džinsowej spódnicy. — Ale to twoje życie. Sama zdecydujesz, czy chcesz wskoczyć w ten wir wodny, czy będziesz trzymać się z daleka. Cokolwiek postanowisz, będę cię osłaniać.

„Będę cię osłaniać”. Wojskowa terminologia przypomniała Roxanne, że Elizabeth miała własne problemy. Jej mąż Eddie od kilku miesięcy przebywał na misji w Afganistanie.

— Jestem chyba najgorszym przyjacielem na świecie, Lizzie.

— E tam. Podejrzewam, że Dick Cheney zasłużył na ten tytuł. Ty przynajmniej nigdy nie próbowałaś mnie zastrzelić.

— Czego się dowiedziałaś?

— Tego, co zawsze. Czyli niczego. Wczoraj wieczorem zadzwonił do mnie jego kolega Calvin. Przekazał mi, że Eddie jest

bezpieczny, ale nie może podejść do telefonu ani komputera. — Elizabeth wbiła wzrok w biurko Roxanne. — Właśnie coś zrozumiałam. Eddie znajduje się w zupełnie odwrotnej sytuacji niż Merell i jej siostry. One wszystkie potrzebują uwagi, a życie Eddiego zależy od pozostania w ukryciu.

ROXANNE WYSZŁA ze szkoły zaraz po końcowym dzwonku. Zaparkowała samochód przy domu Simone i weszła tylnym wejściem, gdzie ku swojemu zaskoczeniu przy basenie zobaczyła Johnny'ego z bliźniaczkami. Pomachała do niego i weszła do domu.

Na środku salonu stała Simone.

— Wiedziałam, że przyjedziesz — powiedziała.

— Zwalniasz Franny, a potem wyciągasz Johnny'ego z pracy? Zwariowałaś, Simone. Przysięgam na Boga, odbiło ci.

— Zadzwoń do agencji i znajdzie inną nianię.

— Oszczędź mu kłopotu i w tej chwili zadzwoń do Franny. Mogę wykręcić za ciebie numer. Przeprosisz ją i obiecasz premię.

— Dlaczego ja? Nie zrobiłam nic złego. — Simone wyciągnęła Roxanne z salonu i poszła do swojego gabinetu, który sąsiadował z gabinetem Johnny'ego. — Muszę ci coś powiedzieć.

— Dlaczego szepczesz?

Gabinet Simone był przytłaczająco kobiecym pomieszczeniem — mnóstwo kwiatowych wzorów i pasków w pastelowym błękitcie i różu. Roxanne doszła do wniosku, że w takim pokoju trudno byłoby jej wymyślić coś konstruktywnego. Simone zamknęła drzwi na klucz, wzięła głęboki oddech i stanęła za wytwornym biurkiem — zbyt małym jak dla kogoś, kto naprawdę musiał pracować. Zaczęła w zamyśleniu przeglądać stertę nieotwartych kopert.

— Spójrz na mnie, Simone. Co się dzieje? Dlaczego ją zwolniłaś?

— Miałam jej już dość. Zachowywała się, jakby znała moją rodzinę lepiej ode mnie. Poza tym traktowała mnie jak inwalidkę i idiotkę. — Simone spojrzała znad poczty i uśmiech, który nagle pojawił się na jej twarzy, odjął jej kilka lat. — W zeszłym tygodniu

wspięłam się na drzewo, więc nie zadzieraj ze mną.

— Mogłabyś wspiąć się nawet na górę, a i tak nie potrafiłabyś zaopiekować się dziećmi tak dobrze jak ta dziewczyna.

Roxanne rozpoznawała już przejawy megalomanii, które często towarzyszyły Simone podczas okresów maniakalnych. Trudno było wówczas stwierdzić, jak zmieni się jej nastrój. W ciągu kilku minut Simone potrafiła z osoby nieporadnej stać się kobietą pewną siebie lub ogarniętą rozpaczą. W takich sytuacjach Roxanne zwykle ostrożnie stąpała wokół siostry, ale tamtego dnia nie miała do tego głowy.

— Nie poradzisz sobie bez niej.

— Czy kiedykolwiek miałam szansę spróbować?

— Ona była najlepszą nianią na świecie. Była niezastąpiona. Kto teraz zajmie się twoimi dziećmi?

„Kto zajmie się tobą?” Roxanne obawiała się, że zna odpowiedź na to pytanie.

Simone sięgnęła do torebki i podała Roxanne wydrukowane zdjęcie z badania USG, zamazane i cętkowane, jakby zostało wykonane przez przednią szybę w czasie zamieci. Roxanne dostrzegła czubek zadartego noska, wydatne czoło oraz ramię.

— Nie trać czasu na szukanie fujarki — zaczęła Simone. — To kolejna dziewczynka, więc wiesz, co to oznacza. Gdy się urodzi, będę musiała przejść przez to całe kurewskie zamieszanie jeszcze raz.

Nastroje Simone często się zmieniały; czasami była przebiegła, często tajemnicza, ale pod pewnymi względami była przewidywalna. Rzucanie przekleństwami nigdy nie wróżyło nic dobrego.

— Przestań narzekać i podwiąż w końcu jajniki, zacznij brać pigułki antykoncepcyjne.

— Mam inny plan. — Simone złapała zdjęcia i wrzuciła je do kosza stojącego obok biurka. — Dlatego poprosiłam Merell, aby do ciebie zadzwoniła. Ostatnio trochę zadzierasz nosa...

— Przecież dopiero co spędziłam z tobą cały weekend!

— Podejrzywałam, że nie przyjedziesz, jeśli ja zadzwonię.

— Co to za plan?

— Dzisiaj, gdy doszło do kłótni z Franny, nagle ogarnęło mnie pewne uczucie. Nie potrafię go opisać, ale zdawało mi się, że coś wiem, i nie musiałam się nawet nad tym zastawiać. Po prostu wiedziałam, co muszę zrobić.

„Nie jest dobrze”.

— A co to ma wspólnego z Franny?

— Nie rozumiesz mnie, Rox, ponieważ tobie wszystko się udaje. Twój świat jest poukładany, wszystko stoi na swoim miejscu w porządku alfabetycznym. Zawsze tak było. — Usta Simone zacisnęły się, tworząc cienką linię. — Wyobraź sobie, jak wygląda życie kogoś takiego jak ja, osoby, która nad niczym nie panuje. I nagle coś w mojej głowie zaskoczyło i zaczęłam wszystko doskonale rozumieć. Po prostu wiem.

Po weekendowych wahaniach pomiędzy manią a depresją Simone przyjęła postawę absolutnej pewności siebie. Nie było więc sensu się z nią spierać.

— Od dzisiaj wszystko się zmieni. — Na jej policzkach wykwitł rumieniec. — Najpierw powiem Johnny’emu, że nie zamierzam urodzić kolejnego dzieciaka. Nie chciałam tego robić przed twoim przyjazdem, w razie gdyby chciał mnie zabić. — Simone wybuchnęła śmiechem.

Roxanne wydał się on nerwowy.

— Następnie zadzwonię do kliniki i umówię się na wizytę. Usunę ciążę. — Na jej twarzy malowało się zadowolenie, jak u dziecka, które po wielu tygodniach niepowodzeń w końcu zdobyło szóstkę z egzaminu. — Muszę najpierw odbyć rozmowę z psychologiem, więc jutro rano zawieziesz mnie tam, a potem odwieziesz do domu. Nie mogę pojechać taksówką. Potrzebuję moralnego wsparcia. A po wszystkim powiem Johnny’emu, że znowu poroniłam. Niczego się nie dowie.

Patrzyła na Roxanne z wyrazem oczekiwania na twarzy.

— A potem zacznę brać pigułki. — Ponownie się roześmiała. W jej śmiechu można było wyczuć jakieś napięcie, coś

niebezpiecznego. — Powiem, że to witaminy. Na poprawę kondycji włosów.

Znowu śmiech.

— W którym jesteś miesiącu?

— Nie wiem. Zdjęcie wyszło tak wyraźne, że lekarz stwierdził, iż mogliśmy się pomylić w obliczeniach.

— Piąty miesiąc?

— Mniej więcej.

— Powiedziałaś o tym przez telefon?

— Komu?

— Pracownikowi kliniki.

Simone wydeła usta.

— Nie chcesz, abym to zrobiła.

— Chodzi mi o to, Simone, że ciąża jest dość zaawansowana.

— Za oknem gabinetu Roxanne dostrzegła odbicie promieni słonecznych w kroplach wody wyrzucanych przez spryskiwacze. Nad trawnikiem unosiła się tęczowa mgiełka, przypominająca migrenową aurę. — To ma znaczenie.

— Co to jest pięć miesięcy?

— To paluszki u rąk i nóg, Simone.

— Przecież wierzysz w prawo wyboru. Znam cię, Rox.

Przekazujesz pieniądze organizacji Planowane Rodzicielstwo.

— Zgadza się, ale ty nie masz osiemnastu lat i nie jesteś samotną matką. — A Johnny nie był narkomanem, kobieciarzem ani nierobem. Kochał swoją żonę oraz cztery córki. — On także musi mieć prawo wyboru. Psycholog powie ci to samo.

— Powiedziałaś jej, że jestem niezamężna. Rozwiedziona.

— On ma prawo...

— A co ze mną? Dlaczego nie mówisz o moich prawach?

Roxanne, on nigdy mi na to nie pozwoli. — Jej słowa roztrzaskały się między nimi jak szkło. — On uważa aborcję za morderstwo.

— Nawet jeśli tak jest, nie możesz ignorować...

Poruszyła się klamka.

— Simone? Co tam się dzieje?

— Jestem twoją siostrą — wysyczała Simone, idąc do drzwi,

aby je otworzyć. — Musisz mi pomóc.

Gabinet Simone nie był duży, więc Johnny, postawny mężczyzna, po trzech krokach znalazł się na środku pokoju.

— Powinnaś się już ubierać, Simone. Zapomniałaś, że dzisiaj wychodzimy?

Między jej zmarszczonymi brwiami powstała bruzda przypominająca pęknięcie.

— Wybrałaś idealny dzień na zwolnienie Franny. Założę się, że nawet nie pomyślałaś o znalezieniu opiekunki na wieczór.

Simone zamrugła, spojrzała na Roxanne, a potem ponownie na Johnny'ego.

— Możesz iść sam.

— Jezu, Simone, przecież to uroczysta kolacja na cześć sędziego Roya Price'a. Siedzimy przy stoliku burmistrza.

— Nie będzie za mną tęsknił — stwierdziła, unosząc dłonie. — To ciebie wszyscy lubią.

— Może i tak, ale po wybryku Merell chcę cię mieć przy swoim boku, aby nie prowokować kolejnych plotek.

— Źle się czuję.

— No i co z tego? Ty zawsze źle się czujesz.

Roxanne chwyciła torebkę i ruszyła w kierunku drzwi.

Johnny położył dłoń na jej ramieniu, aby ją zatrzymać.

— Czy mogłabyś nam pomóc, Rox? Wrócimy najpóźniej o jedenastej.

— Poproście mamę.

— Dzieci naprawdę by się ucieszyły. Możesz zaprosić też Tya. W zamrażarce mamy świetne steki. Chcesz, abym ci zapłacił? Hej, wiem przecież, że jesteś profesjonalistką.

— Nie obrażaj mnie, Johnny.

Jej ton wprowadził go w zdumienie. Poczł się urażony i spojrzał w dół. Roxanne zauważyła, że skupił się na obrazie USG, który leżał w koszu obok jego stóp. Podniósł zdjęcie i uważnie mu się przyjrzał. Jakby nie mógł uwierzyć w dowody znajdujące się tuż przed nim, przysunął wydruk bliżej twarzy.

— Poszłaś do lekarza? Nie mówiąc mi o tym?

Simone ścisnęła dłonie za plecami i się wyprostowała, unosząc ramiona tak wysoko, że prawie dotykały uszu.

— To dziewczynka, prawda? — Przez ułamek sekundy Johnny wydawał się zawiedziony, ale po chwili się roześmiał. — Ty chyba nie potrafisz zrobić chłopca.

— To sperma decyduje o płci dziecka — odparła Roxanne. — Simone nie ma z tym nic wspólnego.

— Nie żartuj. Naprawdę?

— Zawsze tak było.

— A więc poszedłem w ślady ojca, tak? — Wydawał się zadowolony z tej wiadomości. — Spłodził siedem córek, zanim na świecie pojawiłem się ja. Mamy już cztery córki, plus ta — postukał palcem w wydruk USG — więc zostało jeszcze tylko kilka. Zgadza się? Ósemka to szczęśliwa liczba.

Roxanne poczuła ucisk w gardle jak w pierwszym dniu bardzo silnego przeziębienia.

Simone milczała, lecz słowa tłoczyły się w jej ustach.

— Nie chcę teraz kolejnego dziecka. Postanowiłam poddać się aborcji.

Ostatnie słowo zawisło na środku pokoju.

Roxanne obserwowała Johnny'ego. Widziała, jak usłyszana wiadomość zaczyna do niego docierać. Poczła napięcie w karku w oczekiwaniu na eksplozję. Z ogrodu dobiegał dźwięk zraszacza, który przesuwiał się z boku na bok.

Johnny położył dłonie na ramionach Simone i odwrócił jej twarz w kierunku wiszącego między regałami lustro w srebrnej ramie. Simone skrzywiła się z powodu nacisku jego palców.

— Co widzisz? — zapytał.

Roxanne czuła ból karku spowodowany napięciem.

— Odpowiedz.

— Widzę siebie. — Simone mówiła głosem małej dziewczynki, tonem, dzięki któremu tak łatwo udawało jej się kogoś ubłagać, udobruchać lub do czegoś nakłonić. — I ciebie. Widzę nas.

— A ty, Rox, co widzisz?

— Odpuść, Johnny.

— Wiesz, co ja widzę? Morderczynię.

Przez twarz Simone przeszedł skurcz. Roxanne podeszła do Johnny'ego.

— Zostaw ją w spokoju.

— Widzę zabójczynię dzieci.

— Ty sukinsynu. — Roxanne wymierzyła mu tak mocny policzek, że wibracje od ciosu dotarły aż do samego ramienia.

Przez ułamek sekundy spodziewała się, że jej odda.

Simone stanęła pomiędzy nimi.

— Tak tylko mu się powiedziało. Często mówi rzeczy, których tak naprawdę nie myśli. Jest ci przykro, Rox. Wiem o tym. Nie chciałaś go skrzywdzić.

— Ogłuchłaś, Simone? Słyszałaś, jak cię nazwał?

„Czy zauważyłaś choćby ton jego głosu?”

— To tylko słowa. Nie biorę ich sobie do serca. — Simone pomachała dłonią pomiędzy nimi, jakby w tak prosty sposób mogła wymazać tę scenę. — Kocham was oboje bardzo mocno. Nie mogę patrzeć, jak się kłóćcie. — Mówiła szybko swoim słodziutkim głosem, który Roxanne dobrze już знаła. Simone używała go całe życie, gdy działo się coś złego. — Potrzebuję was. Obojga.

Roxanne ruszyła do drzwi. W głowie jej się kręciło.

Simone złapała ją za ramię.

— Wszystko w porządku. Jak Boga kocham, to nie ma znaczenia. Naprawdę. Nie zostawiaj mnie znowu.

Czasami, gdy Roxanne miała wrażenie, że zna już każdy chwyt siostry, kurtyna się unosiła i jej oczom ukazywało się coś zupełnie nowego. Najpierw: silna i zdeterminowana Simone, gotowa wziąć życie w swoje ręce. Świadomość. Niezależność. Aborcja. Pigułka. A teraz zaczyna kwilić i prosi o pomoc.

„Wszystko w porządku. Nie zostawiaj mnie znowu”.

„Znowu? A kiedy w ogóle cię zostawiłam, Simone?”

— Powiedziałaś, że zajmiesz się dziewczynkami.

— O czym ty mówisz? Niczego wam nie obiecywałam.

— Liczymy na ciebie — dodał Johnny i objął żonę ramieniem w pasie.

Roxanne czuła się jak w filmie, w którym rzeczywistość zmieniała się z ujęcia na ujęcie.

— Po prostu odpowiedz mi, Simone. Słyszałaś, co Johnny do ciebie powiedział?

— Och, oczywiście, że słyszałam. — Schyliła głowę. Roxanne wiedziała, że niektóre osoby mogły uważać ten gest za urzekająco kobiecy. — Tak mu się powiedziało, Rox. Znasz Johnny'ego. Często się denerwuje. To wszystko. — Szturchnęła go lekko łokciem w żebra. — Prawda? Przepróż za swoje niemile zachowanie.

— Przesadziłem, Roxanne. Gdy się zdenerwuję, mówię rzeczy... — Potarł policzek. — Niezły prawy sierpowy. W małżeństwie dochodzi czasem do... kłótni. Ty jesteś niemal nowożeńcem. Za kilka lat zrozumiesz, co mam na myśli.

— Chcesz powiedzieć, że nie przerwiesz ciąży, Simone?

— Po badaniu USG przeżyłam mały szok. To wszystko. Trochę mi odbiło.

Simone pokręciła palcem przy skroni, po czym oparła głowę na ramieniu Johnny'ego w poszukiwaniu poczucia bezpieczeństwa. Gest ten wydawał się jednocześnie zmysłowy i dziecinny.

Roxanne zdała sobie wówczas sprawę, jak niewiele wiedziała o małżeństwie siostry. Może chęć przerwania ciąży była jedynie wyskokiem spowodowanym hormonami lub pretekstem do zrobienia sceny. A twierdzenie, że wiedziała, jak powinna postąpić, było tylko częścią gadaniną. Może Simone pragnęła jedynie wywołać zamieszanie, aby ukarać Johnny'ego za spółdzenie kolejnej córki. Albo chciała dać mu pretekst do zbesztania jej za zwolnienie Franny i w ten sposób mu ulżyć. Może Johnny ukrywał teraz swój gniew, a może kobiece sztuczki Simone podziały i tylko na chwilę stracił panowanie nad sobą. Możliwe, że za zamkniętymi drzwiami takie wyzwiska nie byłyby czymś nadzwyczajnym. Roxanne wiedziała jedynie, że w jakiś sposób, w

który nie została wtajemniczona, pomiędzy mężem i żoną została zawarta umowa. Oboje zgadzali się na takie sceny małżeńskie, jakiej przed chwilą była świadkiem. Podejrzewała nawet, że w pewnym sensie były im one potrzebne.

Blackberry (ang.) — jeżyna, *apple* (ang.) — jabłko. [\[wróć\]](#)

ROZDZIAŁ 10

Najwcześniejsze wspomnienie Ellen Vadis dotyczyło pewnego upalnego letniego popołudnia, gdy została zaatakowana przez osy.

Było zbyt gorąco na drzemkę. W szortach z marszczonej bawełny, w których jedna z kieszeni była rozdarta, i w odziedziczonej po ojcu obciętej białej koszulce bez rękawów, zeszła bosą po wąskich kuchennych schodach, by napić się zimnej wody i wziąć ciastko. Ale gdy usłyszała ich kłótnię, zmieniła zdanie, a w żołądku poczuła ucisk. Czasami wymiotowała, gdy mama kłóciła się z babcią.

Zamiast wejść do kuchni, podreptała na palcach przez korytarz na tyłach domu, minęła pralnię i wyszła przez siatkowe drzwi na letni skwar. Mokra pościel wisiała na suszarce w kształcie karuzeli. Z drugiego końca trawnika czuła zapach wybielacza, którego matka używała do prania. Pomyślała, że znajdzie ojca w szopie, gdzie czasami naprawiał różne rzeczy. Jak na przykład ten zardzewiały pług, który jego zdaniem był pięknym antykiem. Ellen uważała, że nie wyróżniał się on niczym szczególnym od innych narzędzi rolniczych, ale słuchała opinii ojca, ponieważ był żołnierzem.

W szopie panowały duchota i mrok, pajęczyny ciągnęły się w kątach i zwisały z krokwi, a w powietrzu unosił się zapach oleju i trocin. Wyobraziła sobie czarną wdowę pełzającą po jej gołych stopach i wybiegła z szopy z powrotem na trawnik. Nie chciała oglądać się za siebie, ponieważ obawiała się tego, co może się zdarzyć. Świat był dziwnym i tajemniczym miejscem, więc może czarne wdowy mogły powiększać się do rozmiarów człowieka i na licznych odnóżach gonić małe dziewczynki. Usiadła na tylnych schodach, oddychając ciężko. Była zmęczona, ale bezpieczna. Poczowała pieczenie, gdy do oka wpadła jej kropelka potu.

Ellen żałowała, że nie mieszka na plaży.

Usłyszała brzęczenie przypominające maszynkę do golenia taty. Dźwięk dochodził z niebieskiej taczki leżącej na boku pod różową lagerstremią. Przeszła na drugi koniec podwórka i poczuła zapach gnijących nektarynek. Spojrzała w dół i ujrzała stertę zgniecionych owoców oraz pełzające po nich czarno-złote osy. Te same owady bzycały przy oknach kuchennych, gdy babcia Ellen robiła dżem figowy. Osy chodziły po sobie, walcząc o dostęp do lepkiej słodyczy.

Cierpki owocowy zapach drażnił jej nozdrza, a brzęczenie os uszy. Gdy uniosła dłoń, aby wytrzeć pot z czoła, kilka pasiastych owadów oderwało się od nektarynek i zaczęło krążyć wokół jej głowy. W mgnieniu oka poczuła ich małe odnóża w uszach, na powiekach, w kącikach ust i na skórze.

Z krzykiem rzuciła się do ucieczki i zaplątała się w mokrą, wypłukaną w wybielaczu pościel.

* * *

PAMIĘTAŁA TEŻ inny dzień, który nastąpił kilka lat po incydencie z osami. Była zima. Od tygodnia padał marzący deszcz. Gęsta mgła okryła Dolinę Kalifornijską, a w radio prezenterzy wiadomości informowali o ogromnych karambolach na autostradzie numer dziewięćdziesiąt dziewięć. Stała pomiędzy matką a babcią na ganku ich dużego domu i spoglądała w dół na ojca stojącego na podjeździe obok należącego do dziadka auta marki Hudson. Na jego ramieniu wisiał worek marynarski. Ellen miała na sobie wełniane spodnie i niebieski sweter, a do tego buty firmy Buster Brown, które starły się na czubkach, ukazując zmatowiały kolor pomarańczowy.

Na twarzy tatusia malowała się powaga, ale w jego oczach tańczyły iskierki. Ellen widziała, że ojciec był podekscytowany, ale starał się to ukryć. Otrzymał rozkazy, które jak twierdził, przysłano z Waszyngtonu. Ubrany w mundur wojskowy prezentował się równie wspaniale jak aktor Dana Andrews. Miał przed sobą rejs do Japonii, a stamtąd czekała go podróż do Korei, gdzie musiał zastrzelić kilku Czerwonych. Przed wyjazdem pokazał Ellen w ogromnym atlasie, gdzie znajdują się te miejsca.

Nagle wśród mgły odezwał się z oddali głos:

— Wayne.

W samochodzie siedział dziadek Ellen i migał światłami.

Babcia Ellen powiedziała, aby nie jechali zbyt szybko i uważali na czarny lód na drodze. Tatuś pokiwał głową, ale nie patrzył na babcię, ponieważ wzrok skupił na mamusi. Gdyby oczy mogły jeść, połknąłby ją w całości. Wskoczył na ganek, pokonując po dwa schodki naraz, i trzymał żonę tak długo w ramionach, aż Ellen ogarnęło zniecierpliwienie. Mamusia zaczęła płakać, a on odwrócił się i zszedł na dół. Babcia Ellen powiedziała mamie, aby wzięła się w garść i dodatkowo nie pogarszała sytuacji!

U podnóża schodów tatuś odwrócił się i wyciągnął ręce, aby Ellen mogła w nie wskoczyć. Powiedział, że jest jego skarbem, po czym podrzucił ją do góry i przytulił mocno do siebie, aż poczuła, jak medale wbijają jej się w skórę. Lubiła je i ból jej nie przeszkadzał.

ELLEN MIAŁA wiele wspomnień z okresu, który nastąpił po wyjeździe ojca do Korei. Niektóre były przykre, inne przyjemne. W większości przypadków były to jednak tylko przelotne obrazy przedstawiające ludzi, wydarzenia i miejsca. Miały one tak niewielkie znaczenie, że teraz się zastanawiała, dlaczego w ogóle zajmowały miejsce w jej pamięci: wersy piosenek; urywki wspomnień, w których mama płacze i przez całą noc układa puzzle; szkoła; przyjaciele; Jimmy Nissen, który w siódmej klasie uczył ją palić; picie duszkiem piwa Olympia pod trybunami podczas meczów futbolu amerykańskiego oraz w samochodach zaparkowanych przy zbiorniku retencyjnym.

Pamiętała, jak wjechała hudsonem do rowu we mgle i dziadek wściekły jak osa krzyczał drżącym głosem i zastanawiał się, w kogo się wdała. „Na pewno nie poszłaś w ślady mojej rodziny”.

Ojciec przeniósł się do Teksasu i zamieszkał tam z nową żoną oraz nowymi dziećmi. Choć trwało to długo, matka Ellen w końcu przestała płakać. Od tamtej pory zajmowała się jedynie hodowlą bydła, oszczędzaniem oraz organizowaniem sobie życia

bez udziału Ellen. Kłótnie, które między nimi wybuchały, były jeszcze gorsze od tych, które toczyły ze sobą jej matka z babcią.

Pewnego niedzielnego poranka Ellen weszła do kuchni i krzyknęła:

— Nienawidzę cię! Gdy dorosnę, wyprowadzam się z tej dziury i nigdy nie wrócę.

Dzień po ukończeniu szkoły średniej Ellen wsiadła do autokaru jadącego do Los Angeles. W szkole była słabą uczennicą. Wyjątek stanowiły kursy zarządzania, w ramach których trzy razy z rzędu wygrała Nagrodę na Najlepszego Prezesa Przyszłości. Gdy zaczęła szukać pracy w Los Angeles, potrafiła pisać dziewięćdziesiąt słów na minutę na komputerze IBM Selectric oraz stenografowała na tyle szybko, że została zatrudniona w salonie Pontiac na Pico Boulevard, pomimo iż miała dopiero osiemnaście lat. W Los Angeles było mnóstwo bulwarów — ulic, wzdłuż których pięły się palmy, chude niczym gigantyczne pałeczki do mieszania koktajli. Na każdym skrzyżowaniu znajdowały się światła uliczne, a wokoło stały galerie handlowe i kina z górującymi nad nimi neonami. „Bulwar”. Czasami Ellen powtarzała to słowo na głos, rozkoszując się jego luksusowym, południowo-kalifornijskim brzmieniem.

Praca w salonie samochodowym dawała doskonałą sposobność do poznawania mężczyzn. Lecz Ellen nigdy nie straciła zamiłowania do munduru.

WIELE LAT później, gdy była już babcią i podwójną wdową, zaczęła zawierać znajomości przez Internet i miała nadzieję na poznanie emerytowanego oficera: pułkownika, majora lub kapitana. W San Diego mieszkało wielu emerytowanych żołnierzy, więc jej oczekiwania były realistyczne. Poznała jednak tylko starszego sierżanta sztabowego oraz kilku zwykłych sierżantów, z których każdy charakteryzował się przygnębiającym wyglądem wynikającym z wieku oraz ciężkiej pracy. BJ pewnie by jej powiedział, że świat potrzebuje operatorów maszyn oraz hydraulików. Ona potrzebowała jednak czegoś innego.

Już miała zaprzestać dalszych poszukiwań, gdy pewnego

dnia Dennis Dwight odpowiedział na jej wiadomość. Napisał, że ma pięćdziesiąt dwa lata, co zapewne oznaczało, że zbliżał się do sześćdziesiątki. (Bez względu na to, jak świetnie i atrakcyjnie ktoś wyglądał, w świecie randek internetowych sześćdziesiąt lat było granicą, której nikt nie przekraczał.) Ellen odpisała Dennisowi, że ma czterdzieści osiem lat. Doszła bowiem do wniosku, że jeśli się postara, da radę na tyle wyglądać.

Choć nie był wojskowym, Dennis miał wiele do zaoferowania. Znał Dolinę Kalifornijską i dorastał w Modesto, mieście nieco większym od Daneville, ale w równie zapadłej dziurze. Podobnie jak ona w dzieciństwie nie mógł się doczekać wyprowadzki z domu rodzinnego. Opowiadał dość ogólnikowo o pracy za granicą, wspominając Kuwejt, Sambuł oraz Sajgon. Z jego tajemniczych odpowiedzi wywnioskowała, że pracował dla rządu i nie mógł otwarcie o tym rozmawiać. Po kilku tygodniach wymiany mejli zaczęli kontaktować się telefonicznie — przeważnie późno w nocy, gdy Ellen leżała w łóżku i nie mogła zasnąć z tęsknoty za BJ-em. Dennis miał głęboki, uspokajający radiowy głos i często wybuchał swobodnym śmiechem. Opowiadał jej żarty, które były nieco sprośne, ale nigdy obelżywe. Pytał ją, co ma na sobie podczas rozmowy, więc zaczęła się ładnie ubierać w porach, gdy zwykle dzwonił. W sklepie Neiman's kupiła białą jedwabną koszulę nocną, prześwitującą i bez pleców.

Miała nadzieję, że BJ patrząc z nieba, wybaczy jej kłamstwo w sprawie wieku, zakup koszuli nocnej oraz rzeczy, o których rozmawiała z Dennisem. Rzeczy, na wspomnienie których rano na jej twarzy pojawiał się rumieniec.

Postanowili, że tego wieczoru spotkają się po raz pierwszy. Wtorek był dziwnym dniem na randkę, ale to jej nie przeszkadzało. Jeśli sprawy dobrze się ułożą, będą mieli przed sobą wszystkie sobotnie wieczory, jakie pozostaną im do końca życia. Przedtem nalegała najpierw na krótkie spotkanie przy kawie, które uważała za coś w rodzaju randki próbnej. W przypadku Dennisa to nie wydawało się konieczne. Rozmawiali tak często i na tak różne tematy, że zdążyła się już przekonać, iż do siebie pasują.

Pomimo to denerwowała się przed spotkaniem i zadała sobie wiele trudu, aby zrobić dobre wrażenie. Rano poszła do fryzjera, aby ostrzyć i ufarbować włosy, a następnie do kosmetyczki na manicure i pedicure. Uniosła dłonie, podziwiając nowy malinowy lakier na paznokciach. W salonie kosmetycznym Wietnamka, która wykonywała zabieg manicure, pochwaliła jej wybór koloru. Pracownicy salonu nieustannie rozmawiały ze sobą w swoim skomplikowanym ojczystym języku, a jednocześnie ich szczupłe dłonie piłowały paznokcie Ellen i masowały stopy w sposób, który nie do końca przypadł jej do gustu. Starła się je zignorować, ale podejrzewała, że plotkują o niej. Gdy zaczęła się zastanawiać, jak wyglądały ich rodziny oraz życie w San Diego poza salonem, ni stąd, ni zowąd przypomniała sobie o napiętej i pomarszczonej bliźnie po ranie postrzałowej na ramieniu BJ-a.

* * *

NIEKIEDY ROXANNE zapominała, że atmosfera wokół Simone nie zawsze była taka napięta. Z trudem przywoływała wspomnienia z czasów, gdy jej młodsza siostra była czarującym urwisem, który zbierał białe okrągłe kamienie na ogród zimowy, a gdy nie udało się znaleźć wystarczającej ich liczby, malowała inne okrągłe kamienie korektorem znalezionym na biurku BJ-a. Pamiętała trzylatkę, która nie chciała zjeść lodów, dopóki się nie „ogrzeją”, i która rano wspinała się na łóżko starszej siostry i gwizdała jej do ucha, aby ją obudzić.

Gdy Roxanne studiowała w college’u, pewnego dnia wraz z Elizabeth zabrały Simone ze szkoły — i tak niewiele była w stanie się tam nauczyć — i pojechały razem na wycieczkę w góry Laguna. Spadło ponad dziesięć centymetrów śniegu, co w tym rejonie traktowano niemal jak zamieć śnieżną. Pozamykano drogi dla większości samochodów poza pojazdami podobnymi do ciężarówki Elizabeth. Simone nigdy nie widziała śniegu, więc podskakiwała na siedzeniu pomiędzy nimi niczym pięciolatka, chociaż wtedy miała lat jedenaście bądź dwanaście. Zamiast sanek użyły kołpaka znalezionego przez Elizabeth. Zjeżdżając ze wzgórza, Simone piszczała tak długo i głośno, że przez całą zimę

przeżywały ją Prosiaczkiem.

Z okazji czternastych urodzin Simone zabrały ją do Los Angeles na musical pod tytułem *Król i ja*. Po obejrzeniu zmusiła je do kupienia płyty DVD z filmem o tym samym tytule. A ponieważ cały czas chciała go oglądać, w końcu nauczyła się obsługi odtwarzacza DVD, który rok wcześniej otrzymała od BJ-a i Ellen. Po tym musicalu zapragnęła zobaczyć inne inscenizacje łączące słowa i muzykę. Opanowała nawet linie melodyczne wszystkich obejrzanych spektakli. Nie potrafiła zapamiętać repertuaru i godzin seansów, ale umiała zaśpiewać każdą piosenkę z *Upiora w operze*.

Gdy Simone miała dziesięć lat, a Roxanne studiowała, Ellen nie mogła już dłużej ignorować upośledzenia umysłowego młodszej córki. Przez jakiś czas ciągała Simone po lekarzach i specjalistach z różnych dziedzin, ale wszyscy mówili to samo, inaczej tylko dobierając słowa. Simone cierpiała na upośledzenie równowagi i koordynacji na tle neurologicznym oraz na pograniczne zaburzenie osobowości. Innymi słowy, jej poziom inteligencji plasował się poniżej normy. Później do diagnozy dodano jeszcze zespół maniakalno-depresyjny.

Nauka była dla niej wyzwaniem. Wymagała uczęszczania do specjalnych klas i dodatkowych zajęć z większością przedmiotów, ale po pewnym czasie Simone nauczyła się czytać, pisać i dodawać. Nauczyciele przepuszczali ją z klasy do klasy pomimo braków w wiadomościach. Ellen i BJ uważali, że tak jest dobrze. Roxanne podejrzewała, że jej siostra nigdy nie przeczytała całej książki, choć pochłaniała czasopisma o modzie i rozrywce; potrafiła prenumerować od ośmiu do dziesięciu różnych magazynów. Przepisy oraz wszelkiego rodzaju instrukcje wprowadzały zamęt w jej głowie. Jeśli nie potrafiła czegoś wykonać, nie chciała tracić czasu na naukę. Nikt nie miał pojęcia, jak poradzi sobie w życiu, dopóki nie spotkała na swojej drodze Johnny'ego Durana.

GDY DRZWI SIATKOWE zatrzasnęły się za Roxanne, Ty zawołał ją z niewielkiej sypialni, którą przerobili na wspólne biuro.

— Hej — powiedział, łapiąc ją za rękę. Przyciągnął ją do

siebie, posadził na kolanach i pocałował.

Roxanne była zaskoczona.

Ty pracowałeś na komputerze. Na ekranie wyświetlone były zdjęcia przedstawiające okna.

— Czym się zajmujesz?

— Fenestracją — odparł.

— Czym?

— Oknami w dobudówce.

Podobnie jak pocałunek to także był dobry znak. Od wizyty w Chicago przestali rozmawiać o projekcie przebudowy.

— Widzisz? — Wskazał na okna widniejące na ekranie komputera. — Winyłowe, otwierają się na zewnątrz i mają podwójne szyby, pomiędzy którymi znajdują się rolety. Są cholernie drogie, ale uważam, że powinniśmy się wykosztować na tę dobudówkę. Jeśli tego nie zrobimy, będziemy żałować.

— Nie jesteś już na mnie zły?

— Zachowałem się jak dupek, Rox, i jest mi z tego powodu naprawdę przykro. Ostatni miesiąc był dla mnie bardzo trudny, a potem jeszcze ten weekend... Byłem dla ciebie okropny, prawda?

— Prawie się do mnie nie odzywałeś. I to od wielu tygodni.

— „A gdy już się odezwałeś, nie byłeś zbyt uprzejmy ani uważny”.

— Wściekłeś się na mnie, ponieważ nie pojechałam z tobą do Chicago. Gdybym tam była, dostałbyś tę pracę.

— Może tak, może nie. Teraz to nie ma znaczenia, ponieważ tak naprawdę mieli rację, nie pragnąłem tej posady aż tak bardzo. Zastanawiałem się nad tym od czasu, gdy otrzymałem od nich wiadomość, i w ten weekend poczułem, jakby ostatni kawałek układanki trafił na swoje miejsce.

Wiedziała, że Ty zamierzał powiedzieć jej coś ważnego, coś cudownego, co ją uszczęśliwi, co uszczęśliwi ich oboje. Ona jednak zniszczy za chwilę ten idealny pojednawczy wieczór, którego oboje tak bardzo potrzebowali, ponieważ musiała biec z powrotem do Simone.

Powinna to powiedzieć i mieć najgorsze za sobą.

— Byłam u Simone i muszę wrócić, aby popilnować

dziewczynek. Moja siostra zwolniła nianię.

Spodziewała się, że Ty wpadnie w złość, ale on wyciągnął ramiona w jej kierunku, objął ją w pasie i przyciągnął do siebie. Na swoim ciele czuła bicie jego serca i unoszącą się oraz opadającą klatkę piersiową. Oddychali tym samym powietrzem, a ona nie potrafiła już odróżnić bicia jego serca od swojego. Wówczas zrozumiała, że już uwolniła się od siostry. Potrzebny był jeszcze czas, aby Simone to zrozumiała, ale najtrudniejszą część zadania Roxanne miała już za sobą. Chciała Tyowi o tym powiedzieć, ale się powstrzymała, ponieważ zdała sobie sprawę, że w tym domu i tak zbyt często poruszano temat Simone. On był naukowcem i potrzebował dowodu zachodzącej zmiany. Postanowiła więc, że mu go dostarczy.

— Nie masz nic przeciwko, abym wyszła? — Odsunęła się i spojrzała mu w oczy.

— Oczywiście, że mam.

— A więc...?

— Musisz to zrobić po swojemu, Rox. Próbowałem zmusić cię do zerwania więzi z Simone z mojego powodu. Ponieważ ja tego chciałem. W końcu jednak zdałem sobie sprawę, że sama musisz pragnąć tej niezależności równie mocno jak ja.

Nie był to zbyt dobry moment na chwalenie jego przenikliwości.

— Po telefonie z Chicago — kontynuował — nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego wcale się nim nie przejąłem.

— Prawie ze mną nie rozmawiałeś. Byłeś wściekły.

— Tak mi się wydawało, ale w ten weekend zrozumiałem, że nigdy nie chciałem opuścić Salk.

— Twój eksperyment...

— Był niewypałem, ale następnym razem mi się uda. Mam wspaniały zespół i nasze tezy są prawidłowe. Ale co najważniejsze, zdałem sobie sprawę, że przeprowadzka do Chicago byłaby ogromnym błędem.

— A więc dlaczego musieliśmy przez to wszystko przechodzić?

— To samo pytanie zadawałem sobie wczoraj wieczorem. I nagle — bum! — dotarło to do mnie. Chciałem wyjechać do Chicago, ponieważ w ten sposób oderwałabyś się od Simone.

— Och, Ty, sama sobie z tym poradzę. Nie musimy się przeprowadzać.

— Ale dzisiaj wychodzisz?

Pokiwała głową.

— Tak.

— Zadzwoń do nich. Zwolniła nianię i zapomniała załatwić inną opiekunkę. No i co z tego? Niech sama rozwiąże swój problem. Przecież nie chodzi o analizę eksperymentu z kotem Schrödingera. Wydaje mi się, że nawet twoja siostra jest w stanie poradzić sobie z czymś takim.

— Muszę zrobić to po swojemu, Ty.

— Chyba właśnie to powiedziałem, prawda?

— Poczekasz do mojego powrotu?

— Tak, ale wracaj szybko. Nie będę czekać wiecznie, Roxanne.

PRZED ZAŚNIĘCIEM Victoria i Valli domagały się bajki na dobranoc, ale zasnęły, zanim Jaś i Małgosia dotarli do chatki Baby Jagi. Olivia grymasiła i płakała, wykręcając małe ciało na lewo i prawo oraz wyginając plecy jak gimnastyczka. Roxanne nosiła ją na rękach, aż procesy trawienne dziewczynki się unormowały i można było ją odłożyć do łóżeczka. Roxanne wsparła jej ciało na poduszce i podała smoczek, który pomógł jej zasnąć. Merell nadal nie spała, gdy Roxanne zamykała drzwi pokoju dziecinnego. Wskoczyła z łóżka i nie przestawała mówić.

— Pokażę ci jeszcze tę ostatnią rzecz. To naprawdę coś wyjątkowego. Dobrze? Obiecuję, że potem położę się już do łóżka.

— Na potwierdzenie swoich słów zakreśliła krzyżyk na piersi. — Poza tym nieważne, o której pójde spać. Jest wtorek i do końca tygodnia mam jeszcze wolne. Czasami siedzę nawet do północy.

— Ale nie, gdy ja pełnię obowiązki niani.

— Jeszcze piętnaście minut?

Roxanne wskazała palcem tarczę zegarka, próbując

powstrzymać uśmiech.

— Piętnaście minut i idziesz spać.

Merell przebiegła przez dom i skierowała się do garażu. Johnny pojechał na kolację porsche, więc oba samochody, które pozostały w garażu, należały do Simone — czarne porsche cayenne oraz zaparkowany obok, także czarny, duży mercedes w wersji sedan z przyciemnianymi szybami. Wyglądały jak samochody mafii.

Merell zachowywała się, jakby oprowadzała turystów po muzeum.

— Tatuś kupił cayenne, aby mamusia mogła zabierać nas na plażę, do zoo i w inne takie miejsca, ale ona jest zbyt nerwowa. — Dziewczynka pobiegła na drugi koniec garażu i zatrzymała się przy drzwiach z okienkiem. — Założę się, że nie wiedziałaś nawet, że mamy dwa garaże. Ten drugi został skończony dopiero trzy tygodnie temu. Nie można tam wchodzić, więc tatuś zamyka drzwi na klucz.

Pęk kluczy wisiał na haczyku przy drzwiach, tuż poza zasięgiem Merell, nawet gdy stanęła na palcach.

— Możemy jednak zajrzeć przez okno. Nic się nie stanie.

Nacisnęła włącznik światła i ich oczom ukazało się wnętrze drugiego garażu.

— Musimy jednak pamiętać o zgaszeniu lamp, gdy będziemy wychodzić. Wiedziałaś, że włączone światło wytwarza ciepło? W tym garażu temperatura kontrolowana jest za pomocą termostatu, więc nigdy nie jest za wysoka ani za niska. Ustawiono ją na osiemnaście stopni.

Pierwszą rzeczą, jaka rzuciła się Roxanne w oczy, gdy spojrzała przez niewielkie kwadratowe okno, był porządek panujący w nowym garażu. Nie było w nim stosów plastikowych pojemników ze starymi ubraniami oraz ozdobami bożonarodzeniowymi. Żadnych nart ani desek surfingowych opartych na krokwiach; żadnych otwartych regałów pod ścianami, na których piętrzyłyby się narzędzia. W pobliżu tylnej ściany podłoga garażu była wyściełana bładoniebieską wykładziną,

pozostałą część wyłożono wypolerowanym drewnem, na którym stało pięć zabytkowych samochodów. Ustawione były przodem do tylnej ściany, a górne światło odbijało się oślepiającym blaskiem w ich wypolerowanych na błysk karoseriach.

Merell kontynuowała swoją opowieść, mówiła o rzeczach, o których Roxanne już wiedziała, a także o tych, o których nie miała pojęcia.

— Zanim zbudowano ten garaż, tatuś trzymał samochody w magazynie. Pewnie nigdy ich nie widziałś, co? Tatuś twierdzi, że gdy znajdowały się po drugiej stronie miasta, nie miał z nich uciechy. Poza tym nie ufał właścicielowi magazynu, który czasami zapominał zamknąć drzwi na klucz. Wkrótce zamontują specjalny filtr, aby powietrze było naprawdę czyste, a gdy przez przypadek na samochód spadnie jakiś pyłek, tatuś ma specjalne supermiękkie szmatki do ich wycierania. — Merell zamilkła na kilka chwil, aby podkreślić wagę swoich słów. — Mamusi najbardziej podoba się ten żółty. Tatuś raz pozwolił jej się nim przejechać. Zaraz po zakupie. Mamusia nazywa go Żółtym Ptakiem. Uważa, że gdyby go dostała, byłaby najszczęśliwszą kobietą na ziemi, ale tatuś mówi, że samochód jest za drogi i najprawdopodobniej szybko by go rozbiła.

Roxanne spojrzała na żółte camaro V8 z lat sześćdziesiątych oraz na stojący obok niego wiśniowy studebaker w kształcie pocisku, prawdopodobnie dziesięć lub piętnaście lat starszy.

— Ten czerwony to mój ulubiony, ponieważ wygląda jak rakietka kosmiczna. Tatuś mówi, że jest prawie równolatkiem babci Ellen, a mimo to nadal ma na sobie fabryczny lakier.

Obok studebakera zaparkowano długi srebrno-niebieski roadster z materiałowym dachem z lat dwudziestych i niskim zawieszeniem; jego błotniki wyglądały jak załamujące się fale. Obok niego stał skromny wóz kombi z drewnianymi bocznymi wstawkami, a przy tylnej ścianie czarny sedan.

— Należał do naprawdę groźnego przestępcy — wyjaśniła Merell, ścisząc głos. — Na bocznych drzwiach widać dziury po kulach. Tatuś mówi, że dzięki nim auto jest jeszcze cenniejsze.

Zabytkowe auta są świetną inwestycją. — Spojrzała na Roxanne spod gęstej grzywki. — Wiesz, co to jest „inwestycja”?

— Ty mi powiedz.

— To coś podobnego do konta, które się powiększa, chociaż nie wpłaca się tam więcej pieniędzy. Tatuś mówi, że powinno się mieć wiele różnych inwestycji, w razie gdyby się coś stało z jedną z nich.

Roxanne pomyślała o Johnnym Duranie, który poświęcał czas na wyjaśnianie swojej dziewięcioletniej córce strategii inwestycyjnych, a innym razem prowadził zabawę „rób to, co ja”. Pomyślała też o Johnnym, jakiego widziała tego popołudnia — pełnym pogardy mężczyźnie, którego spoliczkowała, ponieważ jej siostra nie chciała lub nie mogła tego zrobić. A może po prostu nie wiedziała, że ma taką możliwość.

— Który samochód jest twoim ulubionym, Merell?

Merell dziwnie na nią spojrzała. Roxanne zdała sobie sprawę ze swojego błędu.

— Głuptas ze mnie. Już mi to mówiłaś. Studebaker. — Zmierzyła włosy Merell. — Musisz mi wybaczyć, Cukiereczku. To był długi dzień.

Merell pokiwała głową z powagą.

— Martwisz się, ponieważ mamusia i tatuś się pokłócili. Ale wszystko będzie w porządku. Oni zawsze się godzą, gdy mamusia przeprosi. Czasami tatuś mówi, że zwariowała, a przed przyjazdem policji babcia Ellen powiedziała, że mamusia powinna pójść do szpitala. Tylko kto się nami zajmie, jeśli mama pójdzie do szpitala? Franny została zwolniona, tatuś musi pracować, a babcia za nami nie przepada.

— To nieprawda. Ona was lubi, po prostu niezbyt dobrze to okazuje.

Merell złapała za grzywkę i wbiła wzrok w stopy.

— Widziałam w telewizji program o dzieciach, które musiały pójść do rodziny zastępczej. A jeśli nas też to spotka?

— Nie spotka, Merell. Obiecuję.

Roxanne przytuliła siostrzenicę i pod dłońmi poczuła

delikatne ciało dziewczynki. Pracując z dziećmi, często doświadczała bolesnego ukłucia wywołanego empatią, dzięki której wiedziała, jak to jest być dzieckiem w nowoczesnym świecie. Tak było i tym razem. Choć na początku dziejów ludzkości dzieciństwo obfitowało w przemoc i niebezpieczeństwa, wtedy przynajmniej największe zagrożenia były przewidywalne: głód, wypadek, choroba. Dziecko pokroju Merell musiało stawić czoło nie tylko tym, ale przede wszystkim szerokiemu wachlarzowi innych przerażających możliwości: narkotyki, gangi, morderstwa, gwałty, pandemie, zagłada nuklearna oraz zmiany klimatyczne. Szczegółowe informacje dotyczące wyżej wymienionych, często w drastycznych słowach, przedstawiane były w Internecie i telewizji. Dzieci zawsze były bezsilne, ale nigdy aż do tego stopnia. Pomimo swojej inteligencji Merell nie mogła się bronić.

— Nigdy nie trafisz do rodziny zastępczej. Masz moje słowo. Otaczają cię ludzie, którzy cię kochają. Nic złego nie grozi ani tobie, ani twoim siostrom.

ROZDZIAŁ 11

Ellen umówiła się z Dennisem Dwightem w barze hotelu Mariposa w centrum La Jolla. Postanowiła przyjechać wcześniej, aby napić się drinka dla dodania sobie odwagi, ponieważ denerwowała się niczym uczennica.

Zanim poznała BJ-a, Ellen piła więcej niż obecnie. BJ był z natury abstynentem. Lubił wypić jedno bądź dwa martini przed kolacją, nie pogardził też winem lub piwem w umiarkowanych ilościach. Ale dał jasno do zrozumienia, że pijane kobiety budziły w nim obrzydzenie. Jako że Ellen lubiła zadowalać innych, dopasowała swój styl życia do jego, tak jak kiedyś zrobiła to, będąc z Dalem. Z trudem mogła sobie przypomnieć swoje wcześniejsze wcielenie — kobiety upijającej się do utraty przytomności i robiącej straszliwe rzeczy, których nigdy sobie nie wybaczy.

Ale dzisiaj potrzebowała drinka na uspokojenie skołatanych nerwów. BJ pewnie powiedziałby, że jej zdenerwowanie jest naturalne, ale przystojnemu i odnoszącemu sukcesy mężczyźnie jak on łatwo było tak mówić. Sześćdziesięcioletnia kobieta na pierwszej randce. Chyba powinna przebadać sobie głowę. Albo zażyć valium. Jako że żadna z tych opcji nie wchodziła w rachubę, martini musiało załatwić sprawę. Chodzenie na randki było znacznie łatwiejsze, gdy była młoda i orientowała się w obowiązujących regułach. A przynajmniej tak jej się wydawało. Natomiast w epoce cyber-randek — i to w wydaniu seniorów — nie znała kodeksów opisujących odpowiednie zachowanie oraz oczekiwania. Nie wiedziała, czy istnieje lista rzeczy, których nie należy mówić albo zakładać z góry. Wybrała się nawet do księgarni w poszukiwaniu odpowiedniego poradnika. Nie zdołała go jednak odnaleźć, a była zbyt zażenowana, aby poprosić o pomoc ekspedientkę.

— Jak cię poznam? — zapytał Denis poprzedniego wieczoru

podczas rozmowy telefonicznej. Mówił swoim pięknym głębokim głosem z charakterystycznym akcentem. — Będiesz miała ze sobą czerwoną różę?

— Włożę ją między zęby. — Prowadząc rozmowę późną nocą, potrafiła zdobyć się na odwagę i kokieterię, aby zanucić kilka seksownych taktów z opery *Carmen*.

Z powodu zdenerwowania jej żołądek zachowywał się tak, jakby na czczo wypila cztery kawy. Podobne przerażające podniecenie czuła, gdy wysiadała w Los Angeles z autokaru, nie mając pracy, mieszkania ani żadnego przyjaciela. Wtedy jeszcze była przekonana, że poznała już świat, ponieważ obmacywała się z chłopcami w ostatniej klasie liceum. Myślała, że zna mężczyzn, ponieważ najlepszy przyjaciel ojca się do niej przystawiał. Wierzyła, że od życia dostanie to, czego zapragnie, jeśli będzie otwarta na propozycje, i rzeczywiście czasami takie podejście się sprawdzało. W końcu znalazła BJ-a, ale zanim go poznała, popełniła wiele błędów. Wspomnienie każdego z nich towarzyszyło jej w drodze na spotkanie z Dennisem Dwightem w La Jolla.

Ellen miała szczęście, że znalazła miejsce parkingowe na Herschel, w pobliżu hotelu Mariposa. Opuściła osłonę przeciwsłoneczną z lusterkiem, i przejrzała się w nim. Czy włosy nie były zbyt jasne? Czy fryzura była ładna? A może gdyby włosy obcięto krócej, jej owal twarzy wydawałby się jędrniejszy? Wzięła czerwoną różę, którą zerwała z krzaka przy domu. Co prawda rozkwitła jeden bądź dwa dni wcześniej, ale musiała wystarczyć. Gdy znalazła się w holu Mariposy, rozsądek podpowiadał jej, że recepcjonisty oraz portiera nie interesuje to, czy przyszła tutaj spotkać się z mężczyzną, z którym rozmawiała jedynie przez telefon. Mimo to miała wrażenie, że wszyscy na nią patrzą, a w dodatku czuła się śmiesznie, trzymając czerwoną różę i chwiejąc się na szpilkach firmy Torquemada.

Do baru prowadziło wejście w kształcie łuku wyłożone niebieskimi płytkami. W środku panował półmrok. Na podłodze leżał ciężki dywan, a na nim stały małe stoliki oraz głębokie fotele

z miękkimi poduszkami obitymi zamszem. Żadnych luster ani boksów, żadnej prostackiej wystawki z alkoholami. W hotelu Mariposa alkohol przechowywany był w dyskretny sposób pod granitowym blatem. Na ścianie za barem wisiały trzy powiększone zdjęcia motyli.

Ellen zamówiła wódkę z martini, a gdy hostessa przyniosła jej drinka, musiała upomnieć się w myślach, aby pić powoli. Celowo przez kilka minut nie spoglądała na szklanke. Żałowała, że kiedyś rzuciła palenie. Pomyślała o BJ-u, próbowała sobie wyobrazić Dennisa Dwighta, a następnie sprawdziła, czy nie ma szminki na zębach. Tylko jeden łyeczek i będzie mogła się zrelaksować. W barze robiło się coraz bardziej tłoczno, kilkoro mężczyzn i kobiet w garniturach, garsonkach lub eleganckich, nieco mniej formalnych strojach weszło z hotelowego holu. Czowała się śmiesznie w wartej czterysta dolarów sukience z tłoczonego jedwabiu z Neiman Marcus.

— Mam się z kimś spotkać — wyjaśniła hostessie i od razu tego pożałowała.

— Podać pani przystawkę na czas oczekiwania? — zapytała dziewczyna.

— Nie, dziękuję. Później zjemy kolację.

Miała wrażenie, że wypila jedynie jeden łyk, a jej szklanka była już pusta. Nie potrafiła sobie przypomnieć, czy był to drugi czy trzeci drink. Róża leżała na stole, jej płatki zwiędły. Przez kilka chwil, które wydawały się wiecznością, bawiła się nóżką kieliszka, cienką jak słomka do picia, a potem zamówiła kolejnego drinka. Nie mogła przecież siedzieć sama, nie mając nic przed sobą.

DO BARU przyszło jeszcze więcej osób i teraz wszystkie stoliki i stolki barowe były zajęte. Naprzeciw niej w miejscu, gdzie powinien teraz siedzieć Dennis Dwight, ziało pustką jak w bezzębnym uśmiechu. Nie miała przy sobie zegarka, ale czuła, że siedzi w barze już od czterdziestu pięciu minut. Spotkania w Starbucksie były lepsze. W kawiarni mogła przynajmniej poczytać gazetę w oczekiwaniu na drugą osobę. A jeśli skończyła pić kawę i

wychodziła, nikt nie wiedział, że została wystawiona do wiatru.

Wysoki mężczyzna w szarym garniturze — droгим, choć nieco zbyt obcisłym i lekko przestarzałym — stanął w wejściu do baru Mariposa. Zobaczył ją, była tego pewna. Był w odpowiednim wieku i miał elegancko zaczesane włosy nad łysiną. Zdecydowanie bliżej było mu do siedemdziesiątki niż pięćdziesiątki, ale wybaczyła mu to kłamstwo, mając nadzieję, że on tak szybko nie odgadnie jej wieku.

Nie wiedziała, czy powinna spojrzeć na niego jeszcze raz, czy raczej udawać zainteresowanie czymś innym. Motyle przedstawione na ścianie za barem — w pięknych turkusowo-czarnych kolorach ze złotymi plamkami na ogromnie powiększonych skrzydłach — przypominały te, które widziała z BJ-em w lasach deszczowych na Kostaryce. On tak pięknie nazwał je kwiatami ze skrzydłami.

Trzymając w dłoni różę, uniosła wzrok i próbowała się uśmiechnąć, ale mężczyzna zniknął.

* * *

NOCNE NIEBO nad San Diego było pozbawione gwiazd. Światło miliona słońc przyćmione zostało przez szary miejski blask. Na wschodzie księżyc w kolorze kantalupa wschodził zza wierzchołków drzew eukaliptusowych, z których unosiła się woń cytryn. Roxanne leżała na leżaku na tarasie i rozmyślała o wieczornej rozmowie z Tyem. Jej umysł po raz pierwszy od wielu tygodni zażywał odpoczynku. Zapadła w drzemkę. Obudził ją odgłos zatraskiwanych drzwi samochodu. Spojrzała na zegarek i doszła do wniosku, że jest zbyt wcześnie na powrót Johnny'ego i Simone. Chwilę później jej matka przykuśtykała na tyły domu, trzymając jeden but w dłoni i mrużąc coś pod nosem.

Powiew ciepłego, napełnionego cytrusową wonią wiatru sprawił, że włosy na karku Roxanne się uniosły.

— Mamo, wszystko w porządku?

— Ta sukienka kosztowała czterysta dolarów, a ja wylałam na nią czerwone wino. Nawet nie wiem, dlaczego piłam wino. No i te buty! — Rzuciła je poza taras na tyle mocno, że wylądowały w

żółtym krzewie lantany. Następnie ruszyła przed siebie. Po chwili się zatrzymała i uniosła rąbek sukienki, na której widniała ciemna plama. — A może to była szkocka? — Spojrzała na Roxanne. — Czy szkocką można sprać?

Kiedy Roxanne patrzyła na matkę w stanie upojenia alkoholowego, w jej pamięci obudziły się dawno zapomniane emocje, równie odległe jak mgliste wspomnienia.

— Sama przyjechałaś?

Matka pokiwała głową.

— Nie powinnaś prowadzić w tym stanie.

— Przestań mną dyrygować.

— Gdzie byłaś?

— A ty co tutaj robisz? Gdzie Franny?

— Simone ją zwolniła.

— Opiekujesz się dziewczynkami? — Na twarzy Ellen nagle pojawiło się zmartwienie. — Nie, nie, nie.

Chwilę wcześniej szalała z wściekłości z powodu złamanego obcasa i zaplamionej sukienki, a teraz była załamana i bliska płaczu, przypominała walący się domek z kart.

— Powinnaś być w domu z mężem. Nawet nie wiesz, jak szybko, jak nagle...

— Mamo, co się stało?

— Kiedy?

— Dzisiaj wieczorem?

— Ach. Nie pamiętam. — Usiadła na brzegu leżaka. — Mówię ci, Roxanne, nie powinnaś marnować czasu. Jesteście młodzi i się kochacie. Wiem, że tak jest, ale lekceważysz go i pewnego dnia tego pożałujesz. Myślisz o wszystkich spotkaniach, dniach otwartych i konferencjach, w których chcesz wziąć udział, a potem on umiera przed tobą, zawsze tak jest, i nagle chcesz cofnąć czas...

Roxanne wydawało się, że Ellen zawsze szła przez życie nieskrępowana ciężarem zwątpienia w siebie czy żalu. Jednak tego wieczoru dokonała bolesnego odkrycia — pewność siebie charakteryzująca matkę była niczym cienka muszla pełna pęknięć.

Roxanne nie chciała tego wiedzieć. Nie chciała współczuć matce, która ją porzuciła.

— Powinnaś pójść do łóżka.

— Nie odpychaj mnie! Po prostu mnie wysłuchaj. Nigdy nie dawałam ci zbyt wielu rad, prawda? Więc gdy już chcę się z tobą jakąś podzielić, powinnaś dać mi skończyć. Jesteś jak moja mama. Obie macie skłonność do oceniania innych.

„Nie waż się krytykować babci”. Roxanne chciała odejść i zostawić matkę samą, aby mogła się nad sobą poużalać. „Babcia się mną zaopiekowała. Ty mnie porzuciłaś”. Ból był tak świeży, jakby zadano go niedawno...

BYŁO CIEMNO, gdy dotarły do domu babci. Roxanne pamiętała, jak wysiadła z buicka i stanęła u podnóża schodów prowadzących na werandę. Gdy uniosła wzrok, zobaczyła kobietę stojącą na ganku. Miała potężne, umięśnione ramiona skrzyżowane na piersi i w świetle pojedynczej żarówki wydawała się ogromną kreaturą, niczym kolos.

— Co ty tutaj robisz, Ellen Rae? Powinnaś wcześniej zadzwonić. Nie możesz wpadać...

— Weź ją, mamó. — Ellen popchnęła Roxanne do przodu i dziewczynka potknęła się o pierwszy stopień. Rozpłakała się, masując jednocześnie bolącą piszczel. — Nie potrafię się nią zająć.

— Trzeba było o tym pomyśleć, zanim ją urodziłaś.

— Nie pouczaj mnie. Nie chcę słyszeć: „A nie mówiłam”. Choć raz nic nie mów. Błagam cię, mamó. Musisz to zrobić.

Wspomnienie tego dnia wypełniło umysł Roxanne. Ujrzała również ogromny pusty dom, tysiące rzędów drzewek owocowych, które pełniły rolę świadków całego zdarzenia, księżyc w pełni... Przypomniała sobie jego jasny blask, pełen obaw i zmęczenia wyraz twarzy Ellen, nerwowe drżenie kącików zaciśniętych ust babci. Czowała, że między tamtą nocą a tą istnieje pewne podobieństwo: ogromny księżyc, ciepłe nocne powietrze...

Ellen mówiła dalej, po części do siebie:

— Chcesz postępować mądrze i właściwie ze względu na swoje dzieci, ale gdybyś rzeczywiście miała postąpić właściwie, w

ogóle nie powinnaś była się decydować na ich urodzenie. — Spojrzała na Roxanne spod przymrużonych powiek, oczami, w których odbijało się światło, i wskazała na nią palcem zakończonym pomalowanym paznokciem. — Nie jesteś już dzieckiem, Roxanne, więc słuchaj uważnie. Wiem, o czym mówię... Nie było chwili... Musisz pozwolić siostrze... Wiem, że nie powinnam była cię zmuszać do opiekowania się nią... przez cały czas. BJ mówił, że to nie w porządku...

Roxanne była przekonana, że jej matka nigdy nie przyznała się do żadnej wady ani nigdy nikogo nie przeprosiła. Skąd więc te wyrzuty sumienia — były prawdziwe czy wywołał je alkohol? A może urwał jej się film i rano nie będzie nic pamiętać? Czy był zatem sens tego wysłuchiwać?

Elizabeth wierzyła, że przed narodzinami dusze wybierają swoje rodziny, zwłaszcza matki i ojców, z uwagi na to, czego mogą się od nich nauczyć. A więc jakiej karmicznej lekcji udzielała jej Ellen? Nie pij, nie porzucaj swojego dziecka. Prowadź porządne życie, ponieważ w przeciwnym wypadku wszystko wokół ciebie rozsypie się w drobny pył.

— Chodź, mamo. Robi się chłodno. Połóżymy cię do łóżka. Rano poczujesz się lepiej.

Ellen spojrzała na nią, mrugając ze zdumienia.

— Co ty tutaj robisz? Zawsze tutaj jesteś. Pewnego dnia... Mówiłam już o tym? Oni zawsze umierają, Roxanne. Umierają, odchodzą i wtedy zostajesz sama.

Uniosła spódnicę sukienki i zapłakała w zaplamiony jedwab.

— Dość tego, zniszczysz sobie sukienkę.

— Nie mów do mnie takim tonem. — Ellen precyzyjnie się obok Roxanne. — Nie jestem dzieckiem, nigdy nim nie byłam.

„A więc witaj w klubie”.

Patrząc, jak matka chwiejnym krokiem wspina się po schodach do mieszkania znajdującego się nad garażem, Roxanne przypomniała sobie, że zanim w jej życiu pojawiła się babcia i Simone, Ellen upijała się co wieczór. Kładła wtedy matkę do łóżka i sprzątała po niej.

U szczytu schodów Ellen zawołała na tyle głośno, że mogła obudzić sąsiadów:

— Coś jest nie tak z tym cholernym kluczem.

Bładozłoty księżycowy blask rozświetlał dywan w sypialni Ellen. Roxanne odsunęła narzutę i pomogła mamie się położyć. Ten wieczór oraz emanująca spokojem tarcza księżyca obserwującego wszystko przez okno przy łóżku wydawały się znajome. Roxanne pokręciła głową, aby oczyścić umysł. Mgliste obrazy pojawiły się na chwilę, zakręciły w miejscu, zniknęły, aby po chwili powrócić.

Noc wspomnień.

ELLEN I DALE lubili przyjęcia, zwłaszcza w połączeniu z rozgrywkami w pokera. Roxanne pamiętała kłótnie, śmiech, stertę płyt ustawioną na tarczy gramofonu oraz brzęk czerwonych, białych i niebieskich żetonów, gdy ojciec przesypywał je w dłoniach. Rankiem w domu unosił się lepko-słodki zapach oraz woń papierosów. Roxanne czuła go, gdy zmywała szklanki i opróżniała popielniczki. W odróżnieniu od matki babcia była abstynentką, z wyjątkiem jednego kieliszka czerwonego wina wypijanego przy niedzielnym obiedzie oraz chwil, gdy układała puzzle. Roxanne pomyślała o imprezach w domu na Logan Hills i przypomniała jej się babcia oraz ranczo. Wraz ze wspomnieniami spokojne lustro jej myśli zostało zmacone przez powracające, nie do końca wypowiedziane pytanie, na które nigdy nie otrzymała szczerzej odpowiedzi.

— Wytłumacz mi coś, mamó. — Jeśli wypięła wystarczająco dużo, może uda jej się wyciągnąć z matki prawdę. — Dlaczego zawiozłaś mnie do babci i u niej zostawiłaś?

— Powinnaś mi za to dziękować. Postąpiłam słusznie.

„Złamałaś mi serce, twoja decyzja na zawsze odcisnęła na mnie piętno, jak więc mogłaś postąpić słusznie?”

— Nie potrafię przestać o tym myśleć. Całe życie próbowałam zapomnieć, ale bez skutku. — Dotknęła nadgarstka matki i ustami musnęła go w miejscu, w którym wyczuwalny był puls. — Ani razu mnie nie odwiedziłaś. Ani razu.

— Nie rozumiesz.

— Pomóż mi więc zrozumieć, mamó. Powiedz, dlaczego to zrobiłaś.

Ze szczytu dachu doleciała do nich melodia śpiewana przez kosa, przypominająca serenadę.

— Nigdy nie chciałam mieć dzieci. Ani ciebie, ani twojej siostry. Nie chodziło o was. Po prostu nie nadawałam się do macierzyństwa. Gdy zaszłam w ciążę z tobą, chciałam się poddać aborcji, ale nie mieliśmy pieniędzy. W tamtych czasach można było zapłacić jakiejś starszej kobiecie z szydełkiem albo porządnemu lekarzowi z zagranicy. Taki zabieg kosztował pięćset dolarów. Myślałam, że sama sobie z tym poradzę, ale nie mogłam się na to zdobyć.

Roxanne czytała o kobietach, które próbowały zakończyć ciążę za pomocą zakrzywionych drutów lub przepychaczy do rur, a nawet uciekały się do wykorzystywania długich łyżeczek do napojów. Od wieków miliony kobiet i dziewcząt oraz ich nienarodzone dzieci wykrwawiały się na śmierć w wannach, piwnicach lub na dworze za ogrodowymi szopami. Ona i jej matka też mogły tak skończyć.

— Byłam trochę stuknięta. Myślałam, że jeśli zacznę ignorować swoją ciążę, znikniesz. Cały czas wymiotowałam. W pracy powiedziałam, że mam gripę, a oni mi uwierzyli. Twój ojciec znał jednak prawdę i wpadł we wściekłość. Myślałam, że nie potrafię bez niego żyć. Myślałam, że umrę, jeśli mnie opuści.

— Kochałaś go.

— Byłam głupia.

W pogrążonym we śnie ogrodzie, w świetle pomarańczowego księżyca świerszcze wygrywały melodię miłości, a czarne ćmy poświęcały swe życie dla światła.

— Twój ojciec był najseksowniejszym mężczyzną, jakiego znałam. Nie jakimś tam uczniakiem albo sprzedawcą samochodów, który próbuje ubić interes w tanim garniturze, ale prawdziwym mężczyzną. Gdy wchodził do pokoju, wszyscy zamierali. Kobiety go pragnęły, a mężczyźni zazdrościli mu, podziwiali go i spełniali

jego polecenia. Gdy przebywałam w jego towarzystwie, czułam się jak zahipnotyzowana. — Ellen spojrzała na Roxanne. — Nie masz o tym pojęcia. — Jej oczy błyszczały od alkoholu i łez. — Teraz wiem, czym jest miłość, ale wtedy... Myliłam ją z pożądaniem. Myślałam, że miłość oznaczała robienie tego, co chcę, bez konieczności tłumaczenia się innym. No i mnóstwo seksu. Tak właśnie wyglądał nasz związek.

Roxanne miała wrażenie, że sama nigdy nie była tak młoda, jak dziewczyna opisywana przez matkę. Wiedziała, że nigdy nie była aż do tego stopnia zaślepiona uczuciem, ale też wcale tego nie pragnęła.

Fajansowy zegar z majoliki stojący na toalecie Ellen wybił półgodzinę. Roxanne oparła głowę na brzegu łóżka. Simone i Johnny mieli niedługo przyjechać. Powinna wrócić do dziewczynek. Ellen położyła dłoń na głowie córki i zaczęła gładzić jej włosy. Pamięć ma długie pazury, które chwytają i nie chcą puścić.

CZASAMI O WSCHODZIE SŁOŃCA w domu nadal rozbrzmiewała muzyka i trwały rozgrywki pokerowe. Jeśli podczas długiej nocy ojcu Roxanne udało się wygrać dużą sumę, był w wesołym nastroju i przygotowywał swoją specjalność *huevos rancheros*¹ oraz mieszał w blenderze pieniające się owocowe drinki na bazie wódki. Czasami goście zostawali dłużej, aby obejrzeć mecz. Po ich wyjściu Dale i Ellen kładli się do łóżka i przesypiali resztę dnia.

Bardzo często rodzice przechodzili wieczorem na drugą stronę ulicy do baru Królewski Poker. Zostawiali wówczas Roxanne samą w domu, ponieważ nie mieli pieniędzy na opiekunkę. Poza tym Ellen twierdziła, że skoro są po drugiej stronie ulicy, nic złego nie może się stać.

Pewnej nocy Roxanne błagała, aby nie zostawiali jej samej. Bolało ją ucho oraz cała lewa strona głowy, od szczęki aż do linii włosów. Ojciec upomniął ją, aby nie robiła zamieszania i poszła po poduszkę elektryczną, która leżała pod umywalką w łazience.

„Ból ucha to nic nadzwyczajnego.

Przeżyjesz”.

Stojąc na krześle przy oknie, patrzyła, jak przebiegają przez ruchliwą ulicę i wchodzą do baru, nad którym jaśniał neon — wachlarz z kart. Zaczęła szukać poduszki elektrycznej, ale gdy ją znalazła, okazało się, że kabel był zbyt krótki, aby sięgnąć od gniazdka w salonie do zabudowanego ganku, gdzie znajdowała się jej sypialnia. W garażu, za pomocą metrówki, zapaliła światło i w końcu znalazła stary przedłużacz wiszący na haczyku przy stole warsztatowym, z którego ojciec nigdy nie korzystał. W salonie włożyła go do gniazdka i podłączyła poduszkę elektryczną. Następnie położyła ją na łóżku, ułożyła się na boku i ustawiła niską temperaturę. Nie czuła ciepła, więc przekręciła regulator i w efekcie poparzyła ucho. Wstała z łóżka i w plastikowym koszu na pranie znalazła czysty ręcznik do naczyń. Złożyła go na cztery i położyła na poduszce. Po ustawieniu maksymalnej temperatury ciepło z poduszki ukoilo pulsujący ból ucha i w końcu zasnęła.

Obudził ją swąd spalenizny. Zastanawiała się, czy nie powinna sprawdzić, co się dzieje, ale była zbyt śpiąca. Gdy ponownie otworzyła oczy, zapach spalenizny był mocniejszy. Wstała i gdy weszła do salonu, zobaczyła dym unoszący się z gniazdka w ścianie. Z dłonią przy uchu czekała, co się za chwilę wydarzy. Próbowwała wyciągnąć wtyczkę z gniazdka, ale poparzyła sobie palce. Wówczas ogarnęło ją przerażenie. Roxanne widziała w telewizji film, w którym pożar strawił cały dom, razem z dziećmi i psem.

W Królewskim Pokerze rodzice bawili się i pili z przyjaciółmi. Wiedziała, że ojciec zarabia pieniądze, grając tam w bilard, i dzisiaj, gdy wychodzili z domu, rozmawiali o zebraniu dużej sumy. Na pewno zdenerwuje się, jeśli mu przeszkodzi. Światła w domu pani Edison były pogaszone, a na podjeździe nie było samochodu.

Z gniazdka unosiła się cienka niczym wąż smuga dymu, a rozchodzący się po pokoju zapach nie wróżył nic dobrego.

Roxanne sięgnęła pod łóżko i wyciągnęła żółte gumowe klapki. Wyszła z domu i pobiegła ścieżką prowadzącą od drzwi

wejściowych na chodnik. Na ulicy samochody, motocykle i ciężarówki pędziły po trzypasmowej jezdni. Słysząc było trąbienie klaksonów oraz muzykę wydobywającą się z wnętrza aut przez otwarte okna. Od tego hałasu rozboleła ją ucho. Przejścia dla pieszych znajdujące się po lewej i prawej stronie wydawały się za daleko. Nawet gdyby dobiegła na róg ulicy, miała zbyt mało czasu, aby czekać na zapalenie się zielonego światła. Za pół minuty może wybuchnąć pożar. Przyjadą wozy strażackie, ale nie zdążą ocalić jej domu przed całkowitym spalaniem.

Zauważyła, że przez chwilę nic nie jechało, więc ruszyła przed siebie i dotarła do środkowego pasa. Stała w żółtych klapkach i krótkiej piżamie wśród pędzących samochodów oraz trąbiących, wrzeszczących i gwizdzących kierowców. Szary sedan pełen roześmianych chłopaków zjechał nagle na środkowy pas, jakby chciał ją przejechać. Odwróciła się i spojrzała na dom. Nie potrafiła sobie przypomnieć, czy włączyła w salonie światło. Mimo to okno jarzyło się na żółto.

Przy następnej przerwie w ruchu ulicznym pobiegła dalej. Czuła, jak klapki obijały się jej o pięty, wydając przy tym odgłos przypominający klaskanie.

Ramieniem popchnęła drzwi wejściowe do baru. W środku panował mrok i unosił się zapach piwa i papierosów, jak w sypialni rodziców. Nikt nie zauważył jej przy drzwiach. Szukała wzrokiem znajomej twarzy. Robiąc krótkie, ostrożne kroki, weszła nieco dalej i zbliżyła się do długiej wąskiej barowej lady. Z głębi baru dobiegł ją odgłos kija uderzającego w bilę oraz śmiech jej matki. Roxanne zaczęła wykrzykiwać imiona rodziców. Zamiast „mamusiu” czy „tatusiu”, wołała: „Dale” i „Ellen”.

„Pożar!”

* * *

ELLEN ZNAJDOWAŁA SIĘ w dziwnym stanie — coś pomiędzy jawą a snem. Była świadoma tego, co się dzieje, ale jednocześnie oderwana od rzeczywistości, niezdolna do skupienia na czymś uwagi przez dłuższy czas. Otworzyła oczy na tyle, aby spod rzędu gęstych rzęs zauważyć, że obok jej łóżka leżała

Roxanne — jej trudna, dorosła córka. I wtedy dostrzegła tę drugą Roxanne — chudą jak kościotrup dziewczynkę z potarganymi włosami, ubraną w krótką piżamkę w różowe i żółte paski.

Ellen pragnęła jedynie dobrze się bawić i aby to było możliwe, Dale musiał być szczęśliwy i chętnie wracać do niej do domu. Dziecko, którego od samego początku nie chciała, praca na pełny etat, mąż, który wymagał uwagi. Nie była w stanie sprostać temu wszystkiemu.

Wspomnienie wróciło do niej za sprawą blasku księżyca — przypominał promień reflektora, przed którym nie mogła się schować.

JEDEN Z BYWALCÓW Królewskiego Pokera zaprowadził Roxanne z powrotem do domu. Pożar nie był wielki, skończyło się na kilku spalonych kablach oraz kawałku przypalonego dywanu... Mimo to wóz strażacki przyjechał z wyjąca syreną. W obecności gapiących się znajomych z baru Ellen i Dale odpowiadali na pytania policji. Policjanci zabronili pozostawiania Roxanne samej w domu i sprawili, że rodzice poczuli się jak niegrzeczne dzieci. W końcu zarówno policja, jak i strażacy odjechali.

Przyjaciele Ellen i Dale'a wrócili do baru, lecz oni z powodu Roxanne musieli zostać w domu. Popijali piwo, oglądając *The Tonight Show* z Johnnym Carsonem.

Roxanne skarżyła się na ból ucha i płakała, leżąc w łóżku, a oni na nią wrzeszczeli.

„Zamknij się albo zaraz dam ci powód do płaczu”.

W tamtym okresie Ellen zrobiłaby wszystko, aby tylko zadowolić Dale'a.

„Niech cię szlag, Roxanne”.

Chciała, by jej serce biło w tym samym rytmie, co jego. Gdyby potrafiła zsynchronizować swój oddech z jego oddechem, zrobiłaby to.

„Mam już ciebie dosyć”.

Kto wstał pierwszy? Ellen nie mogła sobie przypomnieć. Jedno z nich ustawiło maksymalną głośność w telewizorze. Może on szedł pierwszy albo to ona wyszła pierwsza na ganek.

Wystarczyło, że spojrzała na Dale'a, i już wiedziała, co chce zrobić. Ukłękła i sięgnęła pod łóżko w poszukiwaniu jednego z kłapek Roxanne.

„Teraz zobaczysz, co to znaczy ból ucha”.

ELLEN CZUŁA pieczenie na skórze głowy.

— Gdy się obudzisz, będzie ci się chciało pić — powiedziała Roxanne. — Przyniosę ci szklankę wody na rano.

— Zostań jeszcze. Co do twojego pytania...

— Nie chciałaś mnie. Rozumiem.

— Nie. To znaczy tak, ale... — Ellen pokręciła głową i poczuła skurcz żołądka. — Wtedy byłam samotna. Bałam się. — Marzyła o tym, aby wskoczyć do lodowatej wody, by jej wspomnienia zamarły i zniknęły. — Bałam się... że jeśli zostaniesz... zrobię ci... krzywdę.

* * *

TY ZASNAŁ nad książką. Roxanne stała przez chwilę i obserwowała go, czując, jak jej serce wypełnia miłość. Matka miała rację. Powinna spędzać z nim więcej czasu.

Simone i Johnny wrócili o wpół do jedenastej. Simone od razu poszła do łóżka, nie odzywając się do Roxanne. Jednak słowa nie były konieczne, gdy jej nastrój spowijał ją niczym czarna peleryna. Johnny zapytał o dzieci i zdawkowo podziękował Roxanne. Przez chwilę obserwowała go, jak w kuchni nalewał do miarki wódkę ze schłodzonej butelki.

— Simone dobrze się czuje?

— Nie. Ma chandrę. Ja zresztą też. — Dolał drugą miarkę lodowatego alkoholu. — Dziś po południu powiedziałaś, że masz własne życie. Idź więc do domu.

Wspięła się na palce i pocałowała go w policzek.

— Zadzwoń.

Zwinięty w nogach Tya Chowder uniósł łeb i zaczął machać ogonem. Po cichu podeszła do męża, zdjęła mu okulary i zamknęła książkę, którą czytał, zaznaczając stronę karteczką samoprzylepną.

— Ja ci dam! — Przyciągnął ją, położył na sobie i pocałował. Początkowe muśnięcia ustami przemieniły się po chwili w wolny,

ciepły i namiętny pocałunek. — Wróciłaś.

— Nie mogłam się doczekać, aż wyjdę.

— Aż tak źle?

— Merell boi się, że odeślą je do rodziny zastępczej. Skąd jej przyszedł do głowy taki pomysł?

— Kto wie? Harry Potter? — Wsunął dłoń pod jej koszulkę.

— Położysz się do łóżka czy całą noc będziemy rozmawiać o rodzinie Duranów?

Złapała go za nadgarstek.

— Muszę ci najpierw coś powiedzieć.

Opisała wygląd Ellen oraz stan, w jakim się znajdowała. Opowiedziała mu też o jej wyznaniu i o tym, co sobie przypomniała.

— Zawsze myślałam, że wysłała mnie do babci, aby się mnie pozbyć, ponieważ miała mnie już dość. Teraz dowiedziałam się, że chciała mnie... chronić. — Leżała obok niego zbyt zmęczona, aby się rozebrać. — Wydaje mi się, że z tego samego powodu zabrała mnie od babci i powierzyła opiekę nad siostrą. Zaczynała przy niej odchodzić od zmysłów, tak samo jak przy mnie. Chciała, abym broniła przed nią Simone.

— Ta kobieta to prawdziwa matka roku.

— Była jeszcze młoda. Sama nie wiedziała, co zrobić z własnym życiem. Ale miała na tyle zdrowego rozsądku, aby się mnie pozbyć. — Dotknęła ucha. — Istnieją gorsze rzeczy niż wysłanie do babci.

— Czy to coś zmienia w twojej obecnej sytuacji?

Usiadła i pozwoliła, aby Ty ściągnął jej koszulkę przez głowę.

— Bez względu na to, gdzie byłam i jak wyglądało moje życie, zawsze myślałam, że dobro, które mnie spotykało, było przypadkowe. Chyba nigdy nie pozbyłam się przekonania, że jeśli nie będę naprawdę dobrą siostrą, mama znowu mnie komuś podrzuci.

— Chow i ja będziemy cię bronić.

Przytuliła się do niego.

— Czy ty w końcu zdejmiesz dzinsy? — zapytał płaczliwym tonem.

— Myślałam, że jeśli będę zorganizowana, jeśli wszystko będę miała poukładane i będę dostawała same szóstki... — „I jeśli Ellen nie będzie musiała się o mnie martwić i zawracać sobie mną głowy...” — Dopóki nie byłam utrapieniem, nic mi nie groziło.

— Nie do końca. Nadal masz naprawdę poważny problem i z dnia na dzień staje się on coraz poważniejszy.

Co zrobiła? Czego jeszcze nie powiedziała?

— Zbyt dużo myślisz.

Śmiejąc się, przyciągnął ją do siebie.

Chowder wyczuł zmianę nastroju w pokoju, więc zeskoczył z łóżka i podreptał do salonu, gdzie położył się z łbem opartym na równo skrzyżowanych łapach. Za oknem księżyc przypominał małą białą piłkę rzuconą zbyt wysoko, aby móc ją złapać. Co jakiś czas w nocy wstawał z posłania i wędrował po pokojach. Raz czy dwa zatrzymał się przy łóżku i obserwował śpiących Tya i Roxanne. Stał na straży przy oknach w salonie, patrząc na kanion i księżyc. Chronił tych, których kochał.

Huevos rancheros — potrawa z jajek serwowana zwykle na śniadanie, dosłownie „jaja ranczera”. [[wróć](#)]

ROZDZIAŁ 12

Następnego ranka Johnny wyszedł do pracy, nie budząc Simone. Przed południem jego sekretarka zadzwoniła do niej, aby poinformować, że wyjechał do Las Vegas i wróci późno, więc nie musi na niego czekać. Tamtego wieczoru leżała w łóżku i oglądała Conana, ale jego żarty i wywiady nie potrafiły jej rozweselić. Zwykle Johnny dzwonił z pracy kilka razy, ale dzisiaj, gdy tak bardzo tęskniła za spokojnym tonem jego głosu, telefon zachowywał złowrogie milczenie. Nie zadzwoniła nawet Roxanne, a Ellen — niczym pustelnik — nie wychodziła ze swojego mieszkania.

Podczas tych beczynnych godzin Simone wymieniała w myślach to, co powiedziała lub zrobiła źle w ciągu ostatnich kilku tygodni, a zwłaszcza poprzedniej nocy: jej zaniedbania i błędy w ocenie oraz inne sytuacje, w których wielokrotnie rozczarowała Johnny'ego. Lista właściwie nie miała końca i owijała się wokół niej niczym całun. Wiedziała, że jeśli umrze w łóżku i Johnny po powrocie do domu znajdzie jej ciało, pograży się w żałobie. Jednak w najgłębszych zakamarkach serca poczuje ulgę, że pozbył się ciężaru, zmartwień i ogromnego utrapienia.

Zbliżała się północ, gdy usłyszała szcęk unoszących się drzwi do garażu. Wyłączyła telewizor i schowała się pod kołdrą, udając, że śpi. Jeśli był naprawdę zły, pewnie ją obudzi, ale może miał tak wyczerpujący dzień, że będzie wolał się wyspać. Cokolwiek się stanie, musi zachować się odpowiednio, musi go zadowolić. Wstrzymała oddech, gdy wszedł do sypialni. Johnny od razu skierował się do garderoby i zamknął za sobą drzwi. Następnie wziął długi prysznic. Simone zapadła w lekki sen, z którego wybudził ją mąż, potrząsając za ramię.

— Chcę z tobą porozmawiać. Usiądź.

Przekreśliła się na bok, twarzą do niego i odgarnęła włosy z oczu. W jednej chwili wybuchnęła płaczem i zaczęła mówić:

— Tak bardzo cię przepraszam, Johnny. Proszę, wybacz mi.

— Nie płacz, Simone. Już mi przeszło.

Przeprosiny przysły jej z łatwością. Zdawała sobie sprawę, że źle się zachowała podczas kolacji na cześć sędziego Roya Price'a. Odeszła od stolika w czasie deseru, w momencie, gdy rozpoczęły się niemające końca wystąpienia, i resztę wieczoru spędziła w kabinie toaletowej. Johnny musiał ją stamtąd wyciągać, kiedy nadszedł czas powrotu do domu.

— Nawet nie zauważyli, że mnie nie ma. Przez cały wieczór prawie nikt ze mną nie rozmawiał.

— A po co mieliby to robić, Simone? Nigdy nie masz nic do powiedzenia.

— Mogłabym się odezwać, gdybyś pomagał mi wczoraj tak jak kiedyś.

Na początku małżeństwa Johnny przygotowywał ją na takie wydarzenia jak wczorajsza kolacja. Dawał jej czasopisma na temat spraw bieżących, a następnie przepytывał z przeczytanych informacji. Opowiadał jej też o lokalnej i stanowej polityce, tak aby mogła zrozumieć, o czym rozmawiają jego przyjaciele. Simone nigdy nie była tym zainteresowana i nie wyrobiła sobie konkretnych opinii na tematy, które inni uważali za niesamowicie zajmujące: lokalizacja lotniska, negocjacje z funduszem emerytalnym oraz najdrobniejsze szczegóły polityki miejskiej. Johnny twierdził, że nie musi jej to interesować, dopóki będzie udawała, że jest inaczej. Z jego pomocą stała się ekspertem w stwarzaniu pozorów.

W tamtym czasie Simone miała przyjaciółki — inne młode kobiety, które poślubiły bogatych i wybitnych mężczyzn. Jedna z nich studiowała marketing w college'u, druga zdobyła tytuł z zakresu muzyki, ale żadna z nich nie chciała pracować, ponieważ nie potrzebowały pieniędzy. Próznowały w kreatywny sposób i zajmowały się działalnością charytatywną. Simone włączyła się za nimi na tyle często, że uznano ją za członkinię grupy i stała się królową wypychania kopert. We wtorki i czwartki jej koleżanki grały w tenisa. Po meczu Simone jadała z nimi lunch na klubowym

tarasie. Gdy ktoś poprosił ją o dołączenie do gry w debła, wybuchała śmiechem, twierdząc, że jest fujarą i nadaje się jedynie do oglądania sportu, a nie do jego uprawiania. Simone z radością wspominała tamten okres w swoim życiu. Jej przyjaciółkom nie przeszkadzał fakt, iż nie zabierała głosu podczas rozmów, z których większość była dla niej niezrozumiała. Simone zdawała sobie sprawę, że te zamożne i inteligentne kobiety przygarnęły ją do swojej grupy tylko dlatego, że Johnny był jej mężem, i gdyby nie on, nie byłyby nią zupełnie zainteresowane. Czasami jednak była zabawna i koleżanki śmiały się z jej żartów. Wówczas Simone myślała, że darzą ją sympatią.

Po urodzeniu Merell ogarnął ją depresyjny nastrój i nie chciała wychodzić z domu. Od czasu do czasu, ale niezbyt często, zapraszano ją na lunch lub do kina. Jednak wkrótce zaproszenia te ustały. Gdy spotykały się podczas kolacji i imprez charytatywnych, kobiety ciągnęły Simone na bok i ściszym, pełnym współczucia głosem pytały, czy to prawda, że po raz kolejny poroniła. Wyczuwała, że jej kolejne niepowodzenia jednocześnie wzbudzały w nich zażenowanie oraz fascynację. W okazywanym przez nie pełnym obaw współczuciu czaił się dreszczyk emocji.

Nie licząc Shawna Huttona, Roxanne była jedynym prawdziwym przyjacielem, jakiego kiedykolwiek miała. Gdy Billy Winston nazwał Simone głupkiem, Roxanne rzuciła się za nim w pogoń, dopadła go i okładała pięściami, aż błagał o litość. W pierwszej klasie dziewczynka z włosami w kolorze kukurydzy nazwała ją opóźnioną w rozwoju debilką, ale odwołała swoje słowa po tym, jak Roxanne wykręciła jej rękę. A wczoraj spoliczkowała Johnny'ego w jej obronie. Simone czuła, że wspomnienie zdumienia malującego się na twarzy męża do końca życia będzie wzbudzać w niej wesołość.

— Wiesz, że nie mówiłam poważnie o aborcji. Przez cały dzień byłam podenerwowana.

— Codziennie jesteś podenerwowana.

Usiadł na brzegu łóżka. Widząc jego zgarbione ramiona, Simone przypomniała sobie teścia, który codziennie rano wstawał

przed wschodem słońca i nosił na plecach cegły przez osiem lub dziesięć godzin. Poczowała nagły przypływ miłości i żalu, oparła więc głowę o ramię Johnny'ego, czując na policzku wilgotne ciepło bijące od świeżo umytej skóry oraz cytrusową woń wody po goleniu. Gdyby miała policzyć wszystkie przypadki, gdy zawiodła Johnny'ego, zabrakłoby jej palców u rąk i nóg.

— Byłbyś szczęśliwszy z kimś innym.

— Przestań, Simone. Jestem zbyt zmęczony, aby o tym rozmawiać.

— Będę się bardziej starała. — Myśl o separacji, o przebywaniu z dala od niego była nie do zniesienia. — Obiecuję, Johnny.

— Poczekajmy po prostu na trzeci trymestr. Wtedy poczujesz się lepiej.

Ostatnie miesiące ciąży były jej nagrodą; okresem, gdy ogarniał ją zachwyty nad niesamowitą umiejętnością jej ciała do przechodzenia zmian, rozciągania się i powiększania, nieustannego powiększania. W nocy dziecko kopało i się przekręcało albo dźgało ją kościstym łokciem. Cały czas uciskało też na jej pęcherz. Simone jednak nie przeszkadzał fakt, że nie mogła zasnąć, ponieważ po całym dniu odczuwania bólu w biodrach, kolanach oraz plecach — a nawet w stopach i palcach u stóp! — odnosiła wrażenie, jakby jej kości miały zaraz się połamać pod wpływem obciążenia. Wtedy pozycja leżąca zapewniała chwilową ulgę, aż do momentu, gdy nawet leżenie na plecach stawało się niewygodne. Przez większą część ostatniego trymestru żyła w swego rodzaju otępieniu, jej umysł ogarnięty był podziwem dla cudu, jakiego doświadczała. Oto ona, kobieta, która nie była w stanie zaserwować piłki tenisowej lub poprawnie wymówić nazwiska gubernatora, stworzyła ludzkie życie i chroniła je w sobie przez dziewięć miesięcy, aż do momentu, gdy stawało się doskonalsze od tego, co kiedykolwiek wybudował Johnny lub Roxanne skreśliła ze swej niekończącej się listy zadań do wykonania. Lubiła, gdy jej brzuch osiągał ogromne rozmiary i stawał się niewygodny. Wyglądała wtedy, jakby toczył się przed

nią. Na jej widok ludzie w sklepach i na ulicy śmiali się i ustępowali miejsca. Każdy, kto na nią spojrzeł, rozumiał, że nie była jedynie ładną, nierozgarniętą dziewczyną, która na próżno zajmowała miejsce na świecie; była ważna, miała cel, miała powód, aby żyć.

Przesunęła dłonią po zagłębieniu kręgosłupa Johnny'ego.

— Miałeś ciężki dzień?

— Długi — odparł, przeciągając się. — Ci Chińczycy to okropni perfekcjoniści, a porozumiewanie się za pomocą tłumacza spowalnia pracę. Wkurza mnie, że nigdy nie wiem, o czym ci kolesie tak naprawdę rozmawiają.

Johnny mówił dalej, a Simone pozwoliła swoim myślom na chwilę odpłynąć, lecz zaraz ponownie skupiła się na jego słowach. Gdy w końcu się wygadał, okrył ich oboje kołdrą.

— Jak sobie radzisz bez Franny?

— Trzy razy dzwoniłam do Roxanne, ale nie odebrała.

Nagrałam wiadomości na jej poczcie głosowej.

— Ona ma własne życie, Simone. Czasami o tym zapominasz.

— Merell była grzeczna.

Rano i po południu, gdy Simone ucinała sobie co jakiś czas drzemki na narożniku w salonie, Merell zajmowała się Victorią i Valli. Na lunch dziewczynka znalazła w zamrażarce zapiekankę z kurczakiem i ryżem, więc Simone odgrzała ją w mikrofalówce. Na kolację zjadły pozostałości po obiedzie.

— A jak Olivia? — zapytał sennym głosem.

W ciągu dnia Simone położyła niemowlę do łóżeczka i zamknęła drzwi. Następnie poszła z Merell i bliźniaczkami na plac zabaw, aby je pohuścić i pokręcić na karuzeli. Gdy wróciły, w domu panowała cisza, więc obejrzały film.

— Chyba jej stan się poprawia.

— Wszyscy liczymy na cud. — Ziewnął. — Zadzwońię do Alicii i poproszę, aby przyjechała na kilka dni do pomocy. Może okaże się lepsza niż osoba przysłana przez agencję.

W głowie Simone zapaliła się lampka alarmowa.

Wspomnienie starszej siostry Johnny'ego potwierdziło jej obawy, że jego wybaczenie nie było bezwarunkowe. Simone musiała zmienić swoje zachowanie, ponieważ w przeciwnym wypadku przyjedzie Alicia i przejmie kontrolę nad jej domem i życiem. Bezdzienna Alicia od kilkadziesiąt lat była rozwódką i zanim przeszła na emeryturę, kierowała działem księgowości w Duran Construction, wprowadzając w nim niemal totalitarne rządy. Jeśli wejdzie do jej domu z walizką, nigdy go już nie opuści.

— Wiesz, że ona mnie nie lubi. — Simone przytuliła się do męża i wyszeptała: — Daj mi trochę czasu, Johnny.

— Daję ci go od dnia, w którym się pobraliśmy. Mam już dość, Simone. Gdybyś знаła się choć na jednej rzeczy, gdybyś się czymś interesowała, miałabyś powód, aby wstać rano z łóżka. Gdybyś tylko nie była tak cholernie bezradna. — Zarzucił ramię na oczy. — Nie mogę codziennie wracać do domu, w którym dochodzi do katastrofy. Już nawet nie chodzi o mnie, to źle wpływa na dziewczynki. Zwolenie Franny dopełniło miary. Zrobiłaś w swoim życiu wiele głupstw, ale to było najgorsze. Potrzebowaliśmy jej, aby jakoś to ogarnąć.

— Nie rozwiedziesz się ze mną, prawda?

Wypowiedziała to okropne pytanie bez namysłu, a potem z jej ust wydobył się dziwny piskliwy chichot.

— Nie, kochanie, nie rozwiodę się z tobą, nigdy. Zawsze będę się o ciebie troszczył. Obiecałem ci to. Ale może inaczej zorganizujemy nasze życie. Alicia mogłaby z nami zamieszkać. Zajęłaby się dziećmi i domem.

— Ona się strasznie rządzi, Johnny. Poza tym dziewczynki jej nie lubią.

— A ty zamieszkałabyś we własnym domu.

— Nie chcę własnego domu, chcę ciebie.

— Dziewczynki mieszkałyby z Alicią i oczywiście mogłabyś je widywać.

Zaniemówiła z przerażenia.

— A potem, gdy poczujesz się lepiej...

— Nie jestem chora!

— Cały czas jesteś nieszczęśliwa.
— Mogę być szczęśliwa.
— I leżysz w łóżku jak osoba niepełnosprawna. Powinnaś się czymś zająć.

„Ale przecież zajmuję się czymś” — pomyślała. „Jestem w ciąży z kolejnym dzieckiem. Dla ciebie”.

— Wiedziałaś, jaka jestem, zanim się pobraliśmy. Po co to zrobiłaś?

Drżąc na całym ciele, przyciągnął ją do siebie.

— Ponieważ byłaś piękna i w myślach widziałem, jak rodzisz mi dzieci. Mojego syna.

Odepchnął ją, wydając przy tym dźwięk będący połączeniem westchnięcia i śmiechu lub płaczu. Nie wiedziała, co on oznaczał, ale bała się zapytać.

* * *

ELLEN SPĘDZIŁA całą środę, włóczęc się po mieszkaniu w szlafroku. Łyknęła jedynie aspirynę, zjadła kilka krakersów i wypła zwiertzały napój imbirowy, aby uspokoić żołądek.

Zadzwoił telefon, ale nie odebrała. Nie włączyła komputera. Nie do końca pamiętała, co robiła po wyjściu z Mariposy. Doszła jednak do wniosku, że musiała pójść do innego baru, ponieważ na sukience widniały plamy po szkockiej. Urywający się film przywołał żywe wspomnienie okresu, który spędziła z Dalem. Gdyby mogła wpełznąć pod dom i tam się schować, zrobiłaby to. Po południu mózg w końcu przestał się jej objąć o czaszkę i mogła na tyle trzeźwo myśleć, aby przypomnieć sobie słowa BJ-a, że żadne doświadczenie nie jest aż tak straszne, aby nie można było wyciągnąć z niego jakiejś nauki. A więc koniec z piciem i telefonicznymi romansami.

W środę poczuła, że doszła do siebie.

Podczas dwudziestoczworgodzinnej rekonwalescencji dużo rozmyślała. Stwierdziła, że nigdy nie zazna szczęścia, jeśli będzie mieszkać nad garażem z zabytkowymi samochodami należącymi do Johnny’ego. Ellen nie nadawała się na lokatorkę. Choć mieszkanie było ładne, nigdy nie stanie się dla niej domem. Nie

mogła jednak odejść, gdy sytuacja panująca w domu córki była tak niepewna. Najpierw musiała coś zrobić z Simone dla dobra dziewczynek. Ellen zamierzała poważnie porozmawiać z Johnnym i podzielić się z nim gorzką prawdą na temat jego żony. Jeśli będzie zmuszona powiedzieć mu, co naprawdę wydarzyło się przy basenie i co skłoniło Merell do zaalarmowania policji, zrobi to.

Gdy w czwartkowy rano zeszła do domu, Johnny wyjechał już do pracy. Na piętrze spotkała Simone, która ubierała się, tryskając niesamowitą energią. Przypominała dziewczynę pracującą kilka lat wcześniej w jednym z biur BJ-a, która łykała amfetaminę jak miętówki.

— Wzięłaś coś?

— Co? — zapytała Simone. — Masz na myśli xanax? Nie!

— A więc skąd masz tyle energii?

Simone wzięła wcześniej prysznic i drzwi do zaparowanej łazienki były otwarte, wypełniając sypialnię zapachem cytrynowych liści.

— Jesteś pewna, że nie zażyłaś tabletek na odchudzanie?

— Będziemy z dziewczynkami piec babeczki. — Gdy Simone wchodziła w fazę maniakalną, emanowało od niej elektryzujące piękno. — Chcesz nam pomóc?

Na liście zaplanowanych na dzisiaj zajęć pieczenie wraz z córką i wnuczkami zajmowało wyjątkowe ostatnie miejsce. Nie była jednak pewna, czy powinna zostawić Simone samą. Zastanawiała się też, czy jej postanowienie przemiany w nową i lepszą Ellen wiązało się z koniecznością pieczenia babeczek.

— Gdzie jest Merell? Będzie z tobą?

— Oczywiście. Lekcje zaczynają się dopiero w przyszłym tygodniu.

— Pozwól jej sobie pomóc, Simone. Nie przemęczaj się.

— Czuję się dobrze, mamó. Naprawdę. Nie musisz z nami zostawać. Masz jakieś plany na dzisiaj? — Uniosła brwi. — Umówiłaś się na kawę?

Ellen poczuła, że jej policzki oblały się rumieńcem.

— Planowałam zjeść śniadanie w Hob Nob — odparła

rzeczowym tonem. — Sama. A potem mam kilka spraw do załatwienia.

Chciała zamówić jajka w koszulkach i bekon, a potem podczas jedzenia poczytać notowania rynku nieruchomości. Od samego rana w jej umyśle powstawały różne plany.

Choć przez kilka miesięcy po śmierci BJ-a Ellen nie do końca była sobą, nie dopuściła, by jej licencja wygasła. Sprzedała Vadis Group i nowi właściciele zatrzymali nazwę, aby wykorzystać reputację firmy. Na pewno przyjęliby ją ponownie, ale nie chciała pracować dla kogoś.

Podobało jej się wyrafinowane brzmienie nazwy Ellen Vadis Properties.

* * *

— TO MLEKO MA GRUDKI — ogłosiła Valli w kuchni.

— Zajmę się tym — odparła Simone. — Merell, przejdź się po domu i pozamykaj okna.

Klimatyzator brzęczał głośno, usiłując z trudem ochłodzić duży dom.

— Tatuś mówił, że klimatyzacja się zepsuła — odpowiedziała Merell i wskazując na przyczepioną na ścianie obok telefonu kartkę z cyframi, dołała: — Możesz zadzwonić do serwisanta.

— Po prostu zamknij okna, tak jak cię prosiłam. Zatrzymamy wtedy chłodne powietrze w domu.

W szpiźarni stało duże opakowanie mleka w proszku, które postanowiła zmiksować z zimną wodą za pomocą blendera. Jeśli należy je do wypłukanego kartonu po skwaśniałym mleku, bliźniaczki się nie zorientują, a jeżeli Merell ono nie zasmakuje, będzie musiała się obejść bez mleka.

W szpiźarni pachniało cebulą i starymi jabłkami, pachniało życiem tak bardzo różnym od jej. Simone żałowała, że nie może zamknąć za sobą drzwi i posiedzieć tam przez jakiś czas, wdychając podnoszący na duchu zapach wsi. Miała jednak przed sobą cały dzień i postanowiła, że będzie on cudowny. Musiał taki być. Jak brzmiało to powiedzenie? Dzisiaj jest pierwszy dzień

reszty twojego życia.

Na razie będzie udawać, że to, co powiedział Johnny poprzedniego wieczoru, było jedynie przykrym snem. A gdy wspomnienie jego słów ponownie pojawiało się w jej głowie, zagłuszała je, nucąc piosenkę z alfabetem. Bliźniaczki uznały, że to bardzo śmieszne, przyłączyły się więc do mamy i śpiewały z całej siły. A potem zaczęły się wygłupiać, celowo zamieniając litery miejscami, i po chwili Simone nie pamiętała już, o czym chciała zapomnieć.

Znalazła mleko w proszku i przy okazji wzięła też mąkę, cukier i czekoladę, ponieważ wiedziała, że będzie ich potrzebowała do upieczenia babeczek.

Gdy wróciła do kuchni, wykrzyknęła:

— Odliczanie do babeczek! Zaczynamy za kilka minut.

Bądźcie gotowe.

Postawiła pojemniki z mąką i cukrem na blacie kuchennym.

— Pani Duran. — Gospodyni o imieniu Celia stała pomiędzy kuchnią a salonem ze ściereczką do kurzu w dłoni.

Choć pracowała u nich od czasu, gdy na świecie była tylko Merell, Simone nigdy jej nie polubiła.

— Na górze jest już gorąco.

— No cóż, nic na to nie poradzę. Klimatyzacja ustawiona jest na maksymalną moc. Proszę poskarżyć się panu Duranowi, jeśli to poprawi pani humor. Sprawdzała pani, co u Olivii?

— Ja się nie zajmuję dziećmi.

— Wiem, ale nic się pani nie stanie, jeśli pani do niej zajrzy.

— Wiem, że nie płacze.

— Nieważne, proszę robić, co do pani należy.

Simone wpatrywała się w instrukcję przygotowania mleka w proszku wydrukowaną na boku opakowania, aż w końcu coś z niej zrozumiała.

Następnie przejrzała szuflady i szafki w poszukiwaniu miarek i nasypała mleko do jednej z nich. Na pudełku zapewne widniała data przydatności do spożycia, ale wołała jej nie sprawdzać. Obserwujące każdy jej ruch bliźniaczki opierały się o

nią, aż poczuła swędzenie na skórze i musiała dziewczynki od siebie odsunąć. Zrekonstruowane mleko wirowało w blenderze.

— Robimy koktajle mleczne? — zapytała Valli.

— Chcę czekoladowy.

„A czemu nie?” — pomyślała Simone i poczuła ogarniające ją szczęście. W domu było gorąco, a lody to przecież nabiał. Wapń dla kości.

Bliźniaczki ucieszyły się, widząc, jak mama wrzuca ogromne kawałki lodów czekoladowych do blendera, ponownie go włącza i wlewa płyn do wysokich plastikowych szklanek.

— Pijcie szybko — powiedziała.

Gdy Merell wróciła do kuchni, bliźniaczki bawiły się już na placu zabaw, a Simone wkładała ich szklanki do zmywarki.

— Co na śniadanie?

— Tosty. — Jakaś głęboko skrywana uraza nie pozwoliła Simone przygotować koktajlu mlecznego dla swojej najstarszej córki. — Z masłem orzechowym.

— Wczoraj się skończyło. Zjedliśmy je na podwieczorek.

— Możesz zjeść tost z dżemem albo z serem. Nie musisz nic mówić. Sera też nie ma.

— Mam napisać listę zakupów dla Celi?

— Chcę tylko, abyś zjadła, jeśli jesteś głodna, i zaopiekowała się siostrami.

Merell wyciągnęła z szafki krakersy i rozsmarowała na nich dżem truskawkowy.

— Wiesz co, mamusiu? Widziałam w telewizji, że przez Internet można zamówić zakupy razem z dostawą. — Wcisnęła krakersa do ust i wytarła lepkie palce o spodenki. — Nie trzeba nawet wychodzić z domu. Poza tym kierowca wnosi torby, więc nie musisz niczego dźwigać.

— Skąd pomysł, że nie mam ochoty wyjść na zakupy?

— Możesz mi powiedzieć, czego potrzebujemy, a ja ci to zamówię.

Johnny kupił Merell komputer, gdy skończyła siedem lat. Simone nie miała pojęcia, jak z niego korzystać, ale bała się

zapytać, obawiając się upokorzenia. Wiedziała już bowiem, że jego obsługa okaże się dla niej zbyt trudna.

— Przestań mnie kontrolować, Merell. Jesteś taka sama jak Roxanne. — „I Alicia”.

Poczuła pierwsze ukłucie bólu głowy; bólu, który zaczynał się pomiędzy łopatkami, piął się pazurami po karku i wbijał w czaszkę. Aspiryna nic nie pomoże, ale i tak łyknęła cztery tabletki.

Merell usiadła na blacie i ją obserwowała.

— Mamusiu, czy ty urodzisz kolejne dziecko?

Simone otworzyła szafkę i wyciągnęła kubek na kawę w niebiesko-białe paski, ale po chwili odstawiła go na miejsce, ponieważ doszła do wniosku, że było zbyt gorąco na kawę. Padł na nią cień ogromnego, otępiającego zmęczenia.

„Boże, tylko nie dzisiaj”.

— Lubię dzieci, mamusiu.

— No to wspaniale, bo będziesz musiała mi pomóc w opiece nad tym, które się urodzi. Poza tym pomożesz jeszcze przy Olivii i bliźniaczkach.

„Oraz przy następnych, które będą przychodzić na świat, dopóki Johnny nie dostanie w końcu swojego syna”.

Nalała sobie szklankę zimnej wody z kranu znajdującego się na drzwiczkach lodówki i wypila wszystko jednym haustem. Pięść odrętwiającego chłodu uderzyła nagle w jej gardło.

— Mamusiu, założę się, że jeśli zadzwonisz do niani Franny, wróci do nas. Bardzo nas lubiła.

— Nie chcę jej z powrotem, Merell. I modlę się do Boga, abyś przestała mi mówić, co mam robić.

Miała wrażenie, że mięśnie jej karku są zbyt słabe, aby utrzymać głowę.

— Czy ktoś nam pomoże? Mogę zadzwonić do cioci Roxanne?

— Wykorzystaj inteligencję, którą otrzymałaś w prezencie od Boga. Twoja ciocia pracuje jako nauczycielka. Jest czwartek i trwają lekcje.

Merell pociągnęła mocno za grzywkę.

— Jeśli nie przestaniesz, wyłysiejesz. Staniesz się jeszcze brzydsza.

Na twarzy Merell pojawiło się napięcie. Simone żałowała, że nie może cofnąć tych złośliwych i nieuprzejmych słów. Merell nie miała wpływu na to, że była dzieckiem kogoś innego. To nie jej wina, że została podmieniona w szpitalu, w miejsce syna, prawdziwego dziecka Simone. Głosy odzywające się w głowie Simone — należące do Johnny’ego, Ellen i Roxanne — powtarzały jej, że nigdy do tego nie doszło, że jej przypuszczenia były szalone. Simone nie miała jednak tej pewności. Zdarzało się, że czasami nie potrafiła oddzielić prawdy od wyobraźni.

„Gdybyś nie była taka bezradna...”.

Zacząła nucić piosenkę z alfabetem i skupiła się na zebraniu składników oraz sprzętów potrzebnych do przygotowania babeczek. Pewnego popołudnia leżąc w łóżku, oglądała w telewizji kanał kulinarny. Widziała wówczas, jak przysadzista ciemnowłosa kobieta przyrządziła babeczki w pięć minut. Odmierzyć suche składniki, potem mokre, połączyć je ze sobą i wstawić do piekarnika. Czy może być coś prostszego?

Otworzyła kilka szafek, zanim udało jej się znaleźć miski. Przez cały czas czuła na sobie wzrok Merell. Miała wrażenie, że córka ją ocenia, osądza.

— O co chodzi?

— W poniedziałek zaczynam szkołę, mamusiu. Jeśli nie będę miała odpowiednich ubrań, koleżanki będą się ze mnie śmiały. Nie będą chciały się ze mną przyjaźnić.

— A co jest nie tak z twoimi ubraniami?

— Muszę mieć specjalny mundurek szkolny. Idę teraz do czwartej klasy. Pamiętasz?

Święta, ale i zadziorna siostra Johnny’ego, Alicia, nigdy nie zapomniaby o czymś takim jak mundurek. Roxanne zapisałaby go na jednej ze swoich list.

— Przepraszam, kochanie, znowu zapomniałam.

— Mogę poprosić ciocię Roxanne, aby wzięła mnie na zakupy? Możemy pojechać jeszcze dziś. Sklepy są otwarte do

późna.

„A, co tam”.

— Dzwon.

— Kocham cię, mamo. — Merell zeskoczyła, odbijając się od kuchennego stołka, jakby miała sprężyny w nogach. — Kocham cię najbardziej na świecie.

OLIVIA POMAZAŁA POŚCIEL, łóżeczko oraz siebie zawartością pieluchy. Simone wycofała się z pokoju dziecięcego i zawołała Celię.

— Nie mogę tego zrobić. Jestem w ciąży. Zaraz zwymiotuję.

— Zajmowanie się dziećmi nie należy do moich obowiązków. — Pot błyszczał na czole Celi i poskręcał jej ciemne włosy. — Johnny powiedział, że nie będę się nimi opiekować.

— Ale tutaj chodzi o posprzątanie. Łóżeczko... ściana...

Simone obserwowała wyraz twarzy Celi, gdy ta rozważała sytuację.

— Zacznijmy od Olivii. Włóż ją do wanny — poleciła Simone.

— A kto będzie jej tam pilnował?

— Nie wiem. Chyba ty. Dla odmiany posiedzisz sobie. Odpoczniesz trochę.

— Mówiłam już...

Zwykle Simone zareagowałaby krzykiem, po którym nastąpiłby wybuch płaczu, ale pohamowała się, ponieważ ten dzień miał być nowym początkiem. Nagle pewna myśl pojawiła się w jej głowie. Jeśli to nie był nowy początek, to co? Koniec?

Starła się, aby jej głos zabrzmiał stanowczo:

— Nie mogę tego zrobić, Celia.

— Muszę odkurzyć gabinet pana Johnny'ego, a potem idę na zakupy.

— Merell zrobi dla ciebie listę.

— Mam własną. — Celia spojrzała przez drzwi do pokoju Olivii i zmarszczyła nos. Po chwili uśmiechnęła się półgębkiem, a na jej policzkach pojawiły się dołeczki. — Ależ to dziecko potrafi nabrudzić.

— Wiedziałaś, prawda? Weszłaś tam, zobaczyłaś, co się stało, i po prostu ją zostawiłaś?

— Pani Duran, ja i tak mam mnóstwo pracy bez zajmowania się dziećmi.

— Dam ci dodatkowe dwadzieścia dolarów.

— Nie chodzi o pieniądze...

— I następne dwadzieścia, jeśli przez jakiś czas się nią zajmiesz.

— Johnny nie lubi, gdy w domu jest brudno.

— Sprzątasz sześć dni w tygodniu. Jak dom może być brudny?

— Dobrze, dobrze.

SIMONE WYCIĄGNEŁA ze spizarni robot kuchenny. Był cięższy od jednej z bliźniaczek. Podejrzewała, że ciemnowłosa kobieta z telewizji nigdy nie musiała nosić swojego robota kuchennego. Ustawiła go na blacie i sprzątnęła przestrzeń obok niego. W książce kucharskiej, którą otrzymała w prezencie podczas wieczoru panieńskiego, znalazła prosty przepis na ciasto czekoladowe. Zaczęła więc szukać brakujących składników.

Bliźniaczki oglądały telewizję w salonie i zignorowały jej wołanie. Gdy stanęła przed wielkim ekranem i zasłoniła im obraz, zaczęły głośno narzekać.

— Idźcie umyć ręce, będziemy robić babeczki.

Bliźniaczki złapały się za ręce, a potem marudząc i śmiejąc się, pobiegły w kierunku łazienki znajdującej się obok pralni. Ich malutkie plecy, splątane włosy i bose stopy szurające po posadzce stanowiły dziwny widok i wzbudzały litość w Simone.

Zastanawiała się, jaki złośliwy duch obecny był wtedy w sypialni, gdy ona, kobieta, która tak naprawdę nie chciała nawet jednego dziecka, poczęła dwójkę w tym samym momencie.

— Mamusiu? — zapytała Merell. — Olivia znowu płacze.

— Celia się nią zajmuje.

— Chyba wiem, dlaczego płacze. Gdy wstałam, zrobiłam dla niej butelkę mleka, ale ona na śniadanie lubi płatki z musem jabłkowym.

Simone nie pomyślała o jedzeniu dla Olivii. Nie potrafiła sobie nawet przypomnieć, co jej najmłodsza córka jadła przez ostatnie kilka dni.

— A co wlałaś do butelki? Mleko miało grudki.

— Otworzyłam puszkę z mlekiem modyfikowanym.

Merell miała wszystkie cechy, których brakowało Simone. Była aktywna, zaradna i odpowiedzialna. Dziewczynce należały się przynajmniej podziękowania, ale mimo to słowa grzęzły w gardle Simone. W końcu bliźniaczki wróciły z mycia rąk. Na ich T-shirtach i spodenkach widniały duże mokre plamy. Simone zdała sobie sprawę, że od jakiegoś czasu stoi w kuchni bez ruchu. Nie potrafiła jednak określić, jak długo.

— Gdzie babeczki? — zapytała Valli.

— Idźcie na dwór. Zawołam was, gdy będziecie potrzebne.

— Ale mówiłaś...

— Idźcie.

Usiadła i zaczęła ponownie czytać przepis na ciasto. Przeczytała go jeszcze kilkakrotnie, próbując coś z niego zrozumieć. Zapomniała o córkach i druk zaczął jej się rozmywać przed oczami.

W kuchni pojawiła się Merell, niosąc Olivie wspartą na biodrze. Niemowlę miało na sobie czyste śpioszki, jej włosy nadal były mokre po myciu. Merell posadziła dziewczynkę w krzeselku, a Simone obserwowała, jak jej najstarsza córka sprawnie porusza się po kuchni, podgrzewa mleko w mikrofalówce i miesza je z płatkami owsianymi, nucąc przy tym melodię, którą rozpoznała jako motyw ze *Shreka*. Pomiędzy łyżeczkami płatków i musu jabłkowego Olivia uśmiechała się i uderzała rączkami o tacę krzeselka. Miała już trzy zęby, ale Simone wydawało się, że nigdy wcześniej ich nie widziała. Merell zaczęła rozmawiać z siostrą, aby nakłonić ją do szerokiego otwarcia ust.

„Ona jest lepszą matką ode mnie”.

Czas mijał.

KORZENIE BÓLU GŁOWY zagnieździły się pomiędzy łopatkami Simone; pień wyrósł wzdłuż jej karku, a gałęzie

rozpostarły się pomiędzy uszami i pulsowały życiem. Gdy dotykała szyi, ze zdziwieniem stwierdzała, że nie czuje pod palcami bólu w kształcie drzewa. Zaczęła się zastanawiać, czy coś takiego może ją zabić. Z drugiej strony śmierć nie wydawała się czymś okropnym.

Od jakiegoś czasu Merell i Olivia układały plastikowe klocki na podłodze salonu. Obok nich leżała otwarta książka.

— Franny zawsze dawała Olivii butelkę przed południem, zanim kładła ją na drzemkę. Chcesz, abym dała jej mleko i zaniósła ją do łóżeczka?

Simone zauważyła, że gdy Olivia nie płakała, była ładnym dzieckiem — brązowe oczy i okrągła buzia otoczona ciemnymi włoskami. Wszystkie siostry Johnny’ego miały dziewczynki podobne do Olivii. „Ale ona jest moja, to ja ją stworzyłam” — pomyślała Simone. „Ona urosła we mnie”. Pulsujący ból głowy zelżał i poczuła wewnętrzne ciepło, które zinterpretowała jako uczucie miłości do biednej, zwykle wrzeszczącej Olivii. Chciała zrobić dla niej coś wyjątkowego.

— Weźmy ją na dwór. Świeże powietrze dobrze jej zrobi.

— W kojcu?

— Dobry pomysł. — Na myśl przyszedł jej duży wiklinowy kosz na pranie, wypełniony czystą pościelą, który widziała na pralce. — Może spać w koszu na pranie.

Na twarzy Merell malowało się zwątpienie.

— Dzisiaj jest naprawdę gorąco.

— Postawimy go w cieniu.

— A jeśli słońce się przesunie?

— Po zrobieniu babeczek weźmiemy ją do środka i urządzimy sobie przyjęcie. Chyba jest już na tyle duża, aby zjeść ciasto? Jak myślisz?

Simone wyobraziła sobie cztery córki siedzące wokół stołu z ręcznikami do naczyń zawiązanymi wokół szyi, aby nie pobrudzić ubrań. Ich palce i twarze były pokryte czekoladowym ciastem i lukrem.

W CIENIU DRZEWA AWOKADO na drugim końcu tarasu

Simone rozstawiła kojec i włożyła do środka kosz pełen czystej pościeli oraz poszewek na poduszki. Olivia była małym dzieckiem i niechętnie badała otaczający ją świat. Z pomocą siadała i przewracała się na brzuch, ale nie zaczęła jeszcze raczkować i nie wykazywała żadnych chęci do wstawania. Kosz na pranie pasował idealnie.

„Jesteś podobna do mnie” — pomyślała Simone, układając prześcieradła w taki sposób, aby podeprzeć butelkę. Wydała na świat dziewczynkę równie małą i powolną jak ona sama.

„Wyrośniesz na kobietę taką jak ja”. Ale Johnny nie chciał, aby jego dzieci przypominały żonę. „Głupią i bezradną”.

Spojrzała na córkę i poczuła, że zaczyna przygniatać ją ciężar miłości oraz pewnej porażki; ciężar, którego nikt nie był w stanie udźwignąć.

ROZDZIAŁ 13

Matka Merell poszła na górę kilka godzin temu. Obiecała, że wróci, gdy ból głowy nieco ustąpi. Bliźniaczki marudziły, ponieważ nie było babeczek, ale Merell nie była rozczarowana. Rozumiała, że mama miała dobre intencje.

Merell posprzątała kuchnię, rozsypaną mąkę na blacie oraz cukier, który chrząścił pod stopami. Włożyła jajka z powrotem do lodówki i wyszła na dwór, aby pobawić się na placu zabaw z siostrami. Pora lunchu nadeszła i minęła, więc bliźniaczki zaczęły narzekać, że umierają z głodu. Niestety masło orzechowe się skończyło. Choć zamrażarka była pełna mrożonek, Merell nie mogła używać mikrofalówki pod nieobecność dorosłych. Zastanawiała się nad poproszeniem o pomoc Celi, ale gosposia ścierała właśnie kurze w salonie, z którego nikt nigdy nie korzystał. Sprzątanie bałaganu Olivii wprawiło Celię w zły nastrój, więc Merell doszła do wniosku, że lepiej trzymać się od niej z daleka. Nie znosiła, gdy ktoś nią dyrygował w języku, którego nie rozumiała. Gdy zaczęła się zastanawiać nad nauką hiszpańskiego, przypomniała jej się szkoła i mundurek. Nagrała wiadomość na telefonie komórkowym cioci Roxanne, błagając ją o pomoc jak małe dziecko.

Merell w końcu miała dość mazania się bliźniaczek i narzekania na to, że są głodne, więc zadzwoniła do najbliższej pizzerii i zamówiła dużą pizzę z podwójnym serem. Zapłaciła jednym banknotem o nominale dziesięciu dolarów oraz dwoma pięciodolarówkami. Wyciągnęła je z portfela mamy, który znalazła w jej torebce w gabinecie.

Kilka razy Merell sprawdziła, co u Olivii. Dziewczynka trochę spała, ale gdy miała otwarte oczy, wydawała się szczęśliwa, leżąc po prostu na plecach i bawiąc się swoimi fascynującymi stopami. Merell zastanawiała się, czy Olivia będzie równie mądra jak ona, czy pod względem intelektualnym będzie podobna do

bliźniaczek. W końcu niemowlę zmęczyło się zabawą palcami stóp i zaczęło płakać, ale nie były to wrzaski wynikające z dolegliwości żołądkowych. Merell zinterpretowała je jako wyraz znudzenia i sposób zwrócenia na siebie uwagi. Wsadziła więc siostrę do wózka i zaczęła wozić po domu, a potem zrobiły kilka rundek po podjeździe, w górę i w dół, co zdawało się sprawiać Olivii przyjemność. Victoria i Valli jeździły na różowo-żółtych rowerkach z bocznymi kółkami. W pewnym momencie podczas zabawy Celia poprosiła Merell o otwarcie bramy na końcu podjazdu i wyjechała mercedesem na zakupy. Lubiła jeździć dużym samochodem po okolicy, w której mieszkała jej siostra, i się nim chwalić. Z zakupów wracała zwykle późnym popołudniem. Bliźniaczki błagały Merell, aby pobawiła się z nimi w szkołę, ona jednak wolała wziąć Olivię na kolana i ją pohuścić. Wiejąca bryza wydawała się niemal chłodna. Merell zaczęła się zastanawiać, czy powinna zanieść najmłodszą siostrę z powrotem do domu, gdzie klimatyzator, który przez cały ranek działał z przerwami, teraz dmuchał stałym i lodowatym powietrzem. Bliźniaczki zaczęły się nawet skarżyć, że czują się jak na biegunie północnym. Merell doszła do wniosku, że niania Franny uznałaby, iż świeże powietrze jest najlepsze dla dziecka, więc odłożyła Olivię do koszyka na pranie. Ustawiła go najbliżej pnia drzewka awokado, ponieważ w tym miejscu był najgłębszy cień. Nałożyła sweter i w salonie na kanapie zaczęła czytać o Harrym Potterze i jego przyjaciółach. Przy lekturze czas zawsze mijał jej szybko.

Nagle Victoria wbiegła do domu z krzykiem.

— Mała Libia jest cała czerwona. I siedzą na niej osy.

Merell nie zdawała sobie sprawy, jak szybko słońce przesunęło się po niebie. Wyszło zza drzewa i teraz świeciło prosto na podstawę pnia, tam, gdzie stał kosz na pranie. Butelka Olivii spadła na bok i mleko wylało się na prześcieradła oraz na poszewki. Płyn dostał się również na główkę dziewczynki, pozlepił jej cienkie włoski, które z kolei poprzyklejały się do prania. Żółte osy w czarne paski, zwabione słodkim zapachem mleka modyfikowanego, tłoczyły się na jej lepkiem policzku oraz

wokół włosów i uszu. Policzki, czoło oraz czubek głowy dziewczynki przybrały jaskraworóżowy kolor i nosiły znamiona poparzenia słonecznego, a jej oczy przypominały szkliste szczelinki pomiędzy opuchniętymi powiekami. Próbowwała płakać, ale wydawała z siebie jedynie zduszony, zachrypnięty dźwięk przypominający żabę, która dopiero uczy się rechotać.

Strach opanował całe ciało Merell. Zaczęła rękami odganiać chmarę os, nie zważając na rozwścieczone owady na palcach. Następnie złapała nadgarstki Olivii, podciągnęła ją do góry i wzięła w ramiona. Głóvka niemowlęcia opadła na jedną stronę i osy wzbily się w powietrze. Po chwili jednak ponownie wylądowały, niektóre z nich na Merell. Czując na skórze ich małe odnóza, Merell krzyknęła i chwiejnym krokiem ruszyła przez taras w kierunku wiklinowego leżaka, który stał w cieniu markizy.

— Gdzie jest Franny? — zajęczała Valli.

— Zamknij się, muszę pomyśleć.

MATKA MERELL leżała na plecach w białym staniku i figach bikini, cicho pochrapując. Nawet gdyby nie spała, nie potrafiłaby pomóc, ale Merell i tak do niej przyszła, ponieważ nie wiedziała, co robić. Babcia Ellen wyjechała gdzieś bez pożegnania i nie odbierała telefonu. Celia wróci dopiero, gdy wyda mnóstwo pieniędzy i wypije kawę z siostrą. Tatuś był w Las Vegas. Merell spróbowała skontaktować się z Franny. Wielokrotnie dzwoniła na jej telefon komórkowy, jednak żaden głos nie poprosił o zostawienie wiadomości po sygnale. Nad jeziorem ciocia Roxanne zapisała jej swój numer telefonu, ale Merell bała się, że zgubi tę karteczkę, więc nauczyła się go na pamięć. Nagrała wiadomość, w której prosiła ciocię, aby szybko przyjechała, ponieważ stało się coś okropnego. Powtórzyła nawet dwukrotnie, że to nie żarty.

Rozważała wybranie numeru alarmowego, ale wiedziała, że wówczas przyjadą policjanci i tym razem nikt nie zdoła wyplątać mamusi z kłopotów. Tajemnica, którą skrywała Merell, urosła w niej do niebotycznych rozmiarów. Policjanci zmuszą ją do powiedzenia prawdy i zostanie ukarana przeniesieniem do rodziny zastępczej. Jednak bez względu na to, co stanie się z nią, jej matkę

czekało coś znacznie gorszego.

Na stoliku nocnym mamy Merell zauważyła leżącą na boku otwartą bursztynową buteleczkę po lekach. Nałożyła zakrętkę i przeczytała etykietkę. To było jedyne słowo, jakie widziała, które zaczynało się i kończyło na literę „x”.

Simone westchnęła i zarzuciła lewe ramię nad głowę. Merell wpatrywała się w szpileczki czarnych włosków pokrywających jej pachę. Wciągnęła w nozdrza kwaśny zapach ciała matki, który jednocześnie ją odpychał i przyciągał. Ze wszystkich tożsamości Simone — matki, żony i kobiety — ta ostatnia fascynowała Merell najbardziej i prowokowała w jej umyśle pytania. Choć nie mogła w to do końca uwierzyć, wiedziała, że pewnego dnia i ona stanie się kobietą, której urosną piersi oraz włosy w intymnych miejscach. Tylko skąd miała wiedzieć, jak powinna się nią stać, skoro nikt z nią na ten temat nie rozmawiał? Kochała mamę i jednocześnie współczuła jej, ponieważ zdawała sobie sprawę, że ona także nie posiadała zbyt dużej wiedzy w tej kwestii. Współczucie to napawało Merell wstydem. Czytała bowiem wiele książek o dorastających dziewczynkach i żadna z bohaterek nigdy nie litowała się nad swoją mamą.

Pomimo iż Simone nie wiedziała, jak być matką, jej ciało wiedziało, jak wydawać na świat dzieci. Merell widziała w Internecie zdjęcie dziecięcej główki wychodzącej z czerwonej i zakrwawionej rany. Nie lubiła o tym myśleć, dobijała ją świadomość, że kiedyś była częścią ciała matki i wyszła na świat przez intymne miejsce pomiędzy jej nogami, sprawiając przy tym niewyobrażalny ból. Położyła dłoń na jej brzuchu i poczuła, jak unosi się on i opada wraz z oddechem.

„Niech to będzie chłopiec. Mamusia cię pokocha, jeśli będziesz chłopcem”.

NA PARTERZE bliźniaczki stały na straży przy Olivii leżącej na leżaku.

— Trzeba ją wykąpać — stwierdziła Valli.

Choć raz jej młodsza siostra mówiła z sensem. Merell żałowała nawet, że sama nie wpadła na ten pomysł. Trzymając

jedną rękę pod pośladkami niemowlęcia, a drugą na plecach, zaniósła siostrę do środka i ruszyła korytarzem na tył domu. Wewnątrz panował chłód, ale od Olivii biło wilgotne i klejące ciepło. Po zabawie bliźniaczek podczas mycia rąk w wannie pozostało około pięciu centymetrów wody, a podłoga wokół była cała zachlapana. Merell ściągnęła sandały i weszła do środka.

— Mamusia się zdenerwuje — powiedziała Valli. — Nie można wchodzić do wanny w ubraniu.

— Tak, mamusia się zdenerwuje. — Victoria oparła dłonie na biodrach.

Bliźniaczki paplały dalej, ale Merell zignorowała narastającą irytację i usiadła naprzeciwko kranu z Olivią między nogami. Odkręciła zimną wodę i powoli polewała dłonią główkę i ciało dziewczynki, aż w końcu zrobiła się cała mokra. Olivia wzdrygała się, czując na skórze zimną wodę, otworzyła szeroko oczy, a jej miotające powietrze rączki przypominały wiatraczek. Zaczęła też krzyczeć, ale Merell miała nadzieję, że to dobry znak.

— Będiesz miała kłopoty, Merell. Przez ciebie Libia płacze.

Na rogu wanny leżał czerwony plastikowy kubeczek. Merell napełniła go wodą i podała Olivii do picia.

— Ona jeszcze nie potrafi pić z kubka — stwierdziła Valli. — Woli butelki.

— Przynies jakąś.

Merell napełniła butelkę wodą z kranu i nałożyła smoczek, zakręcając mocno zakrętkę. Przyłożyła ją do spierzchniętych ust Olivii, która zachowywała się tak, jakby zapomniała, jak należy ssać.

Merell poczuła ukłucie w sercu.

DZIEWCZYNKI ODWRÓCIŁY SIĘ, słysząc dźwięk zatraskiwanych drzwi i odgłos kroków.

— Merell, gdzie jesteś? — zawołała ciocia Roxanne.

Victoria pobiegła do salonu, krzycząc:

— Merell zrobiła coś złego.

Najstarsza z sióstr westchnęła z ulgą, gdy ujrzała ciocię w progu łazienki.

— Przyjechałam tak szybko, jak mogłam.

Ciocia od razu wiedziała, co należy zrobić. Uklęknęła obok wanny, a bliźniaczki zawiesiły się na jej ramionach, ciągnąc ją za ręce. Zaczęły też opowiadać podnieconym głosem wersje dzisiejszych wydarzeń i obwiniać o wszystko starszą siostrę. Zwykle Merell zaczęłaby się bronić, ale czuła zbyt wielką ulgę i wdzięczność, aby przejmować się tym, co wygadywały bliźniaczki.

— Dziewczynki, uciszcie się. Merell, powiedz mi, co się stało.

Miała trudności z ubraniem swoich myśli w słowa, ale ciocia zdawała się ją rozumieć.

— Przede wszystkim musimy schłodzić naszą małą żabkę.

Celia wróciła z zakupów z bagażnikiem pełnym toreb. Ciocia Roxanne miała jej za złe, że zostawiła dziewczynki same, wiedząc, że Simone śpi. Gospośia próbowała się tłumaczyć, ale Roxanne stwierdziła, że nie ma czasu jej słuchać.

— Masz tutaj zostać i pilnować bliźniaczek, a gdy moja siostra się obudzi, powiesz jej, że pojechałyśmy na ostry dyżur.

W SZPITALU pielęgniarki i lekarze zrobili straszne zamieszanie wokół Olivii. W końcu Merell zrozumiała, że wszystko będzie dobrze, i ucisk w jej żołądku nieco zelżał, a zaciśnięte pięści się rozluźniły.

Olivia otrzymała płyny i opatrzone jej poparzenia słoneczne. Na tylnej części uda widniała ranka po ukąszeniu osy. Leżąc w odchylonym do tyłu foteliku samochodowym, który stał na leżance do badania, wyglądała spokojnie, a jej skóra przybrała różowy odcień. Merell myślała, że mogą już opuścić szpital, ale pielęgniarka kazała im poczekać na kolejnego lekarza. Gdy się zjawił, Merell zauważyła, że przyniósł ze sobą podkładkę do pisania. Nie była pewna, czy to prawdziwy lekarz, ponieważ jego biały kitel był nieskazitelnie czysty i wyprasowany. Jednak na identyfikatorze widniał napis: lek. med. Jerry Hamid. Zadał cioci Roxanne kilka pytań i uważnie przyglądał się jej twarzy, gdy udzielała odpowiedzi. Od czasu do czasu coś notował.

— Będę musiał spisać całe zdarzenie — wyjaśnił, wskazując na podkładkę do pisania. — To dziecko zaniedbano do tego stopnia...

Ciocia Roxanne przerwała mu, ale w uprzejmy sposób:

— Doktorze Hamid, nie próbuję zlekceważyć zdarzenia.

Wiem, że poparzenie słoneczne to poważna sprawa. Ale moja siostra jest w ciąży i nie czuje się zbyt dobrze. Ma czwórkę małych dzieci i zwykle ktoś jej pomaga, ale dzisiaj była sama. Wystawiła Olivię na dwór w — jak jej się wydawało — bezpiecznym miejscu, a potem... Zajęła się trójką pozostałych dzieci. Po prostu nie dała rady wszystkiemu sprostać. To wyjątkowy przypadek.

Doktor Hamid żuł końcówkę ołówka. Nauczyciele Merell mówili, że nie powinno się tak robić. Mężczyzna miał oczy w kolorze czekoladowego syropu i grube powieki. Nie mrugał, spoglądając to na Merell, to na jej ciotkę.

— Jak się pani o tym dowiedziała, pani Callahan?

— Moja siostra zadzwoniła do mnie, gdy byłam w pracy.

Kłamstwo wypowiedziane przez ciotkę wprowadziło Merell w zdumienie.

— A gdzie jest matka? — zapytał. — Dlaczego nie przyjechała z dzieckiem?

— Została w domu — odparła Roxanne. — Była w takim stanie, że nie nadawała się do prowadzenia samochodu, więc kazałam jej zostać z resztą dzieci...

— W jakim stanie?

— Jest zdenerwowana. To oczywiste. Kto by nie był?

— Została sama z dziećmi.

— Jest z nią gosposia.

— Dopiero co powiedziała pani, że siostra nie miała nikogo do pomocy.

— Bo rano nie miała.

Doktor Hamid zanotował coś.

— Proszę posłuchać, to ja podjęłam tę decyzję. — Ciocia Roxanne starała się, aby jej głos brzmiał przyjacielsko. — Pomyślałam po prostu, że będzie lepiej, jeśli zostanie w domu z

dziećmi.

Gdy ciocia wygłaszała kłamstwa, sprawiała wrażenie innej osoby. Dobrze, że doktor Hamid jej nie znał, w przeciwnym wypadku zorientowałby się, że ciocia nie mówi całej prawdy.

— Tatuś jest w Las Vegas — wtrąciła Merell.

— W interesach — dodała Roxanne.

— Rozumiem. — Lekarz postukiwał ołówkiem o skrzydełko nosa.

Merell widziała, że martwi się o Olivię.

— Za kilka dni chciałbym jeszcze raz zbadać dziewczynkę. I proszę, aby była z nią matka. — Wyciągnął telefon z kieszeni i zaczął poruszać palcami po klawiaturze jeszcze szybciej niż tatuś. — Zapisałem właśnie notatkę w kalendarzu. Jeśli do przyszłego poniedziałku nie przyjdzie do mnie pani siostra z Olivią, zgłoszę zdarzenie w opiece społecznej.

— CO TO JEST opieka społeczna? — zapytała Merell w samochodzie.

Roxanne poprawiła wsteczne lusterko.

— To taki urząd, który opiekuje się dziećmi.

— I przekazuje je rodzinom zastępczym?

— Między innymi.

— A czym jeszcze oni się zajmują?

Merell wiedziała, że ciotka nie chce odpowiadać na pytania, ale i tak zapytała ponownie:

— Czym jeszcze oni się zajmują?

— Nie wiem, Merell. — Ciocia Roxanne zapaliła silnik samochodu, wycofała z miejsca parkingowego, a następnie wyjechała na drogę Torrey Pines. Po prawej stronie między drzewami Merell dostrzegła poziomą linię oceanu; w porównaniu z błękitem nieba woda miała nieco ciemniejszy odcień. — Podejrzewam, że zajmują się też ochroną praw dziecka. Znęcaniem się. Zaniedbaniem.

— Będę miała kłopoty?

Roxanne na chwilę oderwała wzrok od drogi.

— Nie zrobiłaś nic złego.

— A mamusia? Czy ona będzie miała problemy?

— Za kilka dni zaprowadzi Olivię do szpitala i wszystko będzie dobrze.

Merell zaczęła się zastanawiać, jak to zorganizować. Ona będzie w szkole, a skoro Franny została zwolniona, nie będzie miał kto zająć się bliźniaczkami.

— Czy twoim zdaniem Olivia została zaniedbana? —
Ostatnie słowo miało ciężkie brzmienie, Merell użyła go po raz pierwszy.

Ciocia Roxanne zjechała z głównej drogi w boczną uliczkę. Zaparkowała samochód i zgasiła silnik.

— Co się dzieje? Dlaczego tutaj stoimy?

Ciocia Roxanne westchnęła przeciągle i na chwilę zamknęła oczy.

— Tak. Uważam, że została zaniedbana.

— Powinnam była wprowadzić ją do domu, prawda?

— Nie jesteś niczemu winna. To nie ty dopuściłaś się zaniedbania. Zachowałaś się bardzo odpowiedzialnie, a to świadczy o twojej ogromnej inteligencji i sile. Ale mimo wszystko jesteś małą dziewczynką i zajmowanie się siostrami nie powinno należeć do twoich obowiązków.

— Powiedziałaś lekarzowi, że mamusia jest zdenerwowana, ale przecież to nieprawda. Ona śpi. Nie wspomniałaś lekarzowi o tabletkach na „x”.

Ciocia Roxanne zaczęła stukać pięścią o kierownicę.

— Skłamałaś.

— To skomplikowane.

Merell nie spodobała się ta odpowiedź.

Nie chciała, aby ciocia Roxanne zachowywała się tak jak pozostali dorośli w jej życiu, którzy nie mówili prawdy lub znajdowali nic nieznaczące wymówki. Pragnęła się dowiedzieć, dlaczego ciocia Roxanne nie powiedziała doktorowi Hamidowi całej prawdy i dlaczego dzieciom nie wolno kłamać, skoro dorośli robią to nieustannie. Rozważanie tych pytań sprawiało jej niemal ból, niewiedza ją irytowała. Żałowała, że nie potrafi wyłączyć

umysłu jak telewizora lub nacisnąć guziczka z podwójnymi strzałkami, aby powtarzać dobre chwile i przewijać do przodu te złe. Chciała wrócić do czasu, gdy była w wieku bliźniaczek, gdy robiła, co jej kazano, bez względu na to, czy zasady te miały sens czy nie. Kiedy miała tyle lat co one, myślała, że wie, co to uczciwość. Bardzo starała się unikać kłamstwa, nawet w sytuacjach, gdy prawda oznaczała kłopoty — uderzenie sióstr lub wyjedzenie ich słodyczy zebranych podczas Halloween. Tatuś mówił, że jej ufa, ponieważ zawsze była szczerą. Teraz już wiedziała, że ludzie kłamią nieustannie, kiedy tylko przyjdzie im na to ochota. Czowała się oszukana.

Wyjrzała przez okno samochodu na ulicę, której nigdy nie widziała. I zaczęła się zastanawiać, jakby to było żyć samotnie w mieście, w którym każda ulica byłaby równie nieznajoma jak ta, w którym domy pozbawione byłyby numerów, ulice drogowskazów, a na chodnikach nie byłoby pomocnych ludzi gotowych wskazać drogę. We wnętrzu każdego budynku kryło się coś niebezpiecznego, wstrzymywało oddech w oczekiwaniu na odpowiedni moment, aby wyskoczyć. Życie przypominało właśnie takie miasteczko. Żadnych nazw ulic ani numerów, żadnej mapy lub przewodnika, nigdzie nie można się było czuć pewnie i całkowicie bezpiecznie.

Ciocia Roxanne złapała ręce Merell i pocałowała jej dłonie. To było dziwne uczucie, osobliwe i gilgoczące.

— Czasami, Merell, lepiej nie wspominać o szczegółach, gdy odpowiadamy na pytania. Czasami szczegóły zaciemniają prawdę.

Merell spojrzała przez przednią szybę na spokojną ulicę przedmieścia. Nie było na niej żywego ducha, nawet kota wędrującego po krawędzi muru. Otarła łzę z policzka i zaczęła się zastanawiać, czy ludzie mieszkający w dużych domach bez numerów, z których wyglądały puste szerokie okna, żałują, że nie mieszkają gdzieś indziej, z dala od tego miejsca.

— Gdybyśmy opowiedziały lekarzowi ze szczegółami o tym, co się dzisiaj wydarzyło — kontynuowała ciocia Roxanne — trwałoby to bardzo długo. Pewnie w końcu by nas zrozumiał, ale

doktor Hamid nie ma czasu na wysłuchiwanie całej historii ze wszystkimi szczegółami, więc mógłby nie słuchać uważnie. Istnieje też ryzyko, że nie zrozumiałby, że twoja mama stara się jak może, lecz mimo to jest jej ciężko. Wszyscy się staramy, aby było lepiej. Dlatego łatwiej jest pominąć pewne szczegóły. — Ciocia wyglądała, jakby miała skurcz żołądka. — Łatwiej i bezpieczniej.

Merell zamyśliła się na chwilę, rozważając dokładnie słowa cioci Roxanne. A więc tak wyglądała prawda. Kłamstwo nie było ani dobrą, ani złą rzeczą. Czasami było po prostu łatwiejsze i bezpieczniejsze.

ROZDZIAŁ 14

Simone, musimy porozmawiać. — Roxanne zamknęła za sobą drzwi do sypialni i podeszła do łóżka, na którym siedziała siostra. Na jej twarzy pojawił się rumieniec, a policzki były mokre od łez. — Olivia czuje się dobrze, ale do następnego poniedziałku będziesz musiała się pokazać w izbie przyjęć. W przeciwnym wypadku złożą raport. — Usiadła na brzegu łóżka. — Jeśli do tego dojdzie, zostanie wszczęte dochodzenie.

— Pojedziesz ze mną?

— Johnny będzie ci towarzyszył.

— Nie. On musi pracować. Poza tym nie chcę... Ja nie... — Powstrzymała szloch. — Nie mogę mu powiedzieć, co się stało. Jeśli to zrobię... — Zasłoniła twarz. — Musisz mi pomóc, Rox. Przysięgam na życie moich dzieci, nigdy więcej o nic cię nie poproszę.

Jej obietnice nic nie znaczyły. Za tydzień lub nawet nazajutrz nie będzie pamiętała, że je złożyła.

— On chce separacji. Dostanę własny dom, a Alicia zamieszka z nimi i zajmie się dziewczynkami.

— Jestem pewna, że nie mówił poważnie, Simone. — Roxanne czuła się dziwnie zdystansowana wobec siostry; martwiła się o nią, ale jednocześnie zachowywała spokój. Wiedziała, że właśnie tak powinna wyglądać ich relacja. — Johnny jest zmęczony i czuje na sobie ogromną presję.

— Nigdy nie powinnam mieć dzieci.

— Przestań się nad sobą użalać.

— Byłoby lepiej, gdyby nigdy się nie urodziły.

— Wstań z łóżka, ubierz się i zjedź na dół. Nie musisz nic robić. Usiądź w salonie i tylko pilnuj, aby nie doszło do śmiertelnego wypadku. Tyle potrafisz zrobić. Celia przygotuje dla ciebie obiad.

— Nienawidzę jej potraw.

— Przykro mi. Będziesz musiała coś w siebie wmusić.
— Dlaczego jesteś taka złośliwa?
— Jestem tylko realistką i chciałabym, abyś w ten sam sposób spojrzała na świat.

Roxanne miała wybór: mogła siedzieć na łóżku i trzymać Simone za rękę, a w poniedziałek wziąć dzień urlopu i zawieźć Simone oraz Olivię na izbę przyjęć, aby pokazać się doktorowi Hamidowi. Mogła do końca życia chronić Simone przed konsekwencjami jej czynów. Nie. Nie ma mowy.

— Zadzwoiłam do Johnny'ego. Nadal jest w Nevadzie, ale wróci do domu przed ósmą.

— Nie chcę go widzieć.

Roxanne nie zamierzała dać się wciągnąć w tę rozmowę.

— Merell musi mieć mundurek szkolny. Zabieram ją do Macy's i się tym zajmę.

— Co jest ze mną nie tak? Dlaczego już mnie nie kocha...?

— Ależ on cię kocha. Tu nie chodzi o miłość.

— Chciałam tylko zrobić babeczki...

Roxanne przypomniała sobie swoją opiekunkę panią Edison, która nauczyła ją czytać za pomocą książki kucharskiej Fannie Farmer. Wtedy myślała, że Bakersfield oznaczało pole pełne piekarzy¹. Przypomniała sobie też podróż na północ autostradą numer dziewięćdziesiąt dziewięć. Miała wówczas pięć lat i nie wiedziała, dokąd jedzie i dlaczego. Wydawało się jej, że to było wczoraj; poczuła przypływ intensywnych emocji, jakie towarzyszyły jej w okresie dzieciństwa: tęskniła za dorosłością, była świadoma, że jest na nią skazana, ale jednocześnie nie mogła uwierzyć, że to kiedyś nastąpi. Rzeczywiście dorosła i tak samo będzie w przypadku Merell i bliźniaczek. Wyjątek stanowiła Simone. Tylko ona się nie zmieniła, pozostała dziewczynką zamkniętą w pięknym ciele kobiety.

— Zadzwonię do Franny — powiedziała Simone. — Przepraszę ją, a ona na pewno wróci.

— Już próbowałam dzwonić pod numer, który zostawiła. Wyjechała.

— Dokąd?

Może miała czekać, aż znowu ktoś ją obrazi?

— Po kupieniu mundurka pójdziemy z Merell na obiad.

— Nie powiesz Johnny'emu? Pojedziemy razem do lekarza?

— Wrócę z Merell i poczekam z tobą do powrotu

Johnny'ego.

Simone złapała pukiel włosów, zawinęła go wokół palca wskazującego i skręciła.

— Zostanę z tobą i będziesz mogła wytłumaczyć, co się stało — dodała Roxanne. — Wtedy wspólnie z mężem uzgodnicie, co należy dalej zrobić.

— Nie.

Roxanne położyła dłoń na dłoni Simone i delikatnie wysunęła jej palce z włosów, pozwalając, aby zwinięte pukle się rozprostowały.

— Będę z tobą — zapewniła siostrę. — Ale musisz mi powiedzieć o wszystkim, co się dzisiaj wydarzyło, a wtedy ustalicie, jak wyjaśnić sprawę z doktorem Hamidem.

* * *

SIMONE LEŻAŁA NA ŁÓŻKU, na wpół sparaliżowana ze strachu.

„Alicia.

Nowe ustalenia.

Separacja”.

Ile razy marzyła o tym, aby obudzić się w domu, w którym nie słyszałyby nieustannych żądań dzieci? Teraz zrozumiała, że gdyby nie idiotyczna paplanina bliźniaczek, płacz Olivii czy też przemądrzałe uwagi Merell, jej życie byłoby koszmarem, ponieważ właśnie całe to zamieszanie nadawało mu sens. Po co więc bez niego żyć? Czym miałyby się zająć sama w domu? Nagle zapragnęła wziąć dziewczynki do swojego łóżka, zamknąć drzwi i przytulić je tak mocno, żeby nie mogły nawet powiedzieć słowa. Leżałyby sobie razem do powrotu Johnny'ego i gdy on zobaczyłby, jak słodko i spokojnie razem wyglądają, pożałowałby wygłaszania pogroźek.

ZANIM POZNAŁA JOHNNY'EGO, zaskarbiła sobie miłość Shawna Huttona.

To dziwne, że po tylu latach ni stąd, ni zowąd przypominała sobie o nim w zeszłym miesiącu. Podobnie jak o żeglowaniu. Teraz nie mogła przestać myśleć ani o jednym, ani o drugim. Nawet gdy skupiała się na innych sprawach, oba te wspomnienia wyczekiwały w pobliżu, aż poświęci im uwagę. Może nigdy o nich nie zapomniała, ale była zbyt zajęta dziećmi i Johnnym, aby je zauważyć.

Zamknęła oczy i zobaczyła Shawna w wieku siedemnastu lat. Duże zęby, oczy koloru turkusowej wody, nieustannie różowy i łuszczący się nos. Wyglądał śmiesznie, ale jednocześnie słodko. Poza tym zawsze był dla niej miły. Gdy uczył ją wiązać węzeł ratowniczy, okazał jej wiele cierpliwości, powtarzając wszystkie czynności raz za razem, aż w końcu sama potrafiła to zrobić. A gdy następnego dnia okazało się, że nic nie pamięta, bez sprzeciwu zaczął naukę od początku. Był najmiłszą osobą, jaką kiedykolwiek знаła. Nie przypominał ostrego i niecierpliwego Johnny'ego.

Tamtego lata Simone i Shawn często zakradali się pod pokład „Wilgi”, by kochać się na podwójnej koi należącej do jego rodziców. Pościel nigdy nie była zupełnie sucha i Simone wyczuwała lekki odór wodorostów, zapach typowy dla żęzy², ale jej to nie przeszkadzało. Pewnej nocy Shawn powiedział: „Moi rodzice obdarliby mnie ze skóry, gdyby się o tym dowiedzieli”. Słyszając te słowa, Simone wybuchnęła niepohamowanym śmiechem. Shawn próbował ją złapać, gdy wybiegła na pokład. Chwycił ją i dłonią zakrył usta, tak aby nie pobudziła ludzi, którzy mieszkali na łodziach przycumowanych po obu stronach „Wilgi”. Kochali się wtedy po raz drugi. Później Shawn odwiózł ją do domu. Simone zakradła się do swojego pokoju, przespała się kilka godzin i o siódmej wsiadła ponownie do samochodu Shawna. Pojechali nad wodę, gdzie spędzili cały dzień z jego rodzicami oraz ich przyjaciółmi. Tak jak Johnny pragnął splodzić syna, a Roxanne uczyć, tak bardzo Simone i Shawn marzyli o wspólnym żeglowaniu.

Po wypadku Ellen i BJ doszli do wniosku, że raz na zawsze powinna wybić sobie z głowy żeglowanie. Myśleli, że sunięcie po wodzie oraz towarzyszące mu uczucie wolności można zapomnieć tak łatwo jak plan lekcji. Nieustannie powtarzali jej jednak, że nie powinna nawet o tym myśleć, więc nie myślała. Nie wiedziała wówczas tego, co wie teraz. Nie wiedziała, że gdy coś jest dla ciebie stworzone, trzeba zrobić wszystko, aby z tego nie rezygnować.

Oddała się sennym marzeniom, gdzie słony smak, Shawn, seks i morze mieszały się ze sobą. Śniła, że leci, a po kilku chwilach obudziła się z cudownym pomysłem w głowie.

* * *

W SPECJALNIE wydzielonej części działu dla dziewcząt w Modowej Dolinie domu towarowego Macy's wisiał szeroki wybór mundurków szkolnych, pod różnymi herbami i flagami szkół. W późne piątkowe popołudnie sklep był pełen podekscytowanych dziewcząt przybyłych w towarzystwie mam. Wśród nich chodziło kilka zblazowanych starszych uczennic, które same robiły zakupy, z telefonem komórkowym przyklejonym do ucha. Roxanne kupiła dla Merell spódnice i bluzki oraz, co najważniejsze, krótki czekoladowo-brązowy blezer ze złotym wyszywanym herbem Arcadii, który odróżniał uczniów ze starszych klas od „dzieciaków” z nauczania wczesnoszkolnego. Po zakupowym szaleństwie Merell drżała z podekscytowania i ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała, był cukier. Mimo to Roxanne zabrała ją do kawiarni Wielki Zły Kot w Hillcrest i nie odezwała się ani słowem, gdy dziewczynka zamówiła czekoladowy koktajl mleczny oraz talerz frytek oblanych stopionym serem w kolorze halloweenowej dyni.

Merell miała za sobą naprawdę ciężki dzień. Zaslugiwała, aby zjeść to, na co przyszła jej ochota. Przy stolikach obok tłoczyli się dorośli i dzieci. Patrząc na nich, można było odnieść wrażenie, że wszyscy mówią równocześnie i próbują przekrzyczeć rockandrollowe piosenki z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, które puszczał DJ siedzący w szklanej kabinie zawieszanej nad

jadalnią.

— Czy w czwartej klasie przyjaźniłaś się z kimś? — zapytała Merell. — W tym roku znajdę sobie najlepszą przyjaciółkę. Chcę zapytać mamusię, czy będę mogła zorganizować w naszym domu przyjęcie z noclegiem. — Zamieszała koktajl słomką. — Myślisz, że mi pozwoli?

Roxanne mogła założyć się o swoją pensję, że odpowiedź będzie odmowna. Podejrzewała też, że Merell zdawała sobie z tego sprawę. Próbowwała wyobrazić sobie, jakie zmiany zajdą przez najbliższe kilka tygodni i miesięcy w życiu rodziny Duranów, ale nie potrafiła przewidzieć reakcji Johnny'ego na wiadomość o wizycie Olivii w izbie przyjęć. Zastanawiała się, czy Simone mówiła o separacji i Alicii, ponieważ miała ku temu podstawy, czy może wszystko wymyśliła, a potem przekonała siebie, że to prawda. Tak czy inaczej, takie myśli mogły poważnie namącić jej w głowie.

Roxanne oparła dłoń na kolanie i dyskretnie zerknęła na zegarek. Nie chciała, aby siostrzenica się zorientowała, że spędziły zbyt dużo czasu poza domem.

Merell odsunęła od siebie koktajl mleczny.

— Tatuś wpadnie w szal, kiedy się dowie o Olivii. Już wczoraj po powrocie z tamtej kolacji strasznie się pokłócili. Tatuś wykrzyczał wiele przykrych rzeczy. — Merell układała frytki, jakby budowała chatkę z bali. — Powiedział, że mamusia jest do niczego, a mamusia płakała i powtarzała: „nie, nie, nie”. Tatuś zezłości się, gdy usłyszy, że mamusia poszła spać i zostawiła Oliwię na dworze. Może mnie też zacznie obwiniać. — Dziewczynka uniosła wzrok znad swojej budowli i dodała: — Tatuś nazwał ją głupią zdzirą, a potem mamusia rozplakała się jeszcze bardziej.

Roxanne odchyliła się do tyłu. Jej zdolność mówienia, wszystkie słowa, jakie знаła, gdzieś zniknęły. Chwyciła kurczowo serwetkę leżącą na kolanach, jakby dzięki temu mogła zachować pionową pozycję na krześle.

— Jak udało ci się to usłyszeć?

Merell spuściła wzrok, a następnie spojrzała na drugi koniec sali, gdzie iluzjonista zabawiał siedzące przy stoliku małe dziewczynki w brokatowych czapeczkach urodzinowych.

— Merell?

— Widziałaś szafę z drewna cedrowego stojącą w holu? Przechowujemy w niej koce i pościel.

Szafa na pościel znajdowała się tuż obok sypialni Johnny’ego i Simone. Półki wykonano z grubo ciosanych desek cedrowych, więc w środku pachniało tak jak latem w górach.

— Gdy wejdę do niej i przysunę się do pleców szafy, słyszę, o czym rozmawiają.

— Musisz przestać. Podśluchałaś prywatną rozmowę pomiędzy dwoma dorosłymi osobami. Ludzie mają prawo do prywatności, nawet mama i tato.

Iluzjonista wyciągnął sznur pastelowych apaszek zza szyi jednej z zaproszonych dziewczynek. Jej przeraźliwy krzyk sprawił, że wszyscy w pomieszczeniu odwrócili się w tamtym kierunku, aby sprawdzić, co się stało.

— Słabe — zawyrokowała Merell. — Przecież on wyciąga je z rękawa.

— Posłuchaj mnie — powiedziała Roxanne, pochylając się nad stołem. — Wiem, że w twoim domu dzieją się dziwne rzeczy. Pewnie myślisz, że jeśli będziesz podśluchiwać rozmowy rodziców, zrozumiesz w końcu, co się dzieje. Ale to nie działa w ten sposób. Dorośli czasami mówią do siebie okropne rzeczy, ale w rzeczywistości myślą inaczej.

Może tak właśnie było podczas rozmowy o Alicii i separacji. Może Johnny nie mówił poważnie.

— Jeśli będziesz próbowała zrozumieć, o czym rozmawiają ludzie podczas kłótni, w twojej głowie pojawi się jeszcze większy mętlik i popsujesz sobie humor — stwierdziła Roxanne z przekonaniem. — Chcę, abyś obiecała, że skończysz z podśluchiwaniami.

Merell milczała. Uniosła wzrok znad sterty frytek.

— Ona robi złe rzeczy.

— Kto?

— Mamusia.

Roxanne wzięła jedną z frytek Merell, zanurzyła ją w roztopionym serze, a potem ugryzła. Przypominało to jedzenie tektury zanurzonej w słonym płynnym plastiku.

— Czy tego dotyczy sekret, o którym mówiłaś? Chodzi o złe rzeczy, które robi mama?

Merell pokiwała głową.

— Kto jeszcze zna ten sekret, Merell?

— Mamusia, babcia i niania Franny. Bliźniaczki też, tylko one o tym nie wiedzą. No i Olivia, ale ona nie potrafi mówić.

Merell zaczęła zataczać okręgi szklanką z koktajlem, powiększając tym samym mokrą plamę, która powstała pod jej dnem. Roxanne westchnęła przeciągle i czekała na wyjaśnienia siostrzenicy.

— Czekaliśmy na powrót tatusia z pracy. Było gorąco, więc usiadłyśmy nad basenem. Mamusia nie chciała iść, ale babcia jej kazała. Powiedziała, że kąpiel dobrze jej zrobi, na co mamusia odpowiedziała, że nienawidzi wody i że nic nigdy nie poprawi jej samopoczucia. Babcia stwierdziła wtedy, że mama jest nędzną namiastką kobiety.

Merell rozejrzała się pospiesznie po sali, jakby spodziewała się, że iluzjonista przerwie wykonywanie sztuczek, a dzieci i dorośli zgromadzeni w kawiarni pochylą się ku niej, aby podsłuchać, o czym mówi.

— Mamusia się rozplakała i babcia Ellen powiedziała, żeby przestała dramatyzować. Mamusia odpowiedziała, że chce się zabić, a babcia na to, że jeśli tak bardzo tego pragnie, może utopić się w basenie. Nikt jej nie powstrzymuje. — Merell zamilkła na chwilę, jakby w myślach rozważała słowa babci. — Wydaje mi się, że nie mówiła poważnie. Chyba zachowywała się złośliwie i jednocześnie próbowała zażartować.

— Była sarkastyczna.

— No właśnie. — Dziewczynka upiła łyk koktajlu mlecznego. — Siedziały przy basenie. Babcia Ellen piła wino i

mamusia też sobie naląła. Na to Franny powiedziała, że nie powinna tego robić, bo ma dzidziusia w brzuchu, ale mamusia odpowiedziała Franny, żeby się zamknęła, bo nie należy do rodziny.

— A gdzie ty wtedy byłaś?

— Na schodach. Bliźniaczki pływały w brodziku w nadmuchiwanym kółkach.

— Dlaczego nie byłaś w wodzie?

— Próbowałam czytać książkę.

Merell zgarbiła się, pociągnęła nosem i szybko zamrugnęła.

Roxanne nie zdawała sobie wcześniej sprawy, jak dużo godności ma w sobie dziecko, jak ogromna duma podtrzymuje to małe ciało.

— Zdradź mi swoją tajemnicę, Merell.

— Olivia zaczęła płakać, a mamusia nosiła ją na rękach i klepała po plecach. Chciała, aby jej się odbiło, ponieważ czasami to pomagało. Tylko że tym razem Olivii ułało się na mamę. Ona nie jest złym dzieckiem. Jest dobrą dziewczynką, ale nie potrafi kontrolować ulewania i płaczu, ponieważ cierpi. To nie jej wina. — Merell na chwilę zamilkła, a potem tajemnica, którą skrywała, wylała się z niej, jakby jej słowa uciekały przed jakimś koszmarem. — Mamusia krzyknęła na nią: „Zamknij się, zamknij się”, a następnie wrzuciła ją do basenu. Widziałam, jak od razu poszła na dno. Na szczęście Franny wskoczyła do wody i ją wyciągnęła.

Roxanne była zdumiona, ale o dziwo, nie zaskoczyło jej to, co usłyszała od Merell. Oficjalna wersja wydarzeń, które rozegrały się tamtego dnia, nigdy jej nie przekonywała. Jednak z powodu wielu zmartwień nie dostrzegła podstawowej kwestii — Simone nigdy nie zabrałaby Olivii do basenu, ponieważ nienawidziła wody. A skoro Roxanne na to wpadła, Johnny też o tym wiedział, ale podobnie jak ona wybrał najłatwiejsze wyjaśnienie. Świadomie postanowili przymknąć oko na prawdę, zdecydowali, że nie będą widzieć tego, co mają tuż przed oczami.

— Franny była naprawdę wściekła i wrzeszczała na

mamusię. Babcia Ellen cały czas powtarzała, żeby się uspokoiła i pozwoliła jej pomyśleć. Powiedziała, że da Franny pięć tysięcy dolarów, jeśli zapomni, co widziała.

Nieoceniona Franny przyjęła łapówkę. A teraz zniknęła.

— Ale wiesz co? — kontynuowała dziewczynka. — Franny nawet nie patrzyła w stronę basenu. Leżała na brzuchu i czytała czasopismo. Odwróciła się dopiero wtedy, gdy wszyscy zaczęli krzyżeć.

— Ale ty wszystko widziałaś?

— Mamusia chciała utopić Olivię. Dlatego zadzwoniłam na policję.

* * *

SIMONE ODESŁAŁA Celię do domu, wręczając jej dwa pięćdziesięciodolarowe banknoty.

— Teraz już wszystko w porządku — powiedziała zadowolona z własnej hojności. — Poradzę sobie. Do zobaczenia jutro z samego rana.

Posadziła Olivię w jej krzeselku i położyła przed nią na tacy stertę jaskrawopomarańczowych krakersów serowych oraz kubek niekapek z sokiem winogronowym. Olivia złapała garść krakersów i wepchnęła je sobie do buzi.

Simone przygotowała kolację w formie pikniku. Bliźniaczki obserwowały mamę, jak pakowała do lodówki turystycznej paczkę chipsów ziemniaczanych, ser żółty w paskach oraz pomarańcze przekrojone na cztery.

— Dokąd jedziemy? — zapytała Valli.

— Jedziemy obejrzeć łódki.

Jeśli Shawn pracował w sklepie ze sprzętem żeglarskim, może zaproponuje im wieczorny rejs żaglówką. Simone chętnie znowu obejrzałaby zachód słońca na wodzie, ale postanowiła, że nie będzie niepotrzebnie robić sobie nadziei. Chciała po prostu zapytać pracownika sklepu, gdzie może się zapisać na kurs żeglarski. Zapłaci z góry za dziesięć lekcji, a może nawet za dwadzieścia. Poklepała kieszeń spodni, aby się upewnić, że karta kredytowa jest na swoim miejscu.

„Gdybyś tylko się czymś zajęła.
Gdybyś tylko nie była taka bezradna”.

Musi się umówić na lekcje i wrócić z przystani Shelter Island, zanim Johnny przyjedzie z pracy i dojdzie do rozmowy. Wiedziała, że na początku nie będzie zadowolony. Stwierdzi, że ze względów bezpieczeństwa ciężarne kobiety nie powinny żeglować. Pewnie będzie się śmiał i powie, że Simone nie potrafi nawet rzucać piłką, więc skąd pewność, że uda jej się wybrać czy utrzymać kurs? Będzie zaskoczony, gdy powie mu, że po ponad dziesięciu latach nadal potrafi zawiązać węzeł ratowniczy.

A może w ogóle się tym nie przejmie. Gdy usłyszy, co przydarzyło się dzisiaj Olivii, wpadnie we wściekłość. Wspomnienie dzisiejszego dnia niczym piach unoszący się z dna morza wywołało zamęt w umyśle Simone i zajęło tyle miejsca, że z trudem pamiętała o radosnych chwilach, takich jak żeglowanie. Albo pieczenie babeczek. Jeszcze rano planowała zająć się wypiekami, a teraz... Może Roxanne wyjaśni Johnny'emu, co się przydarzyło Olivii. Simone będzie słuchała i kiwała głową, nie będzie próbowała się usprawiedliwiać. Johnny obrzuci ją wyzwiskami, zacznie potrząsać nią, trzymając za ramiona, aż będzie musiała mocno zacisnąć powieki, aby gałki oczne nie wypadły jej z głowy. Roxanne będzie próbowała go powstrzymać, ale on ją odepchnie. Po chwili Johnny się uspokoi, powie, że ją kocha, i przeprosi za swój wybuch. A potem będzie szczęśliwy, gdy usłyszy, że zapisała się na kurs żeglarski. Rozgrywająca się w głowie Simone rozmowa przypominała nagrany dialog. A potem rozpoczynała się kolejna rozmowa, podczas której Johnny nieustannie powtarzał, że prawie zabiła ich dziecko, że miał jej już dosyć. Nie chciał już syna, a na pewno nie z jej łona. Była bezradna, głupia, już jej nie chciał.

Równie dobrze Johnny mógł stanąć tuż obok niej, gderać nad nią jak mewa skubiąca kawałek chleba, powtarzać te same okrutne rzeczy w nieskończoność, aż w końcu dojdzie do wniosku, że woli umrzeć, niż tego słuchać.

VALLI POCIĄGNĘŁA za nogawkę szortów Simone. Kiedy

Olivia zaczęła płakać? Jeśli się nie pośpieszą, Shawn zamknie sklep i pojedzie do domu. I przegapią zachód słońca.

— Dalej, dalej.

— A co z Libią?

— Wrócę po nią.

Bliźniaczki wyglądały prześlicznie w dużych słomkowych kapeluszach i japonkach ozdobionych plastikowymi kwiatkami w jaskrawych kolorach. Simone zapomniała o rozmowie z Johnnym i zaczęła nucić:

— *Żegluj, żegluj, po otwartym morzu*³.

W garażu stanęła na podeście i spojrzała na należące do niej dwa czarne samochody. Czowała się, jakby miała wybierać pomiędzy błotem a brudem. Perspektywa podróży w jednym z tych aut sprawiła, że jej nastrój ponownie się pogorszył. Dlaczego Johnny zamówił oba samochody w czarnym kolorze? Gdyby zapytał ją o zdanie, powiedziała mu, że chce jeździć wesołym samochodem. W kolorze żółtym. Wilgą.

Przypomniała sobie zabytkowe camaro. Żółty Ptak był idealny. Popędzą nim do przystani i wsiądą na innego żółtego ptaka, by pofruwać po falach. Zachowa się odpowiedzialnie i nie zapomni o założeniu dziewczynkom kamizelek ratunkowych.

Otworzyła drzwi do garażu z zabytkowymi autami kluczem, który ściągnęła z haczyka, pamiętając, aby odłożyć go na miejsce. Wiedziała, że Johnny będzie z niej dumny, gdy zobaczy, że zachowywała się właściwie.

— Libia płacze — powiedziała Victoria, spoglądając do tyłu w kierunku kuchni.

— Wiem, wiem. Najpierw was usadzę w samochodzie. — Roześmiała się, aby bliźniaczki widziały, jaka jest szczęśliwa i podeksycytowana.

Może rodzice Shawna też będą w sklepie. Ucieszą się na jej widok i będą zaskoczeni, widząc, że ma bliźniaczki.

Wyobraziła sobie, jak zapraszają ją na łódź:

— Wejdź na pokład „Wilgi”. Czuj się jak u siebie w domu.

Otworzyła camaro i sprawdziła, czy kluczyk jest w stacyjce.

Odsunęła fotel kierowcy.

— Wskakujcie, marynarze.

Bliźniaczki usiadły na tylnym siedzeniu, a między nimi piętrzyły się wiaderka, łopatki i ręczniki.

— Nie ma naszych fotelików.

— W camaro ich nie potrzebujecie.

— A gdzie mój kapelusz? — Victoria położyła obie ręczki na głowie i zaczęła płakać. — Chcę mój kapelusz.

Zniknął gdzieś w drodze pomiędzy kuchnią a camaro.

— Kapelusz nie jest ważny.

— Chcę mój kapelusz. — Victoria zaczęła kopać oparcie przedniego fotela. — Poparzę się na słońcu tak jak Libia.

— A gdzie pas bezpieczeństwa? — zapytała głośno Valli, aby przekrzyczeć wrzaski Victorii. — Nie mogę znaleźć pasa.

Po minucie poszukiwań Simone zdała sobie sprawę, że stare camaro nie miały pasów na tylnych siedzeniach.

— Chcę jechać vanem — stwierdziła nadąsana Valli.

— Nie podoba mi się ten samochód.

Zarówno mercedes, jak i porsche cayenne miały trzy wbudowane foteliki dziecięce, dla każdej z dziewczynek.

Simone zrozumiała, że choć jeszcze kilka minut wcześniej wycieczka na przystań wydawała się prostym przedsięwzięciem, teraz stała się równie skomplikowana jak przygotowanie babeczek. Świadomość ta sprawiła, że poczerwieniała na twarzy. Wiedziała, że nie przeżyje kolejnej porażki. Może i camaro to nie był bezpieczny samochód, ale doszła do wniosku, że jeżeli ma prowadzić jedno z czarnych aut, woli w ogóle nie jechać. Lecz jeśli zrezygnuje ze swoich planów... Nie potrafiła pogodzić się z tą myślą.

— Jedziemy na przystań tym samochodem.

— Dlaczego jesteś wściekła, mamusiu?

— Nie jestem wściekła.

— Mówisz, jakbyś była.

— Boli mnie głowa.

Drzewo płonęło i oplotło gałęziami jej głowę, chwytając i

ściskając gałki oczne.

— A co z pasami?

— Jedziemy tylko na Shelter Island. Nie potrzebujecie pasów.

— Super! — krzyknęła Victoria, zapominając o zgubionym kapeluszu. Niestety mocno uderzyła głową w szybę.

Simone patrzyła na płaczącą córkę i do głowy przyszło jej jedno słowo. „Głupia”. To samo powiedział o Simone Johnny. A może to sobie wymyśliła? Może usłyszała od kogoś innego?

— Jedziemy, jedziemy — wołały dziewczynki chórem.

Simone postanowiła wrócić po Olivię, ale zawahała się przy drzwiach łączących oba garaże. Doszła do wniosku, że wyprawa na przystań będzie dużo łatwiejsza, jeśli nie będzie musiała ciągnąć ze sobą niemowlęcia. Olivia siedziała przypięta w krzeselku do karmienia i nie mogła z niego wypaść. Może powinna ją tam zostawić? Przecież Roxanne i Merell zajmą się nią, jeśli wrócą przed jej powrotem. Siostra nie powie o tym Johnny’emu. Ale on i tak pewnie się dowie. Bliźniaczki mogą mu powiedzieć.

Gdy dotarła do kuchni, zatrzymała się na widok płaczącej córki, obróconej w krzeselku niemal przodem do tyłu. Jej purpurowa twarz upstrzona była rozmoczonymi okruszkami krakersów serowych. Simone wpatrywała się w niemowlę; czuła, jak jej drżące dłonie zacisnęły się na udach. Nie mogła zrobić kroku. Czas mijał.

Valli przybiegła z garażu.

— Kiedy jedziemy? Chcę już jechać.

Simone znowu straciła poczucie czasu. Gdzie on uciekał?

— Mamusiu, jadłyśmy już lunch? — zapytała Valli.

Simone nie mogła sobie przypomnieć, gdzie była w porze lunchu.

— Brzuszek mnie boli — powiedziała Victoria i pociągnęła nosem. Była bliska kolejnego wybuchu płaczu.

— Wracajcie do samochodu. Zaraz dam wam ser w paskach.

— Nie lubię...

— Możesz go zjeść albo umrzeć z głodu.

Bliźniaczki puściły się biegiem. Za zamkniętymi powiekami Simone widziała wirujące galaktyki pełne przyprawiających o zawrót głowy możliwości. Spojrzała na swoje dłonie i kazała im się uspokoić, tak aby mogła odpiąć pasy przytrzymujące Olivię w krzeselku. Drzenie jednak nie ustało, a zapięcie pasów się zacięło. Przejrzała więc wszystkie szuflady, aż znalazła nożyczki i przecięła szelki. Wyjęła malutkie spocone ciało z krzeselka i mijając po drodze porsche i mercedesa, weszła razem z córeczką do garażu z zabytkowymi samochodami. Następnie położyła ją na wykładzinie na drugim końcu pomieszczenia.

— Dlaczego ona leży na podłodze? — Victoria położyła się obok Olivii i zaczęła poruszać jej rączkami i nóżkami, jakby robiła orła na śniegu. — Ale ta podłoga jest miękka.

— Wracaj do samochodu.

— Nie chcę oglądać łódek — stwierdziła Valli. — Wolę oglądać telewizję.

— Wracajcie do samochodu, do cholery!

— Mogę dostać ser w paskach?

Kawałki białego sera zamknięte były w foliowym opakowaniu. Dłonie Simone drżały jednak zbyt mocno, aby mogła je otworzyć. Złapała więc folię zębami i oderwała kawałek. W tym samym momencie ser wypadł jej z rąk.

— Chcę ser, chcę ser.

— Wsiadaj do samochodu. — Wepchnęła bliźniaczki na tylne siedzenie camaro i rzuciła im ser. — Same otwórzcie!

Podniosła niemowlę, wsiadła do samochodu i zatrzasnęła za sobą drzwiczki. Pod udami czuła chłód tapicerki ze sztucznej skóry.

— Mamusiu, zapomniałaś o jedzeniu.

Otwarta lodówka stała na wykładzinie.

— Kupię wam hamburgery.

— O, tak! — krzyknęły bliźniaczki.

„Potrafię to zrobić”.

— A gdzie fotelik Libii? — zapytała Valli.

„Muszę to zrobić”.

— Będzie siedziała u mnie na kolanach. — Simone spojrzała we wsteczne lustro i ujrzała przerażony wyraz twarzy Valli.

— Nie patrz tak na mnie. O co ci chodzi?

„Pojedziemy powoli” — pomyślała Simone. „I będziemy się trzymać mniej uczęszczanych dróg”.

Na tylnym siedzeniu Victoria i Valli zaczęły śpiewać dwie różne piosenki. Jedna dotyczyła żeglowania, a druga sera w paskach. Myśli Simone skakały niczym krople wody na rozgrzanej patelni. Na końcu podjazdu skręci w lewo, pojedzie w dół wzgórza przez Juan Street i znajdzie się w Old Town, ale co potem?

„Beznadziejna”.

— Chce mi się siusiu — powiedziała Victoria. — Zsikam się w samochodzie tatusia.

— A ja zrobię kupę — dodała Valli.

— A ja kupę i siku.

— A ja kupę, siku i jeszcze zwymiotuję.

Bliźniaczki osunęły się na siebie ze śmiechem.

„Zbyt głupiutkie, by żyć”.

Simone zaczęła się zastanawiać, jak będzie wyglądało życie córek po jej śmierci. Podobnie jak ona wyrosną na mało inteligentne kobiety niezdolne do niczego. Czas będzie mijał, świat będzie się zmieniał, a one utkną w miejscu, bezradnie się szamocząc. Uczucie okropnego współczucia przypominało ukłucie szpilki tak ostrej, że potrafiło rozerwać jej serce. Dokładnie wiedziała, co musi zrobić.

Zrozumiała, że zawsze to wiedziała.

Przekręciła kluczyk w stacyjce i silnik camaro V8 zaryczał.

Bliźniaczki zaczęły pisać i Victoria znowu uderzyła głową w szybę.

Warkot sportowego silnika rozwiał ostatnie wątpliwości kłębiące się w umyśle Simone. Poczła się, jakby wypłynęła z mgły na spokojne wody. Jeszcze przed chwilą miała zamęt w głowie, a teraz czuła kojącą jasność umysłu. Miała wrażenie, że na dnie morza jej rozumu każde ziarenko piasku zostało precyzyjnie ułożone, jakby narysowano je cienko zatemperowanym ołówkiem.

Valli zaczęła się skarżyć.

— Nie podoba mi się ten zapach.

— Rozgrzewam silnik — wyjaśniła Simone, trzymając Olivię przy sercu i jednocześnie rozkładając fotel za pomocą dźwigni. — To jest stary samochód.

— Brzydko pachnie — powiedziała Victoria. — Źle się czuję. Boli mnie głowa.

— Zaraz zwymiotuję, mamusiu.

Głosy bliźniaczek były słodkie i płaczące, niczym śpiew uwieczonych ptaków. Simone zamknęła oczy i wyobraziła sobie wąską ulicę, na której po obu stronach stały sklepy z jaskrawożółtymi ptakami w wiklinowych klatkach. Czowała mrowienie w palcach, gdy otwierała klatki i je uwalniała. Na tle nieba ich skrzydła unosiły się i poruszały na wietrze jak żagle. Olivia ułożyła się w ramionach Simone i w końcu ucichła.

„To właśnie czuje dobra matka. Wszechogarniający spokój”.

Baker (ang.) — piekarz, *field* (ang.) — pole. [\[wróć\]](#)

Zęza — najniższe miejsce wewnątrz jednostki pływającej.
[\[wróć\]](#)

Sailing, sailing over the bounding main... — piosenka dla dzieci napisana przez Godfreya Marksa. [\[wróć\]](#)

ROZDZIAŁ 15

Marzec 2010

Prokurator Clark Jackson był przysadzistym mężczyzną po czterdziestce. Jego łysą głowę otaczała tonsura z kręconych siwych włosów. W pierwszy dzień procesu Simone, oskarżonej o usiłowanie morderstwa córek, poderwał się z krzesła i podszedł pewnym krokiem na środek sali sądowej, aby wygłosić mowę wstępną przed ławą przysięgłych. Mówił ostrym tenorem, który jednocześnie sprawiał wrażenie szorstkiego i pociągającego. Siedząca wśród publiczności Roxanne wzięła głęboki oddech i próbowała się odprężyć. Gdy rano się obudziła, ledwo mogła złapać oddech. Czuła się tak, jakby w gardle utkwily jej piłeczki tenisowe.

Jackson ją przerażał, ponieważ od razu zauważyła, że kara jest dla niego równie istotna jak sprawiedliwość.

Uśmiechnął się do sędziów przysięgłych, ukazując rząd zębów.

— W imieniu mieszkańców stanu Kalifornia chciałbym podziękować państwu za podjęcie się funkcji sędziów przysięgłych w tej bardzo trudnej, ale jakże ważnej sprawie. Werdykt, który państwo wydacie, będzie opisywany i komentowany na całym świecie. Ale pozwólcie państwo, że was uspokoję. Nie będą mieli państwo żadnego problemu z podjęciem sprawiedliwej decyzji. Dzięki przedstawionym dowodom będą mogli państwo bez cienia wątpliwości ogłosić, że Simone Duran jest winna usiłowania morderstwa czterech osób.

„Bliźniaczki, Olivia i Claire, nienarodzona wówczas córeczka”.

Roxanne spojrzała na Jacksona, następnie na adwokata Simone, Davida Cabota, który siedział przy stole obrony po przeciwległej stronie sali, a potem z powrotem skierowała wzrok na Jacksona. Pojawiło się w niej nowe uczucie — podekscytowanie, które kiedyś towarzyszyło jej przed jednym z maratonów Tya lub biegiem na dziesięć kilometrów. Do tej pory nie rozumiała w pełni powagi sytuacji. Nie zdawała sobie bowiem sprawy, że wolność Simone oraz przyszłość jej rodziny zależy od jednej rzeczy — rywalizacji pomiędzy dwoma ambitnymi mężczyznami, którzy przerzucają między sobą sprawiedliwość, będącą jednocześnie przeszkodą i celem.

Zdaniem Davida, mieli szczęście, że do sprawy przydzielono sędziego Amosa MacArthura. Był to postawny, szorstki mężczyzna o wyglądzie zmęczonego człowieka, z gęstą ciemną czupryną oraz wąsami, które były zbyt wielkie w porównaniu z jego twarzą. Choć często wybuchał i zachowywał się ekscentrycznie, był sędzią o umiarkowanych poglądach i duży ciężar sprawy nie powinien wpłynąć na jego osąd.

Jackson odsunął się od ławy przysięgłych i w dramatyczny sposób wskazał na Simone.

— Prokuratura wykaże, że oskarżona doskonale wiedziała, co robi, gdy usiłowała zamordować swoje córki. Planowała pozbawić je życia. I prawie jej się to udało. — Tenor Jacksona nieco złagodniał i nabrał poufałego charakteru. — Panie i panowie, obrona powie państwu, że Simone Duran była niepoczytalna w chwili popełniania przestępstwa. I zapewne będziecie chcieli w to wierzyć, ponieważ jesteście dobrymi ludźmi, a Simone Duran jest ładną i słodką kobietą. Nie wygląda na potwora, prawda?

Jackson wpatrywał się w Simone, zachęcając sędziów przysięgłych do zrobienia tego samego. Roxanne zauważyła, że Cabot pod stołem złapał Simone za rękę.

— Nie dajcie się omamić. Udowodnię, że to niebezpieczna kobieta. Nie jest niepoczytalna. Nigdy nie była. Dobrze wiedziała, co robi, gdy próbowała zamordować swoje dzieci, i teraz musi ponieść konsekwencje swoich czynów.

Po zakończeniu krótkiego wystąpienia Jackson wrócił na swoje miejsce. Mierzący metr dziewięćdziesiąt pięć centymetrów i poruszający się z wrodzoną gracją sportowca David Cabot oznajmił, że wygłosi mowę wstępną po przedstawieniu dowodów przez prokuratora. Jego decyzja sprawiła, że po publiczności przebiegł szmer. Cabot przygotował rodzinę na to odstępstwo od zwykłego przebiegu procesu, zapewniając, że w tym przypadku będzie to dobre posunięcie strategiczne.

Pierwszym świadkiem oskarżenia był policjant z komendy w San Diego prowadzący sprawę. Zeznał, że przyjechał do rezydencji Duranów zaraz po pogotowiu ratunkowym i przedstawił sędziom przysięgłym barwny i zatrważający opis sceny rozgrywającej się przed garażem. Roxanne nie pamiętała zbyt wiele z tego, co wydarzyło się owego późnego popołudnia. Gdy wychodziła ze szpitala, lekarz wytłumaczył jej, że trauma tak działa na niektórych ludzi.

Następny świadek Jacksona — technik medyczny — opowiedział o ciężkim stanie, w jakim znajdowały się dziewczynki na miejscu zbrodni. Ulegając namowom prokuratora, stwierdził, że gdyby Simone i dzieci były poddane działaniu tlenku węgla jeszcze minutę dłużej, doszłoby do trwałego uszkodzenia mózgu. Do wniosków tych doszedł, opierając się na swoim jedenastoletnim doświadczeniu zawodowym. Zanim Cabot zdążył zgłosić sprzeciw, świadek dodał jeszcze, że uratowanie Olivii było „cudem od Boga”.

Cabot nie skorzystał z prawa przesłuchania świadka.

GERALD FROBISHER, psychiatra stanowy i ekspert z zakresu depresji poporodowej oraz psychozy, zajął miejsce świadka z niezachwianą powagą i pewnością siebie. Był mężczyzną w średnim wieku, szczupłym i elegancko ubranym, a jego buty wypolerowane były na błysk. Przymilny sposób, w jaki się zachowywał, napawał Roxanne wstrętem. Kiedy patrzyła na niego, do głowy przychodziło jej jedno słowo — wazeliniarz. Jackson zapytał Frobishera o posiadane kwalifikacje, które pozwalają na określenie go mianem eksperta. W odpowiedzi

mężczyzna wymienił onieśmielająco długą listę tytułów naukowych oraz publikacji w prestiżowych czasopiśmie. Roxanne zauważyła, że pilnował się, aby jego głos brzmiał powściągliwie i skromnie, lecz ani na chwilę jej tym nie przekonał.

Po zakończeniu długiej wypowiedzi Frobishera Jackson zapytał:

— Doktorze, czy na podstawie swojej fachowej wiedzy oraz przeprowadzonych przez pana badań i wywiadów może pan stwierdzić, czy pani Duran potrafiła odróżnić dobro od zła w czasie omawianego zdarzenia?

— Jestem tego pewien.

Sędzia MacArthur spojrzał na widownię, po której rozszedł się szmer rozmów.

— Czyli w dniu usiłowania popełnienia morderstwa swoich córek, biorąc pod uwagę jej stan psychiczny, nie różniła się od pana czy ode mnie?

— Tego nie odważyłbym się powiedzieć. — Frobisher poprawił na nosie okulary. — Nie ulega wątpliwości, że pani Duran działała pod wpływem ogromnego napięcia emocjonalnego. Urodziła kilkoro dzieci w relatywnie krótkim czasie i jest niemal pewne, że w rezultacie cierpiała z powodu pewnych zaburzeń hormonalnych, które mogły dodatkowo wzmocnić jej wrodzoną skłonność do choroby dwubiegunowej. Jednak żadne z tych zjawisk nie jest niczym nadzwyczajnym.

— Czy podczas rozmów z panią Duran zwrócił pan uwagę na jakieś istotne wydarzenie, jakiś czynnik, który mógłby wywołać mordercze zamiary?

— Po pierwsze, zwolniła nianię — odparł Frobisher. — Bez niani jej życie stało się niesamowicie stresujące. Nawet zwykłe upieczenie babeczek przekraczało jej możliwości.

— Chce pan powiedzieć, że próbowała zamordować dzieci, ponieważ nie potrafiła upiec babeczek?

Cabot podniósł się z miejsca.

— Wysoki Sądzie, muszę zgłosić sprzeciw wobec tonu, jakim posługuje się pan Jackson.

Roxanne wiedziała, że prokurator potrzebował zeznań Frobishera, aby przekonać sędziów przysięgłych o poczytalności Simone, ale Cabot przewidział, że Jackson będzie lekceważył jakiegokolwiek próby psychologicznego wyjaśnienia motywów oskarżonej, a może nawet je wyśmiewał, aby osłabić argument obrony, zanim jeszcze zostanie on przedstawiony.

— Dzisiaj waży się przyszłość Simone Duran oraz jej rodziny. Uważam, że w związku z tym sarkazm jest tutaj nie na miejscu.

— Czy celowo posłużył się pan sarkazmem, panie Jackson?
— zapytał sędzia.

— Oczywiście, że nie, Wysoki Sądzie.

— Oddalam sprzeciw. Może pan kontynuować, panie Jackson, ale proszę uważać na swój ton.

— Podsumowując, doktorze Frobisher, czy twierdzi pan zatem, opierając się na pana fachowej wiedzy, że Simone Duran usiłowała zamordować dzieci, ponieważ żyła w ogromnym stresie?

Frobisher spojrzał na sędziego.

— Czy mógłbym nieco rozwinąć odpowiedź, Wysoki Sądzie?

— Proszę bardzo, doktorze.

Psychiatra poprawił się na krześle dla świadka i zwrócił się bezpośrednio do sędziów przysięgłych:

— Większość z nas dość dobrze radzi sobie ze stresem. W procesie tym często nadszarpnięte zostają nasze zdrowie lub związki międzyludzkie, ale udaje nam się wyjść z tego cało. Prawdę mówiąc, całkiem dobrze sobie z tym radzimy. Ale Simone Duran przez całe życie była rozpieszczana. W ogromnym stopniu uzależniła się od swojego męża. Ostatnia ciąża — z małą Claire — oraz przede wszystkim zwolnienie niani przelało w końcu czarę goryczy. Chciała jedynie uciec przed stresem.

— Dlaczego nie poprosiła o pomoc? — zapytał Jackson.

— Pani Duran twierdzi — odparł Frobisher — że nigdy nie starała się ukrywać swoich problemów, ale jej zdaniem, nikt nie zwracał na nią uwagi. Twierdzi też, że nikt nie chciał jej pomóc,

ale to wydaje mi się nieco naciągane. Jej wspomnienia są bardzo wybiórcze.

— To znaczy, że kłamie, gdy jest jej to na rękę?

— Sprzeciw, Wysoki Sądzie, nie ma podstaw do zadawania tego pytania.

— Podtrzymuję. Proszę inaczej je sformułować, panie Jackson.

— Doktorze Frobisher, czy na podstawie rozmów odbytych z panią Duran doszedł pan do wniosku, że oskarżona może kłamać, aby siebie chronić?

— Większość osób będzie zmieniała fakty w celu uniknięcia przykrych konsekwencji, panie Jackson. Simone Duran nie jest żadnym wyjątkiem.

— Podsumujmy więc, abyśmy nie mieli żadnych wątpliwości. Czy jako ekspert może pan stwierdzić, że w czasie popełniania przestępstwa Simone Duran była świadoma własnych czynów i rozróżniała dobro i zło?

— Oczywiście. Odpowiedź twierdząca dotyczy obu pytań.

DRUGIEGO DNIA procesu po godzinie trzeciej David Cabot wstał z miejsca, aby przesłuchać Frobishera.

— Chciałbym, aby wyjaśnił pan jedną bądź dwie kwestie.

Frobisher odchylił się do tyłu i skrzyżował nogi. Czuł się swobodnie na miejscu dla świadków.

— Przede wszystkim chcielibyśmy się dowiedzieć, ile czasu spędził pan na rozmowie z moją klientką Simone Duran.

— Mogę spojrzeć w notatki?

— Jeśli to konieczne. Nie mógłby pan podać chociaż szacowanej liczby godzin?

— Niech pomyślę. Prawie całe jedno popołudnie — od lunchu do około czwartej. — Frobisher przesunął podbródek nieco w prawo i spojrzał w górę. — Następnego dnia rozmawialiśmy przez kilka godzin, a potem wydaje mi się, że nastąpiła kilkudniowa przerwa i spotkaliśmy się znowu pewnego ranka.

— Czy możemy więc uznać, że łączny czas rozmów wynosił od sześciu do siedmiu godzin?

— Raczej osiem.

— To niezbyt dużo czasu, prawda, doktorze?

— W tym przypadku wystarczająco dużo.

— Czy podczas rozmów z moją klientką rozmawiał pan o jej dzieciństwie?

— Oczywiście.

— Dlaczego było to konieczne?

— Umysł funkcjonuje w niezwykle i skomplikowany sposób. Osoba, którą była pani Duran podczas incydentu, powiązana jest z osobą, którą była na długo przed tym, zanim doszło do wypadku.

— Niezwykle i skomplikowany. To ma sens. Czy mogę później jeszcze raz posłużyć się tymi terminami?

Frobisher pokiwał głową.

— Oczywiście.

— A więc z ośmiu godzin, które spędził pan z Simone Duran, ile poświęcił pan na rozmowę o jej dzieciństwie?

— Nie potrafię powiedzieć. Wracaliśmy do tego tematu wielokrotnie.

— Czy według pana były to dwie godziny? Cztery?

— Łącznie? Od trzech do czterech.

— Czy rozmawialiście na temat jej małżeństwa?

— Oczywiście.

— Od jak dawna Simone Duran i jej mąż są małżeństwem?

Frobisher spojrział w notatki.

— Nieważne — przerwał Cabot z odrobiną antypatii w głosie, jakby nie miał zbyt dobrej opinii o lekarzu, który nie potrafi przypomnieć sobie odpowiedzi na tak podstawowe pytanie. — Czy gdybym powiedział, że są razem około dziesięciu lat, czy byłbym blisko?

Frobisher pokiwał głową.

— Rozumiem, że odpowiedź jest twierdząca. Czy mógłby pan oszacować na potrzeby sądu...? Czy omówienie jej małżeństwa zajęło pół godziny, czyli trzy minuty na każdy rok?

— Powtarzam, panie Cabot, spędziłem z pacjentką

wystarczająco dużo czasu.

— Wystarczająco dużo na co?

— Aby stwierdzić, czy w trakcie popełniania przestępstwa pani Duran знаła różnicę pomiędzy dobrem a złem.

— Naprawdę? — David Cabot cofnął się i spojrzał na sędziów przysięgłych z wyrazem zaskoczenia na twarzy. — Zdołał pan dojść do tego wniosku w tak krótkim czasie? Uważam, że to niesamowite.

— Sprzeciw, Wysoki Sądzie.

— Czy gdyby podczas sesji z panią Duran odkrył pan coś, co obalałoby pana tezę, iż w czasie incydentu potrafiła odróżnić dobro od zła, zgłosiłby to pan czy może zignorował?

Jackson zerwał się na nogi.

— Wysoki Sądzie, doktor Frobisher jest wysoko cenionym ekspertem w swojej dziedzinie. Pytania obrońcy są obelżywe.

— To przesłuchanie strony przeciwnej, panie Jackson. — MacArthur zmarszczył brwi wiszące nad krawędzią okularów. — Proszę odpowiedzieć, panie doktorze.

Frobisher zacisnął szczęki.

— Jestem naukowcem, a co za tym idzie, mam otwarty umysł, dopóki nie zbiorę wszystkich faktów.

— Doktorze Frobisher, czy rozmawiał pan z panią Duran o jej seksualnych relacjach z mężem?

— Nie, nie poruszaliśmy tematu seksu. Seks nie ma nic wspólnego z przestępstwem.

— Ale skoro małżeństwo miało wpływ na jej postępowanie, a seks jest nieodłączną jego częścią... Rozmawiał pan o małżeństwie, ale nie o seksie? Jestem tym nieco zdumiony, doktorze.

Nie można było podważyć kwalifikacji doktora Frobishera, ale Cabot chciał zasiać ziarenko wątpliwości w umysłach sędziów przysięgłych co do obiektywności oraz dokładności jego analizy.

— Pani Duran była w ciąży osiem razy w ciągu dziesięciu lat, wliczając w to poronienia. Ale nie rozmawiał pan z nią o seksie?

— Panie Cabot, proszę zadać konkretne pytanie. — Sędzia MacArthur wydawał się zirytowany. — Dalej.

— Czy mógłby pan wyjaśnić tutaj zebranym, dlaczego seks nie był istotną kwestią?

— Moim celem było określenie, czy pani Duran była świadoma swoich czynów podczas usiłowania morderstwa i czy potrafiła odróżnić dobro od zła. Nie potrzebowałem wnikać w intymne szczegóły jej życia osobistego.

— No dobrze, nie rozmawialiście o seksie. Czy poruszaliście temat więzi, jaka łączy panią Duran z jej siostrą, matką lub dziećmi?

— Tak, rozmawialiśmy na te tematy.

— Ponawiam swoje pytanie: ile czasu spędził pan na analizowaniu tych kwestii?

— Nie wiem, panie Cabot. Nie dzielę swoich sesji na segmenty. Trwają one dopóty, dopóki nie jestem w stanie wyrazić profesjonalnej opinii.

— Czy mogę założyć, że rozmawiał pan z nią o niedoszłym uduszeniu?

Roxanne wiedziała, że z ust Davida nigdy nie padnie zwrot „usiłowanie morderstwa”. Zawsze określał to mianem „zdarzenia”, „incydentu” lub „niedoszłym uduszeniem”.

— Oczywiście.

— I wszystkie te tematy poruszył pan w ciągu sześciu czy też siedmiu godzin.

— Raczej ośmiu lub dziewięciu.

— Czy pana zdaniem badanie mojej klientki można nazwać szczegółowym?

— Tak.

— Czy pana zdaniem było to badanie wyczerpujące?

— Oczywiście istniały ograniczenia czasowe, ale w tych okolicznościach było ono wyczerpujące.

— Czy mógłby pan przysiąc, że poznał pan niezwykle i skomplikowany sposób, w jaki funkcjonował mózg Simone Duran w czasie incydentu?

Na twarzy Frobishera wystąpił rumieniec. Lekarz zamilkł na chwilę, a potem odparł:

— Tak.

Cabot odwrócił się do sędziów przysięgłych, do Amosa MacArthura, a potem znowu do Frobishera.

— Panie doktorze, czy uważa pan, że mógłby pan spędzić kilka godzin z sędzią MacArthurem i stwierdzić, że dobrze go pan poznał?

— Sprzeciw!

— Czy udałoby się panu zbadać niezwykle i skomplikowany sposób, w jaki pracuje jego mózg?

— Zgłosiłem sprzeciw, Wysoki Sądzie!

— A ja pana słyszałem.

— Wycofuję pytanie — powiedział Cabot. — Na razie to wszystko.

TRZECIEGO DNIA procesu prokurator wezwał kolejnych świadków, wśród których znaleźli się: Celia, gospoia pracująca u Duranów; pracownik opieki społecznej oraz kilku badaczy z dziedziny psychologii, którzy zeznali, że psychoza poporodowa jest niezwykle rzadką dolegliwością i w wyjątkowych okolicznościach, jeśli w ogóle, może uniemożliwić kobiecie odróżnienie dobra od zła. Gdy zakończyły się ich przesłuchania, Clark Jackson wezwał na świadka Merell.

Siedzący obok Roxanne Johnny gwałtownie wciągnął powietrze. Podobnie jak ona, jej szwagier także przygotowywał się na tę chwilę. Jednak pomimo to dźwięk imienia Merell wypowiedzanego przez Jacksona był niczym niespodziewany wystrzał lub zasadzka.

GDY KILKA miesięcy wcześniej Johnny dowiedział się, że córka będzie zeznawać przeciwko Simone, jego wybuchy wściekłości trafiały na okładki wszystkich brukowców. Po wyjściu z długiej rozprawy wstępnej, w której udział brali przedstawiciele obu stron oraz sędzia MacArthur, Cabot powiedział Johnny'emu, że Jackson przeforsował swój pomysł.

— Będzie zeznawać. Sędzia stwierdził, że Merell jest w

odpowiednim wieku.

— Zeznawać na jaki temat? — zapytała Roxanne. — Obie weszliśmy do garażu. Dlaczego mnie nie wezwie na świadka?

— Do cholery, Cabot, to jeszcze dziecko. — Johnny przeszedł szybkim krokiem na drugi koniec biura adwokata mieszczącego się na trzecim piętrze odnowionej kamienicy. Narożne okna wychodziły na Broadway, a sam budynek znajdował się w odległości ośmiu przecznic od siedziby sądu. — Nie chcę, aby moja córka...

— To, czego ty chcesz, nie ma tutaj żadnego znaczenia, Johnny.

— Oczywiście, że ma. Do kurwy nędzy, jestem jej ojcem. Co ten Jackson zamierza jej zrobić?

— Uspokój się, Johnny. Sędzia nie pozwoli Jacksonowi na żadne nieodpowiednie posunięcie. Zależy mu na dobrym samopoczuciu Merell tak samo jak mi. Jeśli byłaby moim świadkiem — dodał Cabot — zapytałbym ją o telefon na policję. Próbowałbym ustalić jakiś związek pomiędzy tym, co zaszło w lipcu przy basenie, a incydem w garażu. Jackson będzie chciał ukazać pewien wzorzec zachowania. — Cabot zamilkł na chwilę, ponieważ za oknem przejechała karetka z włączoną syreną. — Jackson wie, że stoimy na stanowisku, iż będąc w garażu, Simone nie odróżniała dobra od zła. Ale jeśli uda mu się przekonać sędziów przysięgłych, że miesiąc lub sześć tygodni wcześniej Simone próbowała utopić Olivię...

— To stek bzdur!

Ellen w końcu powiedziała Johnny'emu prawdę o tamtym dniu, ale on jej nie uwierzył.

— Jackson osiągnie swój cel, nawet jeśli tylko zasieje w umysłach sędziów przysięgłych podejrzenie co do zamiaru morderstwa.

Johnny opadł na sofę biurową, opuścił głowę i oparł łokcie na kolanach.

— Zrobimy co w naszej mocy, aby chronić Merell — zapewnił Cabot. — Podczas każdej rozprawy przygotowawczej

obecny będzie wyznaczony przez sąd pracownik opieki społecznej, który ma za zadanie pilnować przestrzegania jej praw. Jackson to dobry prawnik i nie spodziewam się, aby próbował ją zastraszyć, ale w razie czego wiemy, że ktoś przy niej będzie. Nie zostanie sama.

Johnny ponownie zaczął niespokojnie przemierzać pokój, a na jego twarzy wystąpił grymas wyrażający frustrację. Roxanne nigdy nie widziała go w takim stanie. Patrząc na jego nietypowe zachowanie, czuła małą satysfakcję, ponieważ zwykle była świadkiem, jak obnosił się ze swoją władzą. Przywykł do tego, że zawsze dostawał to, czego chciał, i podczas każdej potyczki stały za nim pieniądze oraz znajomości; nie umiał więc radzić sobie z poczuciem bezsilności.

— Użycie Merell jest interesującym posunięciem taktycznym — przyznał Cabot.

— Interesującym? — Kropelka potu spłynęła za uchem Johnny'ego. Roxanne patrzyła, jak sunie po jego szyi i znika za kołnierzykiem koszuli. — Mnie to bardziej przypomina maltretowanie nieletnich.

— Jackson bardzo ryzykuje. Wszystko zależy od tego, jak sędziowie przysięgli potraktują jej zeznania. Merell nie jest wiarygodnym świadkiem. Moim zdaniem, on to wykorzysta. Skłamała...

— Ona nie jest kłamczuchą — przerwał mu Johnny.

— Co innego powiedziała dyspozytorowi przez telefon, a co innego policji. Jedna z tych historii była kłamstwem.

— Miała mętlik w głowie. To wszystko.

— Jak uważasz. — Cabot wzruszył ramionami. Roxanne wydawało się, że dostrzegła litość w wyrazie twarzy adwokata, gdy spojrzął na Johnny'ego. — Jackson będzie próbował przekonać ławę przysięgłych, że twoja córka skłamała, aby bronić matkę.

— Porozmawiam z nią i raz na zawsze wyjaśnimy, co tak naprawdę się tam stało.

— Nie. Nie zrobisz tego. — Cabot przeszedł na drugi koniec

pomieszczenia, aby stanąć przed Johnnym. — Usiądź i posłuchaj mnie.

Roxanne spodziewała się, że szwagier będzie oponował.

— Od teraz — zaczął Cabot, narzucając własne warunki w taki sposób, aby uprzedzić sprzeciw Johnny'ego — w twoim domu nie będzie żadnych rozmów na tematy związane z procesem, ponieważ jeśli zajdzie najmniejsze podejrzenie, że próbujesz wpłynąć na świadka oskarżenia...

— Chcesz mi powiedzieć, że nie mogę rozmawiać z własną córką?

— To przestępstwo, Johnny. — Roxanne siedziała na sofie obok szwagra i położyła rękę na jego ramieniu. Była zaskoczona ciepłem, jakie biło od jego ciała, oraz nagłym przyplływem czułości, jaką względem niego poczuła. — Możesz pójść za to do więzienia.

— A jeśli będziesz ingerował w zeznania świadka, możesz zapomnieć o uniewinnieniu Simone. Chyba że chcesz, aby poszła do więzienia na dwadzieścia lat?

— Dobrze już, dobrze.

Roxanne uświadomiła sobie, że do tej chwili Johnny nie rozumiał do końca powagi sytuacji. Wcześniej wydawało mu się, że wszystko kontroluje, a Cabot postępuje według jego widzimisie, ale teraz został zmuszony do podporządkowania się, do poddania się woli kogoś innego i to go zabolalo, czego dowodem był widoczny na jego twarzy grymas.

TRZECIEGO DNIA PROCESU w godzinach popołudniowych w sali sądowej było chłodno i wilgotno. Woźna sądowa poprowadziła Merell przez środek sali, między publicznością, i posadziła na miejscu dla świadków.

Tamtego ranka wychodząc z domu, Roxanne zobaczyła trzy wrony siedzące na gałęzi eukaliptusa. Odniosła wrażenie, że ptaki z przerażającym spokojem obserwują dom niczym troje posepnych mnichów. „To omen” — pomyślała. Z pewnością nie wróży nic dobrego.

Merell wyglądała na wyższą i szczuplejszą niż kilka dni

temu, gdy po raz ostatni widziała się z Roxanne. Jej grzywka została przycięta zbyt krótko, co podkreślało garb na nosie, a dziewczynka sprawiała wrażenie nieco zaniedbanej. Jej niesforne włosy związane były w — jak się pewnie Merell wydawało — porządny kucyk. Miała na sobie mundurek z herbem Arcadii, buty oraz podkolanówki. Podczas składania przysięgi i przedstawiania się w jej głosie słychać było lekki upór. Widząc ją na miejscu dla świadków, delikatną, a jednocześnie groźną w charakterystyczny dla małych dziewczynek sposób, Roxanne poczuła, że coś w jej piersi pęka, jakby mięśnie, które utrzymywały serce w jednym miejscu, powoli się rozluźniały.

— Merell, ile masz lat?

— Dziewięć.

— Gdzie chodzisz do szkoły?

— Do Arcadia Academy.

Po każdej odpowiedzi Merell prostowała ramiona i zaciskała usta w cienką linię. Była w tym tak podobna do babci, że Roxanne miała nadzieję, iż duch staruszki nawiedził teraz salę sądową i dodaje sił swojej prawnuczce. Na taki pomysł wpadłaby na pewno Elizabeth.

— W której jesteś klasie?

Merell patrzyła prosto przed siebie, skupiając wzrok na środku czerwono-czarnego krawata Clarka Jacksona.

— Skończyłam właśnie nauczanie wczesnoszkolne.

— A więc jesteś w czwartej klasie, zgadza się?

— Tak.

— Czy w Arcadia Academy uczą was odróżniać dobro od zła?

— Chyba tak.

Na pewno była przerażona, ale dobrze to ukrywała. Dwa dni wcześniej Roxanne znalazła w skrzynce pocztowej list zaadresowany do niej starannym charakterem pisma typowym dla ucznia czwartej klasy. W kopercie znajdowała się kartka papieru, na której skreślono jedno zdanie: „Nienawidzę go”. Nie było adresu zwrotnego ani podpisu. Merell nie zamierzała pozwolić

Clarkowi Jacksonowi się zastraszyć. Chciała mu udowodnić, że jest twarda. Roxanne miała ochotę przerwać rozprawę i ostrzec Merell. „Jackson jest niebezpieczny” — chciała jej powiedzieć. „Stąpaj ostrożnie, mała dziewczynko”.

Jackson zaczął się powoli przechadzać po sali.

— Czy mogłabyś opisać nam, co dokładnie wydarzyło się w pierwszym tygodniu września dwa tysiące dziewiątego roku? W dniu, w którym wróciłaś z cicią Roxanne z zakupów w Macy’s?

Merell była przygotowana na to pytanie i mówiła w tak automatyczny sposób, że Roxanne miała wrażenie, iż nauczyła się tych słów na pamięć.

— Weszłyśmy do domu i usłyszałam hałas przypominający silnik samochodowy, więc pomyślałam, że ktoś kradnie jedno z zabytkowych aut tatusia.

Jackson wypytał ją szczegółowo o to, gdzie i w jaki sposób trzymane są samochody.

— Co zobaczyłaś, gdy otworzyłaś drzwi garażu?

— Ja ich nie otworzyłam.

Jackson spojrzał na nią nieco zdumiony.

— Zrobiła to ciocia Roxanne.

— Dobrze, mów dalej.

Roxanne podejrzewała, że Jackson nie miał dzieci. Starał się mówić przyjacielskim tonem, ale nie brzmiało to przekonująco.

— Mówiłaś, że w garażu stało pięć aut. Które najpierw zauważyłaś?

— Camaro.

— Opowiedz sędziom przysięgłym, co zobaczyłaś we wnętrzu samochodu.

Po raz pierwszy pewność siebie Merell zaczęła słabnąć. Spojrzała na sędziego.

MacArthur odezwał się do niej tonem dobrego dziadka:

— Wiem, że to trudne, młoda damo, ale musisz odpowiedzieć na to pytanie. Takie jest prawo i nie mogę go zmienić. No dalej, powiedz, co widziałaś.

— Bliźniaczki znajdowały się na tylnym siedzeniu.

— Tylnym siedzeniu czego?
— Samochodu. Camaro.
— Co robiły?
— Wyglądały, jakby spały.
— A twoja matka?
— Nie pamiętam dokładnie. — Merell zaczęła ciągnąć za grzywkę, jakby chciała nią zakryć twarz.
— Wydaje mi się, że pamiętasz — powiedział Jackson.
— Sprzeciw, Wysoki Sądzie, świadek powiedział przecież, że nie pamięta.
— Oddalam. — Sędzia spojrzał na Merell. — Spróbuj odpowiedzieć na pytanie pana Jacksona. Postaraj się z całej siły.
— Mama siedziała na przednim fotelu, a bliźniaczki z tyłu.
— Czy mama była sama?
— Powiedziałam przecież, że były jeszcze bliźniaczki.
— Na przednim siedzeniu. Czy była sama na przednim siedzeniu?
— Trzymała moją siostrę Olivię.
— Olivia jest niemowlęciem?
— Teraz to Claire jest niemowlęciem.
— W jakim wieku była Olivia, gdy mama usiadła z nią na przednim siedzeniu samochodu?
— Osiem lub dziewięć miesięcy.
— Co robiła twoja mama?
— Myślę, że one spały.
— Co się wydarzyło potem?
Merell opisała, jak Roxanne otworzyła bramę garażową i razem wyciągnęły Simone i dziewczynki na świeże powietrze.
— Zadzwoiłam na pogotowie i zwymiotowałam.
Ktoś z publiczności wybuchnął śmiechem.
— Wspaniale to opisałaś, Merell. Bardzo szczegółowo.
Merell się uśmiechnęła. Roxanne poczuła napływające łzy do oczu, gdy dostrzegła, jak bardzo jej siostrzenica potrzebuje uwagi, jak walczą w niej sprzeczne emocje: z jednej strony powinna nienawidzić tego mężczyzny, ale mimo to uśmiecha się, słysząc od

niego pochwałę.

— Merell, czy ty kłamiesz?

— Nie.

— No, przestań. — Jackson uśmiechnął się w kierunku ławy przysięgłych. — Każdy od czasu do czasu kłamie. Chcesz mi powiedzieć...?

— Sprzeciw, Wysoki Sądzie. Czy prokurator próbuje zakwestionować prawdomówność własnego świadka?

— Wycofuję pytanie. — Spojrzenie Jacksona, które rzucił w kierunku sędziów przysięgłych, sugerowało, że sprzeciw Cabota był niepoważny. — Merell, wróćmy do wydarzeń z lipca, a dokładniej z trzeciego tygodnia lipca. Wtedy zadzwoniłaś na policję. Pamiętasz ten dzień?

— Chyba tak.

— Razem z mamą i siostrami siedziałyście po południu przy basenie. Towarzyszyły wam babcia i niania, zgadza się?

— Często spędzamy tam czas.

— Oczywiście. Ale ja mówię konkretnie o dniu, w którym zadzwoniłaś na policję. Pamiętasz go?

— Tak.

— Opowiedz nam, proszę, dokładnie, co się wówczas wydarzyło.

Merell się wyprostowała.

— Zadzwoniłam na policję i powiedziałam, że Olivia się topi.

— Wysoki Sądzie — przerwał jej Jackson — wnoszę o włączenie do materiału dowodowego nagrania rozmowy telefonicznej pomiędzy Merell Duran a dyspozytorem policji.

— Zaprotokołowano — odparł sędzia. — Proszę je włączyć...

W sali sądowej, w której do tej pory panowała cisza, rozległ się zapłakany głos przerażonego dziecka:

— Moja mama próbuje utopić siostrę.

Nagrana wiadomość wywarła na zgromadzonych piorunujące wrażenie, które rozprzestrzeniło się po sali sądowej niczym

toksyczne spaliny.

MacArthur postukał młotkiem i poprosił publiczność o zachowanie ciszy.

— Merell, czy to był twój głos? — zapytał Jackson.

— Tak.

— Co się stało po tym, jak wykonałaś telefon?

— Przyjechała policja.

— I co im powiedziałaś?

— Powiedziałam, że mamusia kąpała się z Olivią w basenie. Siostra wykręciła się i wypadła mamusi z rąk. To był wypadek.

— Co jeszcze powiedziałaś policji?

Merell poruszyła się na krześle. Nawet z miejsca, które zajmowała wśród publiczności, Roxanne zauważyła, że policzki jej siostrzenicy zaczynają się oblewać rumieńcem.

— Powiedziałam, że skłamałam, mówiąc, że Olivia się topi, ponieważ chciałam zobaczyć, co się wydarzy, gdy wybiorę numer alarmowy.

— Wyjašnjmy to sobie. — Jackson sprawiał wrażenie skonsternowanego. — Opowiedziałaś dwie kompletnie różne historie, Merell. Która była prawdziwa?

— Sprzeciw, Wysoki Sądzie. Prokurator wziął w krzyżowy ogień pytań własnego świadka.

MacArthur włożył palce pod okulary i potarł oczy.

— Oddalam, panie Cabot. Dam panu Jacksonowi nieco swobody, aby wyciągnąć coś z tej opornej dziewczynki.

— Opowiedziałaś dwie historie. Jedna z nich była kłamstwem. Mam rację?

Merell usiadła na dłoniach.

— Chyba tak.

— Czy twoja mama próbowała utopić Olivię?

— Nie. Mówiłam już...

— Dlaczego sędziowie przysięgli mieliby ci uwierzyć, Merell? Może to wersja opowiedziana policji jest nieprawdziwa. A może kłamiesz teraz.

— Czasami... — urwała w połowie zdania.

— Czasami co?
Wyciągnęła ręce spod pośladków i wsunęła je pod pachy.
— Nieważne.
— Co chciałaś powiedzieć?
Merell milczała.
— Proszę odpowiedzieć na pytanie pana Jacksona. I pamiętaj, że przysięgałaś mówić prawdę.
— Czasami... kłamstwo jest usprawiedliwione.
Ktoś siedzący z tyłu zaśmiał się cicho.
— Czy skłamałabyś, aby ochronić mamę?
— Sprzeciw, prokurator prosi świadka, aby...
— Oddalam.
— Czy byłabyś gotowa skłamać, aby ochronić mamę?
— Nie. To przecież byłoby krzywoprzysięstwo. — Merell wyprostowała się i złapała za podłokietniki. — Krzywoprzysięstwo jest przestępstwem i można za nie pójść do więzienia.
— Mając to na względzie — Jackson przerwał na chwilę — powiedz teraz sędziom przysięgłym, czy twoja mama próbowała utopić Olivię?
Na sali sądowej zapanowała całkowita cisza. Słyszeć było jedynie szum wiatru i deszczu.
— Nie. Zadzwoiłam na policję, aby przekonać się, co się stanie.

ROZDZIAŁ 16

Następnego dnia David Cabot rozpoczął od mowy wstępnej. Zwracając się do sędziów przysięgłych, powiedział:

— Postanowiłem wygłosić swoje wystąpienie nieco później, ponieważ chciałem, aby skupili się państwo na słowach pana Jacksona i jego świadków. Pan Jackson chce, aby uwierzyli państwo, że Simone Duran jest bezlitosną morderczynią i planowała skrzywdzić własne dzieci. — Pokręcił głową, jakby ten pomysł był niedorzeczny. — Gdy za kilka dni zakończę przedstawianie dowodów, zorientują się państwo, jak bardzo mylne są to założenia. Zobaczą państwo, że Simone Duran jest kochającą matką, która nigdy celowo nie skrzywdziłaby swoich dzieci.

Staął za Simone i oparł dłonie na jej ramionach.

— Gdy nadejdzie czas, aby wydać werdykt, będą państwo wiedzieć wszystko o dolegliwości zwanej wyuczoną bezsilnością. Usłyszą państwo też o depresji poporodowej, która jest zaburzeniem psychicznym dotykającym miliony kobiet na całym świecie. Zrozumieją państwo, że psychoza poporodowa zwraca naturalną miłość matki do dziecka przeciwko niemu. Zamienia kochającą matkę w kochającego mordercę.

Pozwolił, aby sędziowie przysięgli zastanowili się nad jego słowami. „Kochający morderca”. Oto jutrzejszy nagłówek.

— Proszę mnie źle nie zrozumieć. Wydaje mi się, że na wieść o kobiecie oskarżonej o próbę skrzywdzenia swoich dzieci każdy poczuje odrazę. Obrzydzenie. Pani Duran została aresztowana pod zarzutem popełnienia okropnej zbrodni, najbardziej nienaturalnej zbrodni na świecie... — Dwóch lub trzech sędziów przysięgłych pochyliło się do przodu w oczekiwaniu na zakończenie zdania. — Dlatego właśnie jedynie osoba niepoczytalna byłaby w stanie tego się dopuścić. Usłyszeli już państwo charakterystykę Simone Duran przedstawioną przez

prokuratora. Teraz proszę o pozbycie się wszelkich ewentualnych uprzedzeń i wysłuchanie nowych informacji z otwartym umysłem. W ciągu najbliższych kilku dni poznacie państwo prawdziwą Simone Duran. Zamierzam wezwać ją na świadka, aby własnymi słowami opisała, co się wydarzyło w garażu. Powie państwu na przykład, że jej najmłodsze dziecko, Olivia, cierpiała wówczas na dziecięcy refluks żołądkowo-przełykowy.

Cabot pokiwał głową do asystentki siedzącej przy stole obrony, a ta nacisnęła przycisk w niewielkim magnetofonie. Salę sądową wypełnił odgłos przeraźliwego płaczu dziecka.

Prokurator Jackson zerwał się na nogi, a sędzia MacArthur zaczął uderzać młotkiem. Cabot jednak nie przerwał swojej przemowy. Podszedł jedynie bliżej do sędziów przysięgłych i zaczął mówić głośniej, aby przekrzyczeć wrzaski z nagrania:

— Kilku świadków zezna, że dziecko Simone Duran płakało w ten sposób niemal cały czas, dzień i noc.

— Wysoki Sądzie, to jakieś żarty! Co on chce przez to powiedzieć? Że próbowała zabić własne dzieci, ponieważ jedno z nich nie chciało przestać płakać?

Asystentka Cabota wyłączyła nagranie.

Roxanne miała wrażenie, że słyszy zgrzytanie zębów sędziego. MacArthur zwrócił się do Cabota z marsową miną.

— W mojej sali sądowej ma pan jedną szansę — skończy pan z przedstawieniami albo pan pożałuje.

Cabot pochylił głowę w przeproszającym geście, ale nie wydawał się onieśmielony.

— Z całym szacunkiem, Wysoki Sądzie, sędziowie przysięgli nie zdołają zrozumieć stanu umysłu mojej klientki, jeśli nie usłyszą tego, co ona słyszała cały dzień przez wiele miesięcy. Obrona zamierza co jakiś czas włączać to nagranie w trakcie procesu.

— Bez mojego pozwolenia nic pan nie robi! Mecenasie, mogę rozważyć pisemny wniosek o zgodę na wykorzystanie tych nagrań. Proszę, aby znalazł się on na moim biurku dzisiaj do piątej, i ani minuty później.

Asystentka Cabota zabrała magnetofon i aktówkę, po czym

szybko opuściła salę sądową. Roxanne wiedziała, że taki wniosek został już napisany i jest gotowy do doręczenia sekretarce sędziego.

Oczy MacArthura zniknęły pod ściągniętymi brwiami.

— Obrona została pouczona. Nie mam dziś cierpliwości do takich zagrywek.

Cabot ponownie zwrócił się do sędziów przysięgłych.

— Przepraszam za to, panie i panowie. Wiem, że dźwięk jest okropny, ale niestety musicie go wysłuchać. Chciałbym, aby państwo zrozumieli, że takie krzyki cierpiącego dziecka były częstym zjawiskiem w życiu Simone Duran.

Cabot przerwał na chwilę, aby spojrzeć na dokumenty leżące na stole. Roxanne zauważyła, że zainteresowanie członków ławy przysięgłych wzrosło. Kilku sędziów poprawiło się na krzesłach, przyjmując wygodniejszą pozycję, i zaczęło przysłuchiwać się mowie obrońcy z rosnącą uwagą. Podekscytowany pomruk oczekiwania przetoczył się wśród tłumnie zgromadzonej publiczności. Do pewnego stopnia prowadzone przez Jacksona przesłuchania były dość przewidywalne, Merell była jedynym nieoczekiwanym świadkiem. Obrona Cabota zapowiadała nie tylko niespodzianki, ale i dramatyczne zwroty akcji oraz fajerwerki.

— Zapewne będą państwo zaskoczeni tym, że nie zamierzam podważać wszystkich dowodów oskarżenia. Obrona nie ma zamiaru negować faktu, iż Simone Duran zrobiła coś szalonego.

Jackson ponownie zerwał się na nogi.

— Zgłaszam sprzeciw wobec użycia słowa „szalony”, Wysoki Sądzie.

David westchnął i zgarbił się nieco, wyglądał przez to na lekko udręczonego.

— Proszę nie podnosić się z miejsca, panie Jackson — odparł sędzia. — Nie wiem, jakie zwyczaje panują w San Jose, ale tutaj prawnicy nie przerywają sobie nawzajem podczas wystąpień wstępnych. Wrzeszczące dzieci oczywiście stanowią wyjątek. — Sędzia sprawiał wrażenie, jakby był gotowy opuścić miejsce za pulpitem i stanąć do walki z Jacksonem twarzą w twarz.

— Ale, Wysoki Sądzie — zaczął Jackson — obrona przekręca stanowisko oskarżenia. Nikt ani razu nie wymienił słowa „szalony”.

Jackson zaczynał marudzić i niektórzy sędziowie przysięgli wyglądali na zniecierpliwionych. Nie nastąpiło jeszcze południe, ale w zamkniętym i dusznym pomieszczeniu dzień wydawał się długi, a oni najwyraźniej mieli już dość zgłaszanych sprzeciwów, bez względu na to, czy były one zasadne czy nie.

— Wiem, że są państwo już zmęczeni zasiadaniem na tych krzesłach dzień po dniu. Zapewne czasami trudno jest się skupić na zeznaniach ekspertów. Bywają nieco nużące. — Na twarzy Cabota pojawił się niezwykle przyjacielski uśmiech, a Roxanne zauważyła, że kilkoro sędziów go odwzajemniło. — Pozwolą państwo, że opowiem pewną historię.

— Sędzia niezbyt dobrze reaguje na fikcję, panie Cabot. Oby opowieść miała związek ze sprawą.

— Dobrze, Wysoki Sądzie, proszę mi tylko pozwolić na pewną swobodę.

— Proszę kontynuować.

— Studiowałem w Ohio. Uniwersytet Miami. Nazwa pochodzi od plemienia Indian, a nie miasta. Musiałem uczęszczać na zajęcia wychowania muzycznego. Nazywaliśmy je „bułką z masłem”. Podejrzewam, że nawet moja mała córeczka by je zaliczyła. Ale ja grałem w futbol amerykański i wtedy tylko to mnie tak naprawdę interesowało. Co gorsza, zajęcia odbywały się o wpół do ósmej rano i gdy profesor włączał Beethovena lub Haydna albo jeszcze coś innego, nie potrafiłem utrzymać otwartych oczu. Nie mówiąc już o odróżnianiu jednej melodii od drugiej. Ale miałem szczęście, ponieważ chodziłem wówczas z dziewczyną, która była dużo mądrzejsza ode mnie.

— Do rzeczy, panie Cabot.

— Moja dziewczyna powiedziała mi, na co powinienem zwracać uwagę, i wtedy muzyka nabrała dla mnie sensu. Umiejętność odpowiedniego słuchania pozwoliła mi się skoncentrować, dzięki czemu nie rejestrowałem jedynie

przypadkowych nut. W rezultacie udało mi się zaliczyć zajęcia. Panie i panowie, przez następnych kilka dni chciałbym, aby słuchali państwo w ten sam sposób. Zeznania, które państwo usłyszą, będą miały większy sens, jeśli w myślach będą państwo poszukiwali odpowiedzi na pewne pytanie. Pytanie to jest kluczem do tego procesu oraz wydania odpowiedniego wyroku. Wiemy, że Simone Duran próbowała skrzywdzić swoje dzieci. Nie zamierzam tego negować. Najważniejsze jednak pytanie brzmi: Dlaczego? Dlaczego Simone Duran próbowała wyrządzić krzywdę córkom?

Obrońca podszedł do stołu obrony, ale nie usiadł.

Stojąc za plecami Simone, spytał wyraźnie:

— Dlaczego to zrobiła?

NASTĘPNEGO DNIA obrona zaczęła wzywać na świadków obiecanych ekspertów oraz autorytety naukowe, w tym doktora Omara, pediatrę Olivii, który potwierdził, iż cierpiała ona na niezwykle ostrą postać refluksu żołądkowo-przełykowego i jedyne, co można było zrobić, to nosić ją na rękach i obdarzyć miłością do czasu, aż wyrośnie z tej choroby i przestanie płakać. Podczas zadawania pytań przez prokuratora eksperci z dziedziny psychiatrii ani razu nie zawahali się przed stwierdzeniem, że Simone cierpiała na psychozę poporodową w momencie usiłowania zabójstwa i w związku z tym nie była w stanie odróżnić dobra od zła.

Ostatnim ekspertem powołanym przez obronę była doktor Barbara Balch, dostojna, grubokoścista kobieta o błękitnych oczach i gładko zaczesanych siwych włosach. Zajęła miejsce dla świadków ze spokojną pewnością siebie, położyła torebkę na podłodze obok krzesła, wygładziła spódnicę, uniosła wzrok i była gotowa do przesłuchania. Powiedziała sędziom przysięgłym, że początkowo pracowała jako położnik, ale potem postanowiła się przekwalifikować i została psychiatrą specjalizującym się w syndromach poporodowych. Zdała sobie bowiem sprawę, że po narodzinach wyczekiwanych pociech wiele z jej pacjentek zamiast odczuwać szczęście, wpadało w głębokie przygnębienie.

— Odkryłam, panie Cabot, że mnóstwo kobiet rozpoczyna macierzyństwo z poczuciem, że zostały oszukane. Sam okres ciąży

jest niezwykłym wyzwaniem pod względem psychicznym, ale wówczas istnieje nadzieja, że pod koniec dziewiątego miesiąca pojawi się słodkie, cudowne dziecko, które wynagrodzi cały ten trud. Rzadko się mówi, że noworodki przeważnie nie są ani słodkie, ani cudowne. Chyba że śpią. A i wtedy budzą się z płaczem co dwie godziny, ponieważ są głodne. Nawet najlepiej zorganizowane gospodarstwo domowe zostaje wówczas przewrócone do góry nogami. I to dla kogo? Dla trzykilogramowego tyrana, który nieustannie płacze i nie pozwala rodzicom wyspać się dłużej niż godzina lub dwie pod rząd. Nawet w najbardziej egalitarnych domach to matka najbardziej odczuwa skutki tej tyranii. Pod względem hormonalnym nadal jest związana z dzieckiem. Gdy ono zaczyna płakać, jej hormony przechodzą w stan alarmowy.

Kobieta, która była właścicielką drukarni, wydawała się rozbawiona wystąpieniem doktor Balch, choć na jej twarzy malował się jednocześnie lekki smutek. Roxanne pamiętała z rozprawy, na której dokonano wyboru członków ławy przysięgłych, że miała ona czwórkę dorosłych już dzieci.

— Nagrany płacz, który odtworzył pan dla sędziów przysięgłych — kontynuowała doktor Balch — Simone słyszała każdego dnia i każdej nocy niemal zaraz po tym, jak mała Olivia przyjechała do domu ze szpitala. Co gorsza, zanim Olivia skończyła pół roku, Simone ponownie zaszła w ciążę. Stanowczo zbyt szybko.

— Dlaczego to tak bardzo skomplikowało sytuację? — zapytał Cabot.

— Nikt nie lubi odgłosu płaczu cierpiącego dziecka. To normalna reakcja. Ma ona podłoże psychiczne i emocjonalne. Dla Simone miała ona również podłoże fizyczne, ponieważ pomiędzy nią a Olivią nadal istniała więź o charakterze chemicznym.

Cabot poprosił o wyjaśnienie.

— Jak już wspomniałam, kobieta w ciąży przechodzi przez ustrojowe zmiany hormonalne. Ale większość ludzi nie zdaje sobie sprawy lub nie zwraca na to uwagi, że wszystkie główne organy —

serce, nerki, wątroba, układy wewnętrzne — muszą zmienić pozycję w organizmie kobiety, aby zrobić miejsce dla rozwijającego się płodu. Ciąża na zawsze zmienia ciało kobiety w sposób, który może okazać się niezwykle dotkliwy, i choć możliwe jest zajście w ciążę zaledwie kilka miesięcy po porodzie, nie jest to zbyt korzystne dla organizmu. W prymitywnych społeczeństwach, gdzie jest to normą, kobiety albo nie dożywają czterdziestki, albo do tego czasu starzeją się nieporównywalnie szybciej.

— A więc to zmiany fizyczne odpowiedzialne są za wystąpienie psychozy poporodowej?

— Początkowo nie. W pierwszej fazie pacjentka odczuwa jedynie lekką depresję. A ponieważ depresja poporodowa występuje tak często, że można uznać ją za powszechną dolegliwość, sytuację, w jakiej znalazła się Simone — zarówno pod względem fizycznym, jak i emocjonalnym — nazwałabym sztormem doskonałym. Od pierwszej ciąży Simone zmierzała ku katastrofie.

— Co ma pani na myśli, mówiąc o „katastrofie”, doktor Balch?

— Psychozę.

Doktor Balch wyjaśniła, że społeczeństwa nie zachęcają młodych matek do mówienia w otwarty sposób o swoich negatywnych odczuciach, dlatego też psychoza poporodowa niemal zawsze była ukrytym zjawiskiem, o którym się nie mówiło, dopóki nie doszło do tragedii.

— Wbrew powszechnej opinii występuje ona dosyć często. Szacuje się, że jeden bądź dwa przypadki na tysiąc zachorowań na depresję poporodową przekształca się w zaawansowaną psychozę.

— Ile dzieci rodzi się rocznie w naszym kraju, doktor Balch?

— Około czterech milionów.

Cabot spojrzał na przysięgłych.

— To wiele tysięcy potencjalnych depresji poporodowych. I na każdy tysiąc jedno bądź dwoje dzieci będzie miało matkę cierpiącą na psychozę?

Jackson wstał.

— Sprzeciw, Wysoki Sądzie. Te liczby mają charakter ogólny i doktor Balch nie przedstawiła żadnych naukowych statystyk, które potwierdzałyby jej słowa. Bez uzasadnienia...

— Doktor Balch jest ekspertem w tej dziedzinie. A jej statystyki opierają się na pracy z prawdziwymi matkami i dziećmi. Jeśli weźmiemy pod uwagę jedynie liczbę dzieci, które rocznie rodzą się w naszym kraju...

— Rozumiemy, do czego pan zmierza, panie Cabot — przerwał MacArthur. — Zezwalam na przyjęcie tych zeznań, ale od tej chwili proszę dać sobie spokój z matematyką.

— Pani doktor, skoro liczby te są tak ogromne, dlaczego częściej nie słyszymy o matkach mordujących swoje dzieci?

— Zarówno do mnie, jak i do moich kolegów z pracy często docierają takie doniesienia. Ale są to niesłychanie przykre historie i większość ludzi woli o nich nie wiedzieć. Każdego dnia dziewczęta, które ukrywały ciążę przed rodziną i przyjaciółmi, rodzą dzieci w bocznych uliczkach i pustostanach. Porzucają swoje dzieci w śmietnikach, autobusach lub pod kościołem, a potem wracają do szkoły. Każdego dnia niemowlęta są duszone i usuwane jak odpadki. Na każde doniesienie, które trafia do mediów, istnieje setka tych nieodkrytych, niezauważonych.

— To brzmi jak morderstwo, a nie psychoza.

— To jest morderstwo, ale wywołane poważnym stanem psychiatrycznym.

Na zewnątrz deszcz i wiatr na chwilę ucichły, jakby chciały uczcić śmierć tysięcy niechcianych dzieci.

— Wcześniej określiła pani stan Simone mianem sztormu doskonałego. Co miała pani wówczas na myśli?

— Depresja poporodowa może mieć charakter postępujący — odparła doktor Balch. — Pani Duran cierpiała na poważną depresję ze sporadycznymi przypadkami manii od okresu dojrzewania. Po urodzeniu pierwszej córki, Merell, objawy się nasiliły.

— Czym różniło się to od zwykłych zaburzeń nastroju?

— Podczas naszych rozmów pani Duran wyznała, że nigdy

nie wierzyła, że Merell jest jej dzieckiem. Przestała jednak o tym mówić, ponieważ mąż uważał, że jest z nią coś nie tak. Przez niemal rok cierpiała z powodu głębokiej depresji i z każdą kolejną ciążą — wliczając w to wiele poronień — jej stan się pogarszał. Jednak z klinicznego punktu widzenia ziarna psychozy zostały zasiane już w dzieciństwie.

— Sprzeciw, to spekulacje.

David Cabot zwrócił się do sędziego:

— Z uwagi na powołanie doktor Balch na świadka poznała ona bardzo szczegółowo historię życia mojej klientki.

— Oddalam. Ale chciałbym usłyszeć jakieś konkrety.

Doktor Balch odwróciła się na krześle i mówiła do sędziego:

— Przeprowadziłam szeroko zakrojone badania historii medycznej Simone Duran oraz kilkanaście rozmów z jej lekarzami, nauczycielami i członkami rodziny. Ponadto poddałam oskarżoną licznym testom, w tym standardowemu testowi na inteligencję, i porównałam ich wyniki z testami, które Simone okresowo przechodziła w okresie szkolnym. Okazało się, że osiągnęła ona wysoki wynik na skali, którą nazwałabym upośledzeniem umysłowym z osobowością graniczną. Poza tym Simone cierpi na zaburzenie koncentracji uwagi oraz poważne zaburzenia depresyjne z okresowo występującymi stanami maniakałnymi, megalomanią i narcyzmem. Z powodu wszystkich tych czynników rodzina chroniła Simone. Przez całe życie opiekowano się nią i chroniono. Nigdy nie nauczyła się brania odpowiedzialności za siebie ani za innych. Nauczyła się jedynie całkowitej bezradności.

Sędzia MacArthur popatrzył gniewnie na szepczącą publiczność. Roxanne czuła, jak wzrok tych ludzi pali jej plecy.

— Proszę to wyjaśnić, pani doktor — poprosił Cabot. — W jaki sposób osoba może nauczyć się bezradności?

— Zacznijmy od tego, że nie ma to związku z ilorazem inteligencji. Istnieje mnóstwo ludzi z IQ równym Simone Duran, którzy założyli rodziny i mają pracę. Jednym słowem, prowadzą odpowiedzialne i owocne życie podobne do innych obywateli.

Jednak z powodu szczególnych okoliczności, jakie zaszły w rodzinie Simone, osoby, które bardzo ją kochały, nie pozwalały jej wziąć na siebie odpowiedzialności. Myślały bowiem, że jej pomagają, ale tak naprawdę uczyły ją bezradności.

Niczym kartki książki przykłady bezradności Simone przewijały się teraz w umyśle Roxanne. Simone nie potrafiła złapać równowagi na rowerze, więc jeździła na kierownicy roweru prowadzonego przez Roxanne. Zapominała, jak ustawić swój telefon, więc Roxanne robiła to za nią. Zgubiła okulary, więc Roxanne przeczytała jej na głos niemal całą powieść *Jane Eyre* i pomogła napisać streszczenie książki. „Weź mnie na ręce, weź mnie na ręce”. W wieku sześciu lat Simone nie chciała przejść z domu na róg ulicy. Było łatwiej ją przenieść, niż wysłuchiwać jej jęczenia.

W ten czy inny sposób przez całe życie wyręczali Simone w jej obowiązkach.

Doktor Balch wyjaśniła, że w skrajnych przypadkach wyuczona bezradność charakteryzowała się ogromną pasywnością, uzależnieniem od innych, a także poczuciem niższości oraz bezsilności.

Najczęściej dotyczyła ona kobiet, które były maltretowane i nie potrafiły uciec przed swoim oprawcą.

— Ten syndrom dotyczy także Simone Duran, choć jej przypadek jest ekstremalny i dość wyjątkowy, a podłoże ma w okresie niemowlęcym. — Doktor Balch pochyliła się do przodu, uważnie dobierając słowa. — Dzieci uczą się różnych umiejętności metodą prób i błędów, aż w końcu odnoszą sukces. Simone rzadko miała ku temu okazję. Gdy dorosła, brakowało jej pewności, że jest w stanie zadbać o siebie oraz o swoje dzieci. Jako że przez całe życie traktowana była jako osoba bezradna, uwierzyła, że rzeczywiście taka jest. Aż w końcu dostrzegła tę samą bezradność — a przynajmniej tak jej się wydawało — u swoich córek. Z wyjątkiem Merell, której nie uważała za własne dziecko.

— Jak pani doszła do takich wniosków? Po przejrzeniu świadectw szkolnych? Dokumentacji medycznej? Na czym jeszcze

opiera pani swoją opinię?

— Od grudnia spotykałyśmy się dwa razy w tygodniu na dwugodzinne sesje.

— Czy po tak wielu godzinach konsultacji mogłaby pani powiedzieć sędziom przysięgłym, co wytrąciło Simone Duran z równowagi i popchnęło ku stanom psychotycznym?

— Oczywiście wpłynęło na to wiele czynników. W ciągu ośmiu lat urodziła czworo dzieci i przeżyła kilka poronień. Gdy dowiedziała się, że znowu jest w ciąży, i to z kolejną córką, załamała się. Lecz największym ciosem dla jej zdrowia psychicznego była rozmowa z mężem, podczas której usłyszała od niego, że zamierza zaprosić swoją siostrę, aby pomogła jej przy dzieciach i w prowadzeniu domu.

— Większość kobiet ucieszyłaby się z pomocy — zauważył Cabot.

— Ale to nie była wynajęta osoba, ktoś, kto pracował dla pieniędzy. Szwagierka zajęłaby jej miejsce, a to oznaczałoby koniec roli, z którą się identyfikowała. Przestałaby po prostu istnieć. W obliczu zbliżającej się zagłady Simone zupełnie oderwała się od rzeczywistości. W jej umyśle coś pękło.

— A czy podczas incydentu Simone Duran potrafiła odróżnić dobro od zła?

— Och, na pewno nie. Z całą pewnością nie była w stanie tego zrobić.

— PANI DOKTOR — zapytał Jackson — czy zwrot „w jej umyśle coś pękło” to termin kliniczny?

Uśmiechnęła się.

— Nie, ale na pewno opisuje obrazowo, co wtedy zaszło.

— Czy Simone Duran wiedziała, co robi, gdy w jej umyśle „coś pękło” i próbowała zamordować własne dzieci?

— Nie w takim sensie, jak pan czy ja.

— Ale wiedziała?

— Miała urojenia, panie Jackson.

— Ale wiedziała.

— Wiedziała, co robi, ale nie wiedziała, że czyni coś złego.

ROZDZIAŁ 17

Następnego ranka Cabot wezwał na świadka Simone.

Patrząc na siostrę, Roxanne czuła tak silną empatię, że zapomniała o sobie. Stała się Simone, która uniosła się z krzesła przy stole obrony i przeszła obok sędziów przysięgłych. Stała się tym, czym była w oczach innych — brzydkim kuriozum, dziwadłem, osobliwością. To Simone zajęła miejsce dla świadków, to ona mrugała zbyt często i oblizywała usta, ale Roxanne odczuwała wszystko na równi z nią. Była świadoma wyrazu swojej twarzy, każda jej część wydawała się ogromna i obrzydliwa, przyciągała spojrzenia innych, była wytykana. Żałowała, że nie ma na sobie ciemnej burki, pod którą mogłaby się schować.

— Simone, ostatnio urodziłaś dziecko, prawda?

— Tak.

— Będzie musiała pani mówić nieco głośniej — stwierdził sędzia.

— Tak.

— Urodziłaś córkę o imieniu Claire?

— Tak.

— Gdzie teraz przebywa Claire?

— W rodzinie zastępczej.

— Dlaczego tam się znalazła?

— Powiedziano mi, że w naszym domu panuje niezdrowa atmosfera.

Roxanne próbowała wyczytać coś z twarzy sędziów przysięgłych. Zawsze starała się to robić. Śnili jej się nawet w nocy. Właścicielka drukarni siedziała z głową przekrzywioną na jedną stronę. Czy to oznaczało, że jest zainteresowana osobą Simone i jej umysł był nadal otwarty? Mężczyzna siedzący obok wyglądał, jakby spał. Można było odnieść wrażenie, że według niego sprawa była już rozstrzygnięta.

— A gdzie przebywają twoje pozostałe córki?

— Z moim mężem. I szwagierką.
— Mówisz o Alicii?
— Tak.
— Gdzie teraz mieszkasz, Simone?
— Z mamą wynajmujemy mieszkanie.
— Widujesz dzieci?
Roxanne zauważyła, że w oczach siostry zebrały się łzy.
— Nie.
— Tęsknisz za nimi?
Simone zaczęła płakać.
— Myślałam, że postępuję dobrze. Nie chciałam, aby
wyrosły na takie osoby jak ja.
— A czy to byłoby takie złe? — zapytał ostrożnie Cabot. —
Jakie byłyby twoje córki, gdyby stały się takie jak ty?
— Bezradne — wymamrotała odpowiedź. — Uwięzione.
Bezużyteczne.
— Dlaczego tamtego dnia powiedziałaś bliźniaczkom, że
zabierasz je na przystań?
— Ponieważ tam właśnie chciałam jechać.
— Dlaczego nie wybrałaś jednego ze swoich samochodów?
W drugim garażu masz SUV-a porsche cayenne oraz mercedesa w
wersji sedan, prawda?
— Tamte samochody są... takie zwyczajne. I wyglądają
ponuro. Wiedziałam, że w camaro będzie wesoło.
— Jaki kolor ma camaro?
— Żółty.
— Czy często spędzałaś miło czas z dziewczynkami,
Simone?
— Nie.
— Nigdy nie zabierałaś ich do zoo albo na plażę?
— Nie sama.
— Dlaczego?
Wzruszyła ramionami. „Zachowuje się jak nastolatka” —
pomyślała Roxanne.
— Sama nie potrafiłam się nimi zaopiekować.

— Dlaczego?

— Nie wiem. Po prostu nie potrafiłam. To przekraczało moje możliwości.

— A mimo wszystko postanowiłaś pojechać z nimi sama na przystań? Co sprawiło, że zmieniłaś zdanie?

Brwi Simone zmarszczyły się w wyrazie irytacji. Roxanne bardzo dobrze знаła ten grymas. Oznaczał on, że jej siostra ma już dosyć odpowiadania na pytania.

— Chciałam znowu żeglować. Gdy żeglowałam, nie czułam się bezradna.

— Chciałaś wynająć żaglówkę?

Milczenie, które nastąpiło po pytaniu zadany przez Cabota, trwało tak długo, że wydawało się, iż Simone nie zamierza na nie odpowiedzieć.

— Chciałam zapisać się na kurs żeglowania, aby Johnny mógł zobaczyć, że potrafię coś robić. Że nie jestem bezużyteczna.

Roxanne poczuła napięcie w ciele siedzącego obok Johnny'ego. Pochyliła się nieco w tę stronę, opierając swoje ramię o jego. Uważała, aby gest ten nie rzucał się w oczy, by nawet para siedząca za nimi się nie zorientowała.

— Ale koniec końców nie dotarłaś na przystań. Dlaczego?

— To było zbyt trudne.

— Co masz na myśli, mówiąc „zbyt trudne”?

— Olivia cały czas płakała, a ja nie mogłam otworzyć sera w paskach.

Dłonie Simone wykręciły się na kolanach, jakby chciały otworzyć foliowe opakowanie.

— Nie potrafiłam niczego porządnie zrobić! To było zbyt skomplikowane. Na tylnym siedzeniu nie było pasów bezpieczeństwa, Olivia nie przestawała krzyczeć, a bliźniaczki ciągle zadawały jakieś pytania. Straciłam poczucie czasu.

Rozejrzała się wokoło, jakby musiała sobie przypomnieć, gdzie się znajduje. I już po chwili kontynuowała swoją opowieść, łapiąc z trudem powietrze między słowami. Tym razem mówiła do siebie, a nie do ławy przysięgłych. Ludzie zebrani w zatłoczonej

sali sądowej wydawali się porażeni; wokół panowała cisza, nie licząc odgłosów deszczu.

— Nie potrafiłam zebrać myśli. Próbowałam się skupić, ale w mojej głowie kłębiły się słowa, słowa, słowa. A moje serce bolało tak, jakby ktoś złapał je oburącz i ścisnął... Bliźniaczki nie chciały zrobić tego, o co je prosiłam, po prostu nie chciały, nie chciały... się uspokoić, chociaż na dwie minuty, abym mogła się zastanowić. Kochałam je, ale zachowywały się głupio, tak jak ja, i nic nie mogłam na to poradzić. Co miałam zrobić?

Roxanne zastanawiała się, czy Simone zdawała sobie sprawę, że po jej bladych policzkach płyną łzy. Jedna z emerytek zasiadających w ławie przysięgłych wyjęła chusteczkę z torebki i dyskretnie otarła nią oczy.

— Co wydarzyło się potem, Simone? — Jak na tak potężnego mężczyznę, David Cabot miał zadziwiająco delikatny głos.

— Usiadłam na przednim siedzeniu i zamknęłam drzwi. W jednej chwili mętlik w głowie zniknął. — Spojrzała na Davida szeroko otwartymi oczami. — Wiedziałam, co powinnam zrobić. Po prostu wiedziałam.

CLARK JACKSON zerwał się ze swojego miejsca przy stole oskarżenia i ruszył w kierunku miejsca dla świadków. Z takim zapałem chciał się zabrać do pracy, że niemal zderzył się z Davidem Cabotem, który wracał do swojego biurka. Prokurator zatrzymał się w połowie drogi między Simone a ławą przysięgłych i stanął z oskarżoną twarzą w twarz, niczym rzecznik dwunastu osób, które siedziały za jego plecami. Nic nie mówił. Patrzył tylko na Simone, jakby była jakimś okazem. Roxanne nie widziała wyrazu jego twarzy, ale mogła go sobie wyobrazić z taką dokładnością, jakby stała tuż przed nim.

— Czy to prawda, pani Duran, że powiedziała pani córkom, że zabiera je pani na przystań, ponieważ chciała pani ukryć przed nimi prawdę? Ponieważ od samego początku planowała pani je zagazować? — Jackson strzelił palcami. — Aha, no tak, zapomniałem! Była pani bezradna, prawda? Robiła pani to, co

mówił głos...

— Sprzeciw — wtrącił Cabot. — Nękanie świadka, Wysoki Sądzie.

— Podtrzymuję. — Sędzia spojrział gniewnie na prokuratora znad swoich wąskich okularów. — Panie Jackson, to był długi dzień i moja cierpliwość jest na wyczerpaniu. Proszę nie wystawiać jej na próbę.

— Przepraszam, Wysoki Sądzie. — Zanim ponownie zaczął, przez chwilę przechadzał się po sali. — A więc usłyszała pani głos...

— Przestań tak mówić! — Simone wstała, a jej twarz była purpurowa. — Nie słyszałam żadnego głosu w głowie. Po prostu wiedziałam, co powinnam robić.

— Proszę usiąść, pani Duran — powiedział sędzia.

— Jeśli nie słyszała pani żadnego głosu, pani Duran, skąd więc się wzięła ta rzekoma wiedza? Czy usłyszała pani grzmot? A może na niebie pojawiła się błyskawica?

Cabot powiedział Roxanne, że pozwoli prokuratorowi samemu kręcić na siebie bicz. Nazwał Jacksona buldogiem, który naciska zbyt mocno, jeśli ktoś mu na to pozwala. Dzięki niemu Simone może sprawić wrażenie jeszcze bardziej nieporadnej i tym samym wzbudzić więcej litości, niż zdołałby wywołać Cabot.

— Czy pani zdaniem to Bóg z panią rozmawiał? — zapytał Jackson.

Simone zakryła uszy dłońmi.

— Nikt nic nie mówił. Nie słyszałam żadnych głosów. Po prostu wiedziałam.

Jackson zgarbił się, jakby przesłuchiwanie Simone bardzo go wyczerpało. Kręcąc głową, wrócił do biurka oskarżenia.

„Skończył” — pomyślała Roxanne. Była zdumiona, ale poczuła ulgę.

Nagle jednak prokurator zatrzymał się i odwrócił.

— Pani Duran, w lipcu w pani domu wydarzyło się coś, co sprawiło, że pani córka Merell wybrała numer alarmowy. Czy mogłaby pani wyjaśnić sędziom przysięgłym, co zaszło tamtego

dnia?

— Merell już o tym opowiadała.

— Ale teraz chciałbym usłyszeć pani wersję.

— Byłam w basenie razem z Olivią. Zaczęła się wykręcać i wypadła mi z rąk. — Odwróciła się lekko, tak aby zwracać się bezpośrednio do ławy przysięgłych. Jej głos brzmiał teraz pewnie, nie wydawała się już bezradna i skonsternowana. — Merell stała na schodkach, nie widziała dokładnie, co się stało. Zadzwoiła na policję, aby zwrócić na siebie uwagę.

Jej zeznania były zbyt wyuczone.

— Merell zawsze lubi być w centrum uwagi.

PIERWSZA FALA BURZOWA przesunęła się na wschód. Deszcz nadal padał co jakiś czas, ale przez zaparowane okna sali sądowej Roxanne dostrzegła prześwity błękitnego nieba oraz sporadyczne promienie słońca. Zapowiadano dalsze opady, ale na tę chwilę świat poza salą sądową wydawał się piękniejszy niż przez ostatnie kilka dni. Jednak promienie słoneczne i błękitne niebo nie były w stanie przewyciężyć marazmu oraz ogólnego zmęczenia, jaki ogarnął uczestników procesu pod koniec drugiego tygodnia, kiedy na świadka wezwano Johnny'ego.

Gdy zajął miejsce i spojrzał na publiczność, jego oczy wydawały się pogrążone w głębokich sińcach wywołanych znużeniem. Jednak dla Roxanne najbardziej znamienne było to, że z twarzy szwagra zniknął uśmiech. Oto Johnny pozbawiony blasku, ambicji i uroku, oto jego prawdziwe oblicze.

— Panie Duran — zaczął Cabot — poznał pan Simone, gdy miała osiemnaście lat. Jaka wówczas była?

— Piękna. Kobieca.

— Co ma pan na myśli, mówiąc „kobieca”?

— Nie była agresywna ani arogancka. Nie wyrażała zbyt często swoich opinii.

— I panu się to podobało.

— Jestem tradycjonalistą. Lubię, gdy kobieta zachowuje się jak na kobietę przystało. — Johnny mówił bez emocji. — Pozwoliła mi się o siebie zatroszczyć, a gdy mówiłem, słuchała

mnie. Pomiędzy nami nigdy nie było żadnej rywalizacji.

— Potrzebowała pana.

— Można tak powiedzieć.

— Kiedy po raz pierwszy zorientował się pan, że pani Duran przejawia skłonności depresyjne?

— Któregoś dnia, jeszcze zanim się pobraliśmy, jej ojczym powiedział, że ma pewne... okresy. Nie użył jednak słowa „depresja”. Powiedział też, że Simone ma delikatne usposobienie i zbyt dobrze nie radzi sobie ze stresem.

— Jaka była pana reakcja?

— Chciałem się nią zaopiekować.

Roxanne usłyszała nutę agresji w głosie szwagra.

— Kiedy zdał pan sobie sprawę, że nie chodzi jedynie o delikatne usposobienie czy też wrażliwość?

Johnny spojrział na Simone wzrokiem, w którym Roxanne zdawała się dostrzegać czułość.

— Miała pewne dziwactwa.

— Może pan nam podać jakiś przykład?

— Nigdy nie nosiła sandałów ani nie chodziła boso.

Powiedziała mi, że nie lubi, gdy ludzie patrzą na jej stopy.

— Czy z jej stopami było coś nie tak?

— Nie, są normalne. Kiedyś złamała palec i po tym wydarzeniu odstawał nieco pod dziwnym kątem, ale tego nie było prawie widać. Simone twierdziła jednak, że on do niej nie należy. Była przekonana, że lekarz przyszył w miejsce złamanego palca palec innej osoby.

— Co pan myślał, gdy słyszał pan takie rzeczy?

— Myślałem, że żartuje.

— Co sprawiło, że zmienił pan zdanie?

— Po ślubie zawsze nosiła skarpetę na prawej stopie. Nawet w łóżku. Cały czas. Wstydziła się tego małego palca.

Kobieta siedząca na prawo od Roxanne szepnęła coś mężczyźnie obok. Wokół słychać było szepty innych.

„Biorą Simone za wariatkę” — pomyślała Roxanne.
„Świetnie”.

— Czy istniały inne „dziwactwa”?

— Przed urodzeniem Merell lekarz, pielęgniarka, a nawet technik przeprowadzający badanie USG zapewniali nas, że urodzi się chłopiec. Gdy okazało się, że na świat przyszła dziewczynka, Simone wbiła sobie do głowy, że Merell nie jest naszym dzieckiem. Zachowywała się tak samo, jak w przypadku palca. Początkowo myślałem, że nie mówi poważnie. Ale nie chciała dotknąć Merell. Córka leżała cały dzień w łóżeczku, więc przyjechała moja mama, aby się nią zająć. Po jakimś czasie wydawało mi się, że doszła do siebie, i zaczęła nieustannie powtarzać, że następnym razem będzie dobrze.

— Następnym razem? Co miała na myśli?

— Oboje chcieliśmy mieć syna.

— Ile razy pańska żona poroniła?

— Przynajmniej cztery razy. Może pięć.

— To sporo, prawda? Czy to były poronienia we wczesnej fazie ciąży?

Johnny potarł czoło.

— Do jednego doszło na nieco bardziej zaawansowanym etapie i Simone musiała udać się do szpitala. Pielęgniarka powiedziała jej wówczas, że to był chłopiec. Dopiero po kilku miesiącach Simone otrząsnęła się po tamtym poronieniu.

— Co się wydarzyło po narodzinach bliźniaczek?

— Podobnie jak w przypadku Merell nie chciała się nimi zajmować. Niemal całe dni spędzała w łóżku.

— Półtora roku później urodziła się Olivia. Cierpiała na dziecięcy refluks żołądkowo-przełykowy. Jak to się objawiało?

— Cały czas płakała. Zwłaszcza w nocy. Nikt nie mógł się wyspać.

— Co pan wtedy robił?

— Nosilem ją na rękach.

— Jak długo?

Johnny wzruszył ramionami.

— Nie wiem. Przez wiele godzin. Z jednego końca holu na drugi. Czasami przysypiałem, ale szedłem dalej.

— Czy Simone także nosiła Olivię?

— Na początku próbowała. Ale potem zaczynała płakać razem z Olivią. Czasami schodziłem na dół i budziłem nianię, ale ona przecież musiała przez cały dzień zajmować się Simone i dziećmi... Mnie było łatwiej.

— Panie Duran, czy to właśnie pan słyszał?

Asystentka Cabota włączyła nagranie i salę sądową wypełnił płacz dziecka. Johnny się wzdrygnął, a Roxanne odruchowo zakryła uszy dłońmi.

— No dobrze, mecenasie! — ryknął sędzia. —

Powiedziałem, że może pan włączyć to na dziesięć sekund. Na tym koniec! — Zaczął stukać młotkiem, po czym ogłosił hałaśliwej publiczności: — Jeśli będę musiał, każę opróżnić salę.

— Jak próbował pan pomóc żonie?

— Wynająłem nianię i gosposię, kupiłem domek, gdzie mogłaby odpoczywać. Zbudowałem mieszkanie dla jej matki, aby mogła przebywać w pobliżu. Przez jakiś czas zatrudniałem nawet osobistego kucharza. Gdy Simone była w ciąży z Olivią, w poniedziałek rano dostarczano te posiłki na cały tydzień. Nie było to jakieś niezdrowe jedzenie. Wręcz przeciwnie, posiłki składały się z mnóstwa warzyw, były pełne wartości odżywczych.

Johnny patrzył na Cabota, oczekując, że mu się sprzeciwi. Nagle zdał sobie sprawę, że w jego słowach słyhać postawę obronną. Odchylił się na krześle do tyłu, a jego głos załamał się od znużenia.

— Pozwalałem, aby przez cały dzień leżała w łóżku, nigdy nie miałem nic przeciwko. Kupiłem jej dwa nowe samochody, ponieważ myślałem, że w ten sposób zachęcę ją do wyjścia z domu. Kiedyś miała kilku przyjaciół. Ale...

— Ale co, panie Duran?

— Przypominała chodzącego ducha. Zombie. Nie zależało jej na niczym, nic nie robiła. Często, gdy wracałem do domu, zastawałem ją w piżamie. Nie wiedziała, która godzina. Na litość boską, nie chciała się nawet wykąpać.

— Czy wieczorem w przeddzień wypadku zagroził pan, że

sprowadzi do domu swoją siostrę Alicię?

— A co miałem zrobić? Odchodziłem już od zmysłów. Niania odeszła, a teściowa zajęta była jakimiś sprawami. Nie mogłem pozwolić, aby Simone była sama z dziećmi.

— Jak Simone zareagowała na ten pomysł?

— Ogarnęła ją panika. Nie lubiła mojej siostry.

— Dlaczego?

— Powiedziała, że jeśli Alicia przyjedzie, to już nigdy nie odejdzie.

Cabot odwrócił się do sędziów przysięgłych i zamilkł na chwilę, aby słowa Johnny'ego zapadły im w pamięć.

— Czy kiedykolwiek szukał pan pomocy dla żony?

— Rozmawiałem z jej lekarzem, moją matką i siostrami.

Wszyscy stwierdzili, że mnóstwo kobiet cierpi na depresję po poronieniach i po porodzie. Wszyscy mówili to samo: przejdzie jej.

— Jednak stan Simone się pogarszał. A mimo to nadal nie udał się pan do psychiatry ani do terapeuty. Dlaczego?

Johnny zaczął na przemian krzyżować i rozplatać nogi.

— Gdy dorastałem, naszych problemów nie wynosiliśmy poza grono rodzinne. Co innego, jeśli problem był natury medycznej. Ale ten... miał charakter osobisty.

— Czy obawiał się pan, że lekarz dodatkowo pogorszy sprawę?

— Tak.

— Panie Duran, chciałbym, aby wyjaśnił pan sędziom przysięgłym, w jaki sposób lekarz mógł pogorszyć pana sytuację rodzinną.

Minęła chwila.

Johnny odchrząknął.

— W przeszłości, gdy dochodziło do poronień, jakiś lekarz przepisywał jej tabletki.

— Czy po ich zażyciu nastrój żony się poprawiał?

— Nie jestem pewien.

— Pan koncentrował się na innej kwestii, prawda?

Johnny wpatrywał się w ścianę za publicznością.

Roxanne wiedziała, że nad drzwiami wisiał zegar. Podejrzewała, że Johnny obserwuje mijające sekundy.

— Wysoki Sądzie — powiedział Cabot — czy mógłby pan poinstruować pana Durana...

— Nie musi mnie pan instruować na żaden temat — powiedział, prostując się na krześle. — Powiem to. Nie jestem z tego dumny. Te tabletki sprawiały, że w łóżku stawała się oziębła. Nie podobało mi się to.

Kobieta siedząca za Roxanne wyszeptała coś, co brzmiało jak: „Bydlak”.

Cabot uprzedził rodzinę, że w sprawach dotyczących przemocy względem dzieci sędziowie przysięgli muszą kogoś obarczyć winą, ale nie musiał to być oskarżony. Potrzebowali winnego, więc rola kozła ofiarnego przypadła Johnny’emu.

— Czy kiedykolwiek myślał pan o tym, aby nie mieć więcej dzieci? O użyciu antykoncepcji?

— Chciałem mieć syna.

— Czy pani Duran sprzeciwiała się brakowi antykoncepcji?

— Nie.

— Była uległa? Posłuszna?

— Chyba można tak to określić.

— A pan nie chciał, aby to się zmieniło.

— Nie.

Johnny siedział przed ławą przysięgłych obnażony jak nigdy. Duma, która napawała go na myśl o majątku i wpływowych przyjaciółach, teraz wydawała się jedynie sposobem na zrekompensowanie głęboko ukrytej niepewności. Od tego dnia nie będzie już zaproszeń na golfa ani tenisa od znajomych z wysokich sfer, nie będzie już miejsc zarezerwowanych przy stole burmistrza, koniec z telefonami do komendanta policji. Johnny odpowiedział na pytania Davida Cabota z niezachwianą szczerością, sprawił tym samym, że sędziowie przysięgli — a także prasa i opinia publiczna — będą pogardzać nim zamiast Simone.

Cabot usiadł.

— Nie mam już więcej pytań, Wysoki Sądzie.

PODCZAS PRZESŁUCHANIA ŚWIADKA OBRONY
Clark Jackson ponownie wrócił do wydarzeń poprzedzających telefon na policję.

— Próba utopienia pana najmłodszej córki, Olivii.

— Sprzeciw, Wysoki Sądzie! Raporty z tego zgłoszenia zostały włączone do materiału dowodowego. Nie ma w nich mowy o próbie utopienia. Prokuratura próbuje wprowadzić sędziów przysięgłych w błąd co do wydarzeń z tamtego dnia.

— Podtrzymuję. Sędziowie przysięgli proszeni są o zignorowanie ostatniego pytania pana Jacksona.

— Ile razy musi pan to usłyszeć?! — wykrzyczał Johnny. — Merell wymyśliła tę historyjkę. Lubi być w centrum uwagi, lubi eksperymentować.

— Panie Duran, pana tam nie było. Nie widział więc pan, co naprawdę zaszło, prawda?

Johnny westchnął.

— Nie, nie było mnie.

— Czy Merell kocha matkę, panią Duran?

— Oczywiście. — Spojrzał na Simone. — Wszyscy ją kochamy.

— Czy rozmawiał pan z Merell o tym, co się wydarzy, jeśli jej mama zostanie uznana za winną?

— Nie.

— Zadam panu pytanie i chciałbym, aby odpowiedział pan na nie jako ojciec. Czy istnieje możliwość, że Merell skłamała, aby chronić matkę?

— Wysoki Sądzie — przerwał David Cabot — Merell Duran nie jest oskarżoną w tym procesie, a Johnny Duran nie został wezwany w charakterze eksperta.

— Zgadza się. — Sędzia MacArthur ściągnął okulary, przyjrzał się soczewkom i podał je asystentowi do wytarcia. — Mimo to pan Duran jest ojcem dziewczynki, więc dopuszczam pytanie.

— Panie Duran, czy Merell mogłaby skłamać przed sądem, jeśli uznałaby, że to pomoże jej matce uniknąć więzienia?

— Nie — odparł. — Oczywiście, że nie.

Jackson nawet nie drgnął, a potem spojrział na dwanaścioro mężczyzn i kobiet wchodzących w skład ławy przysięgłych, choć to, co powiedział, skierowane było do Johnny'ego:

— Może nie zna pan swojej córki tak dobrze, jak się panu wydaje.

ROZDZIAŁ 18

Sędzia MacArthur odroczył proces do poniedziałku rano. Na ten dzień zaplanowano mowy końcowe.

Roxanne wróciła prosto do domu i zamknęła drzwi na klucz. Przeprosiła Chowdera za to, że dziś nie będzie spaceru. Ty wrócił z pracy po zmroku, nagabywany przez dwóch dziennikarzy, którzy wyskoczyli z samochodów zaparkowanych przed ich domem. W sobotę udało im się uniknąć zamieszania, ponieważ wymknęli się wczesnym rankiem.

Pojechali w góry Laguna i w deszczu przemierzali szlak prowadzący do starej kopalni. Położyli się na trawie obok ścieżki i leżeli tak, pozwalając, aby obmył ich deszcz. W końcu jednak przemokli do suchej nitki i przemarzli do szpiku kości, więc śmiejąc się, przebiegli niemal kilometr dzielący ich od samochodu, aby się rozgrzać. W niedzielę Ty rozpałił ognisko i przyniósł z piekarni Theo's czekoladowe croissanty oraz egzemplarz „The New York Timesa”. Przeczytali każdą stronę z gazety leżącej pomiędzy nimi, nawet ogłoszenia ślubne, którym towarzyszyły pełne nadziei fotografie. Tamtego wieczoru oglądali kanał rozrywkowy i rozmawiali o wybrykach gwiazd, jakby byli parą, która nie ma poważniejszych problemów niż plotki z Hollywood.

Pomiędzy Roxanne a Tyem już dawno nie wybuchały kłótnie o Simone. Choć czuła się związana z siostrą i podczas procesu odczuwała czasami niezwykle przyływy empatii, przerażająca prawda ujawniona za sprawą zbrodni Simone przerwała bliską więź łączącą obie siostry. Nikt w rodzinie nie mógł już udawać, że obecność niemiłych ludzi w głowie Simone była błahym problemem. Bez względu na to, jak bardzo się starali, nie byli już w stanie się oszukiwać, że Simone była kolejną udręczoną matką; jedną z tych kobiet, które pchały przeładowane wózki w supermarkecie, wyciągały dzieci z samochodów lub próbowały je w nich usadzić.

Roxanne nie była w stanie już nic zrobić dla Simone. Mogła jedynie obdarzyć ją miłością i trwać przy niej. A mimo to nie czuła się całkowicie wolna, nie potrafiła pozbyć się poczucia winy. Była opiekunem siostry, ponieważ od dziewiątego roku życia do chwili, gdy poznała Elizabeth, wydawało jej się, że nie ma innego wyboru. Czuła się częściowo odpowiedzialna za to, co wydarzyło się w tamtym garażu. Świadomość ta przyprawiała ją o niespodziewany skurcz serca i była tak intensywna, że Roxanne miała problem z zaczerpnięciem oddechu. Nie powiedziała o tym lekarzowi. Nigdy nie skarżyła się z tego powodu Tyowi. Znała bowiem przyczynę swoich dolegliwości.

W poniedziałek Roxanne nie zarejestrowała zbyt wiele z występów końcowych Jacksona i Cabota. Czasami jakieś słowo lub intonacja przykuwały jej uwagę, ale słyszała na tyle dużo, siedząc od dwóch tygodni na tym samym miejscu i w tej samej sali, aby się zorientować, że żadne głośzenie, ani nawet najbardziej elokwentna mowa nie były w stanie uratować Simone.

Jednak słowa Davida pod koniec jego wystąpienia wreszcie nakłoniły ją do skupienia uwagi.

— Simone Duran nie słyszała głosów. Nie cierpiała z powodu halucynacji. Jednak w pewnym momencie tego upalnego wrześniowego dnia dopadły ją urojenia. Nagle ogarnęła ją pewność, że dziecko, które w sobie nosiła, a także bliźniaczki i Olivia, są — podobnie jak ona — skazane na bezradność oraz niesłuchanie nieszczęśliwe życie. „Wiedziała”, jak ponury los czeka jej córki, „wiedziała”, co powinna zrobić, aby temu zapobiec, „wiedziała”, że postępuje słusznie.

Roxanne wstrzymała oddech.

— To nie była kwestia rozsądku. Pomysł, który przyszedł jej do głowy, był okropny, ale nie mogła poddać go pod rozwagę, ponieważ zawładnął nią do tego stopnia, że nie była w stanie myśleć o niczym innym. Gdy przekreśliła kluczyk w stacyjce żółtego camaro, nie potrafiła odróżnić dobra od zła, więc zgodnie z naszym systemem prawnym jest osobą niewinną.

Sędzia MacArthur rzucił gniewne spojrzenie w kierunku

szepczącej publiczności i zaczął stukać młotkiem.

— Bez względu na to, jaką decyzję państwo podejmą, Simone Duran nie będzie wolna. Zwykle gdy ogłasza się wyrok uniewinniający, oskarżony może opuścić salę sądową bez oglądania się za siebie. Ta sprawa jest jednak inna. Jeśli uznają państwo, że Simone Duran jest niewinna z powodu niepoczytalności, zostanie niezwłocznie osadzona w szpitalu psychiatrycznym na oddziale zamkniętym. I zostanie tam do czasu, aż komisja lekarska uzna, że nie stanowi ona już zagrożenia ani dla siebie, ani dla innych. Panie i panowie, bądźmy szczerzy. To może się nigdy nie zdarzyć. Simone może przebywać w zamknięciu do końca życia.

Słowa Cabota złapały Roxanne za serce i sprawiły, że opadła na oparcie krzesła.

— Pozwolą więc państwo, że przypomnę pytanie, o którym mówiłem podczas mowy wstępnej. Dlaczego Simone Duran próbowała zabić siebie i córki? Prosiłem wówczas, aby poszukali państwo na nie odpowiedzi. Wydaje mi się, że już ją państwo znaleźli.

Cabot odsunął się od ławy przysięgłych. Po raz pierwszy Roxanne dostrzegła, jak bardzo ostatnie dwa tygodnie dały mu się we znaki. Na jego ściągniętej twarzy malowały się smutek oraz rezygnacja. Można było odnieść wrażenie, że Simone jest jego żoną, a on za chwilę ma usłyszeć wyrok.

— Simone Duran próbowała zabić córki, ponieważ według niej była to właściwa decyzja wypływająca z matczynej miłości.
— Cabot pozwolił, aby jego słowa zapadły wszystkim w pamięć.
— Zrobiła to, ponieważ w tamtym momencie była niepoczytalna.

SĘDZIOWIE PRZYSIĘGLI obradowali przez cztery dni. Roxanne otrzymała telefon z biura Davida Cabota w trakcie lekcji wychowania obywatelskiego. Przeszła na tył klasy i zadzwoniła do Tya. Nie było sensu silić się na dyskrecję. Wszyscy uczniowie w klasie odwrócili się w jej stronę i nasłuchiwali.

— Podjęli decyzję.

— Już jadę — odparł.

Zamknęła telefon i nacisnęła przycisk szkolnego intercomu, aby skontaktować się z dyrekcją. Uczniowie i pracownicy Gimnazjum Balboa czekali i przygotowywali się na tę chwilę. Sekretarka szkolna miała natychmiast wysłać kogoś na zastępstwo do klasy Roxanne.

Gdy Roxanne odwróciła się do uczniów, aby poinformować ich, że musi wyjść, zauważyła, że oczy wszystkich skierowane są na nią. Mogła tylko odwzajemnić ich spojrzenia, ponieważ w głowie czuła pustkę. Nie miała zamiaru udawać, że nic się nie dzieje. Zdaniem Elizabeth, dla uczniów Roxanne ten semestr był długą lekcją ukazującą sposób działania wymiaru sprawiedliwości. Oczywiście mieli swoje spostrzeżenia. Słyszała, jak na korytarzach szkolnych opowiadali się za winą lub uniewinnieniem Simone; widziała, jak gromadzili się wokół swoich stolików przed lekcjami, a gdy ona pojawiała się w pobliżu, nagle milkli. Niektórzy z nich wyrażali współczucie, ale ona nigdy nie ufała zapewnieniom o poparciu ze strony dzieci, których promocja z ósmej do dziewiątej klasy zależała od niej. Inni uczniowie — ci, jak podejrzewała, stanowili większość — darzyli Simone negatywnymi uczuciami. Byli na tyle młodzi, że identyfikowali się z bezbronnymi ofiarami niedoszłego morderstwa. W ostatnim dniu procesu jedna z uczennic stwierdziła:

— Lubię panią, pani Callahan, ale to, co zrobiła pani siostra, było złe. Musi iść do więzienia, ponieważ w przeciwnym wypadku inne matki zaczną zabijać swoje dzieci.

Gdy zabierała torebkę, płaszcz i parasolkę, usłyszała głos dochodzący z końca sali. To był Ryan.

— Powodzenia, pani Callahan.

Dziewczyna w pierwszym rzędzie uśmiechnęła się z wyższością.

— Taa, powodzenia.

Reszta klasy milczała. Przyszedł nauczyciel na zastępstwo, a gdy wychodziła, uczniowie odprowadzili ją wzrokiem.

W drodze do wyjścia zatrzymała się przy klasie Elizabeth. Stały razem na korytarzu, aby porozmawiać na osobności. Po

drugiej stronie uchylonych drzwi panowała grobowa cisza, która w normalnych okolicznościach oznaczałaby kłopoty w sali pełnej nastolatków, ale tym razem każde dziecko nasłuchiwało uważnie, o czym rozmawiały.

— Dasz sobie radę? — zapytała Elizabeth. — Chcesz, aby ktoś cię odwiózł? Jeśli taksówka jeszcze nie przyjechała...

— Sekretarka już ją wezwała. Stoi przed wejściem. Spotykam się z Tyem w sądzie.

Elizabeth przytuliła ją.

— Modłę się za ciebie, kochanie.

— To nie za mnie powinnaś się modlić, ale za Simone.

— Tak, za nią też.

ZNOWU ZACZEŁO PADAĆ i ruch uliczny w centrum miasta blokował się na każdym świetle. David Cabot obiecał Roxanne, że nie wejdą z Simone na salę sądową, dopóki nie zasiądzie razem z Johnnym wśród publiczności, ale jak długo mógł jeszcze zwlekać? Gdy od budynku sądu dzieliła ją już tylko przecznica, zapłaciła kierowcy, wyszła z taksówki i ruszyła biegiem, nie otwierając nawet parasola.

Odnalazła Tya wśród tłumu stojącego przed budynkiem sądu i razem weszli do środka. Usiedli obok Johnny'ego wśród publiczności, gdzie z trudem dało się zauważyć wolne miejsce. Gdy spojrzała w dół, zauważyła, że spodnie Johnny'ego są mokre do kolan, jakby brodził w wodzie, aby dotrzeć na czas do sądu. Złapała go za rękę i nie puszczała; drugą jej dłoń trzymał Ty.

Za swoimi plecami Roxanne usłyszała otwieranie drzwi oraz głosy dziennikarzy wykrzykujących różne pytania. Gdy drzwi zostały zamknięte, na sali sądowej zapadła cisza podobna do tej, jaka panowała w klasie Elizabeth. Odgłos kroków dwóch osób idących środkiem wypełnił pomieszczenie. Simone i David zatrzymali się przy Johnnym. Mężczyzna wstał, a Simone odruchowo wpadła mu w ramiona. Oboje nie wypowiedzieli ani słowa.

Roxanne zdała sobie wówczas sprawę, jak bardzo stęskniła się za siostrą. Myślami wróciła do chwil, gdy leżały na trawie w

ogródki przy domu. Wówczas po raz ostatni spędziły razem miło czas. Śmiały się z Shawna Huttona i rozmawiały o żeglowaniu. Może właśnie ta rozmowa sprowokowała fatalną w skutkach zmianę w sposobie myślenia Simone. Jej siostra wspominała wtedy latanie po wodzie, a potem wspięła się na drzewo i na kilka chwil przypomniała sobie, jak to jest być odważną i wolną.

— Kocham cię — powiedziała Roxanne, nie zważając na to, kto wśród zgromadzonej publiczności mógł ją usłyszeć.

Oczy młodszej siostry zaczerwieniły się, ale nie napłynęły do nich łzy, choć dawniej często się to zdarzało. Simone odwróciła się i poszła z Davidem Cabotem na przód sali, gdzie miała oczekiwać na wyrok. Roxanne złapała Tya za rękę i wstrzymała oddech.

Woźny poprosił o ciszę i powstanie. Następnie sędzia MacArthur wszedł na salę, toga wydeła się za jego plecami. Uderzył raz młotkiem i zanim usiadł, przemówił do osób zebranych na sali:

— Panie i panowie, za chwilę sędziowie przysięgli zajmą swoje miejsca i zostanie odczytany wyrok. Chciałbym teraz coś powiedzieć i proszę, aby państwo mnie wysłuchali. Wszyscy.

Z jakiegoś powodu jego włosy, brwi i wąsy wydawały się bardziej krzaczaste niż poprzednio.

— Rozumiem — zaczął — że przy takich sprawach emocje sięgają zenitu i bez względu na to, jaki zapadnie wyrok, znajdą się wśród państwa osoby, które nie będą z niego zadowolone. Proszę więc o zachowanie swojego zdania dla siebie. Sala sądowa to nie cyrk, a proces nie toczył się dla państwa rozrywki.

Chciała, aby sędzia MacArthur zamilkł, jednocześnie jednak miała nadzieję, że jego kazanie nigdy się nie skończy i nie będą musieli wysłuchiwać wyroku skazującego Simone.

— Poinstruowałem urzędników tego sądu, że osoby, które będą zachowywać się w sposób nieodpowiedni, nie opuszczą sali sądowej do momentu, aż ja nie udzielę na to zgody. Mam nadzieję, że to jasne, ponieważ nie życzę sobie nadużywania mojej cierpliwości. — Następnie zwrócił się do woźnego: — Proszę ich wezwać.

Sędziowie przysięgli weszli do sali w zwykłym porządku — osoby siedzące na końcu pojawiły się pierwsze. Roxanne przypatrywała się twarzy każdego sędziego, próbując zgadnąć, czy werdykt będzie brzmiał: niewinna z powodu niepoczytalności. Cabot zawsze używał skrótu NPN. Na ustach właścicielki drukarni pomadka już zniknęła, ale studentka zdążyła ponownie się pomalować. I do tego użyła jaskrawoczerwonej szminki. Emerytowany księgowy miał źle zapiętą marynarkę.

Wszyscy poza właścicielką drukarni usiedli. David spodziewał się, że to ona będzie pełniła funkcję przedstawiciela ławy przysięgłych. Był mądrym prawnikiem i bardzo dobrze bronił Simone. Płomyk nadziei pojawił się w sercu Roxanne.

— Czy sędziowie przysięgli ustalili werdykt? — zapytał sędzia MacArthur.

— Tak, Wysoki Sądzie. — Kobieta podała woźnemu zwiniętą kartkę papieru, a on przekazał ją sędziemu.

MacArthur przeczytał jej treść bez cienia emocji na twarzy i oddał ją z powrotem.

— Jak brzmi werdykt?

Przewodnicząca potarła usta wierzchem dłoni, zanim się odezwała.

— W sprawie o usiłowanie zabójstwa ława przysięgłych uznaje Simone Duran za niewinną z powodu niepoczytalności.

Roxanne krzyknęła i ukryła twarz w dłoniach. Johnny pobiegł w kierunku stołu obrony. Pomimo ostrzeżenia sędziego MacArthura wśród publiczności wybuchło ogromne zamieszanie.

ROZDZIAŁ 19

Sierpień, trzy lata później

Gdyby Roxanne poprosiła Tya o dotrzymanie towarzystwa, zgodziłby się. Ona jednak wolała jechać do szpitala św. Anny sama. A on wolał zostać w domu. Uwielbiał spędzać czas z ich synkiem Liamem, który miał półtora roku i jasne blond włosy, wyciągał grube robale spod kamieni i spał z różowym welurowym pajakiem.

Roxanne rozkoszowała się samotnością podczas tych kilku godzin poprzedzających spotkania z siostrą. Natomiast długa droga powrotna pozwalała jej uspokoić emocje i skupić się na własnej rodzinie. Nie zapominała oczywiście o Simone, ale spychała ją w dalsze obszary swojej świadomości, gdyż nie była już jej głównym zmartwieniem.

Roxanne wyliczyła, że przebyła krętą drogę prowadzącą do szpitala św. Anny trzydzieści trzy razy. A biorąc pod uwagę obecne tempo terapii Simone, istniało duże prawdopodobieństwo, że będzie musiała pokonać ją jeszcze wielokrotnie. Ostatnio zaczęła się zastanawiać, czy jej siostra kiedykolwiek wróci do rodziny.

Przez pierwsze kilka miesięcy pobytu w zakładzie zamkniętym Simone nie mogła przyjmować żadnych odwiedzających. Kiedy zniesiono ten zakaz, przekazała przez doktora Lennoksa wiadomość, że chciałyby się widzieć z siostrą. Ponowne spotkanie nie było tak niezręczne, jak się spodziewała Roxanne. Zgodnie z życzeniem Simone spędziły dwie godziny w szpitalnej świetlicy i grały w monopol. Roxanne pamiętała jeszcze wspólny wyjazd do domku nad jeziorem i była zdumiona, jak bardzo jej siostra przypominała swoim zachowaniem bliźniaczki:

skąpiła zabawkowych pieniędzy, piszczała z zadowolenia, gdy pionek Roxanne lądował na jednej z jej nieruchomości i łapczywie chwyciła dwieście dolarów za każdym razem, gdy mijała pole „Start”, jakby Roxanne chciała ją ograbić z tego, co gwarantowały zasady gry.

Przed każdą wizytą Roxanne widywała się z doktorem Lennoksem, psychiatrą siostry. Czasami miała wrażenie, że stał się on również jej lekarzem. Siedziała w jego gabinecie i jak zwykle na początku była spięta i obawiała się jego pytań. Dziś zaczęła od powiedzenia jej tego, co już wiedziała:

— Simone jest zła.

— Co pan powie?

— Mówi, że wszyscy zrujnowaliście jej życie.

W pierwszym odruchu Roxanne poczuła się urażona i przybrała postawę obronną, ale jej sprzeciw pozostał niezwerbalizowany, ponieważ nie potrafiła winić siostry za to, że ogarnął ją gniew. Doktor Balch zeznała coś, z czego Roxanne zdawała sobie już sprawę — oprócz Ellen, BJ-a i Johnny’ego, ona także zrobiła swoje w zduśzeniu jakichkolwiek okrucichów samodzielności, które mogła w sobie skrywać Simone. Zdaniem Roxanne, niedoścignione marzenie siostry o powrocie do żeglowania symbolizowało wszystkie główne i boczne drogi, których nie pozwolono jej odkryć; wycieczki i upadki, przed którymi chroniła ją rodzina; klęski, małe i duże, które były nieodłączną częścią procesu dorastania.

Liam zaczął chodzić w wieku dziesięciu miesięcy i od tamtego czasu upadł setki razy. Ty zachęcał go do biegania i wspinania się, lecz gdy upadał, Roxanne, słysząc jego płacz, miała ochotę wziąć go na ręce i zamknąć pod kloszem, gdzie nic złego nie mogłoby mu się stać. Mimo to całowała jego potłuczone kolano, naklejała plaster, gdy okazywał się niezbędny, i puszczała wolno. Czasami przychodziło jej to z ogromnym trudem.

JOHNNY ODWIEDZAŁ Simone tylko na jej zaproszenie, a więc niezbyt często. Pewnego razu przyjechał z okazji ich rocznicy, ale Simone nie chciała go widzieć. Siedział więc na

kamiennej ławce w ogrodzie dla odwiedzających i płakał z rozpaczy, jak nigdy dotąd. Tak wielu łez nie uronił nawet podczas procesu ani po ogłoszeniu werdyktu. Simone powiedziała, że go kocha, ale zdaniem doktora Lennoksa, mogła nigdy do niego nie wrócić. Obawiała się bowiem, że znowu wpadnie w wir uległości, bezradności i kontroli.

Doktor Lennox powiedział, że to samo tyczy się relacji pomiędzy Simone i Roxanne.

— Simone nie przestanie uciekać w bezsilność, dopóki ty nie zmienisz swojego podejścia.

Mówił miłym i cichym głosem, ale Roxanne odnosiła wrażenie, że lekarz ją krytykuje, więc puściła jego słowa mimo uszu i obserwowała ptaki latające wokół karmnika za oknem gabinetu. To interesujące i zarazem kłopotliwe, ale coś w tym szpitalu i doktorze Lennoksie wywoływało w niej upór.

Johnny nadal dużo pracował, ale każdą wolną chwilę spędzał ze swoimi pięcioma córeczkami. Olivia i Claire były cudownymi małymi stworzonkami. Istniało między nimi tak duże podobieństwo pod względem wyglądu i słodkiego usposobienia, że można je było wziąć za bliźniaczki. Victoria i Valli pamiętały zajście w garażu, ale ich pamięć była krótka, a wspomnienia niespójne. Wkrótce się zatrą i rozejdą niczym nici rzadkiego płótna.

Roxanne uważała, że kłamiąc w obronie matki, Merell poświęciła swoją niewinność. Teraz była już prawie nastolatką — bystrą, szaloną i nieprzewidywalną dziewczyną, a do tego niesamowicie wrażliwą. Nauczyciele skarżyli się na jej brak motywacji, skrytość i niesłowność. Chcieli, aby się z kimś zaprzyjaźniła. Johnny zastanawiał się nad wysłaniem Merell do szkoły z internatem w Monterey, ale Ty i Roxanne odwiedli go od tego pomysłu i zaproponowali, aby na jakiś czas zamieszkała z nimi. Mieli przecież przestronne drugie piętro, na którym znajdował się pokój gościnny z pięknymi oknami.

Dwa lata temu, gdy Johnny ogłosił plany wybudowania nowego domu na plaży w Leucadii, Ellen postanowiła zostać w

mieście i kupić segment w zabudowie szeregowej w Little Italy w pobliżu swojego biura, gdzie zawsze było coś do zrobienia. Miała liczne grono znajomych oraz niewielkie, choć dobrze prosperujące biuro pośrednictwa handlu nieruchomościami, które specjalizowało się w domach uważanych za trudne do sprzedaży.

— SIMONE NADAL czuje się tak samo bezradna, jak pierwszego dnia pobytu w szpitalu — poinformował Roxanne doktor Lennox. — Czuje się ograniczana i dlatego jest zła. Jest jak mała dziewczynka uwięziona w ciele kobiety i wie, że dopóki nie urośnie, nie będzie mogła opuścić szpitala.

Choć Lennox był wybitnym lekarzem i bardzo profesjonalnie podchodził do swoich obowiązków, rozmawiał z Roxanne w swobodny sposób, jak przyjaciel z przyjacielem, i posługiwał się językiem, który oboje rozumieli.

— Była pani dobrą siostrą, ale teraz nadszedł czas zrobić kolejny krok. — Doktor Lennox pochylił się do przodu nad swoim biurkiem, skupiając na Roxanne szare oczy. — Nie mogę zdradzić, co się dzieje podczas terapii pani siostry. Powiem tylko, że jest bardzo dzielna. I zdaje sobie sprawę, że nie będzie mogła wrócić do domu bez pani pomocy.

Poczuła nagły przypływ złości.

— Pan twierdzi, że to ode mnie zależy. Znowu? — Lubiła Lennoksa i mu ufała, ale czasami miała już dość tego całego reżimu terapeutycznego. — Dlaczego to zawsze ode mnie wszystko zależy? To ona wsadziła dziewczynki do samochodu i przekreśliła kluczyk w stacyjce.

— Ona pani ufa. To panią kocha najbardziej na świecie. Może pani jej pomóc, Roxanne. Jeśli będzie pani chciała.

Lennox zbyt wiele wiedział o Roxanne — była zbyt szczerą, dając mu w ten sposób przewagę. Podczas trzydziestu trzech wizyt w szpitalu św. Anny rozmawiała o domu w Logan Hills, o barze Królewski Poker, o dniu, w którym ogłuchła, oraz o wyjeździe do babci i powrocie domu. Teraz żałowała każdego szczerego słowa, które wypowiedziała w jego obecności.

— Dlaczego pan mi to robi? Dlaczego pan mnie

wykorzystuje? Czy już nie dałam z siebie wystarczająco dużo?

Doktor Lennox pochylił głowę, jakby chciał pokazać jej, że się z nią zgadza.

— Co czułaś, gdy wróciłaś z Daneville i okazało się, że masz się zaopiekować siostrą?

„A jak myślisz?”

— To bez znaczenia. — Ellen już raz ją porzuciła i zrobi to po raz kolejny, jeśli Roxanne nie zrobi tego, co jej każą.

— Dlaczego to jest bez znaczenia?

Chciała wstać i odejść, chciała wrócić do San Diego i zostawić za sobą ten cholerny szpital, Lennoksa i siostrę...

— Jak się teraz czujesz? W tej chwili?

— Oczywiście pragnę, aby doszła do siebie.

— To nie jest uczucie.

„No dobrze — nienawidzę jej i ciebie. Czy to są uczucia? Chcę mieć siostrę z głowy. I chcę wrócić do domu, do mojego męża i synka, i nigdy nie wracać do tego miejsca. Czy taka dawka emocji panu wystarczy?”

— Roxanne, co by się stało, gdybyś powiedziała swojej siostrze, jak się wtedy czułaś, jak się nadal czujesz? Jak się czułaś przez cały ten czas?

— Ona wie, że ją kocham, doktorze Lennox.

— Nie mówię o miłości.

Za oknem na tle błękitnego nieba jaskrawo upierzony żółty ptak schylił głowę do karmnika zwisającego z okapu dachu.

PO SPOTKANIU z doktorem Lennoksem Roxanne znalazła się w holu szpitala i patrzyła, jak Simone podchodzi do niej ubrana w niebieskie dzinsy i koszulkę na ramiączkach. Jej delikatna uroda zniknęła. Straciła ponad dziesięć kilogramów i w cienkim topie jej obojczyki odznaczały się niczym naszyjnik z kości. Przez ostatnie lata oczy Simone stały się jeszcze większe i ciemniejsze.

Zdominowały jej twarz, sprawiając, że wyglądała teraz surowo i nieatrakcyjnie. Jej włosy — nadal nie znosiła ich myć — zwisały ponuro i bez życia. Doktor Lennox wierzył, że gdzieś w labiryncie historii Simone musi istnieć wytłumaczenie dla jej awersji do

słodkiej wody.

— Przejdziemy się? — zapytała Roxanne, biorąc Simone pod ramię.

Szpital św. Anny znajdował się w budynku przypominającym hacjendę z grubymi betonowymi ścianami, pokrytym dachówką dachem oraz ogrodem, w którym rosła roślinność pustynna. W lecie temperatura zwykle wynosiła trzydzieści pięć stopni lub więcej, dlatego też większość pacjentów, odwiedzających oraz pracowników szpitala wolała pozostać wewnątrz budynku, gdzie klimatyzacja utrzymywała w pomieszczeniach temperaturę dwudziestu pięciu stopni. Simone i Roxanne wyszły jednak na dwór, ponieważ mogły się tam cieszyć poczuciem prawdziwej prywatności. Spacerowały zwirową ścieżką, mijając kaktusy zwane „ogonem bobra” oraz Ocotillo, aż dotarły na szczyt wzgórza św. Anny, gdzie zwykle wiała lekka bryza, a pod wiatą można było znaleźć odrobinę cienia. Z wierzchołka rozciągał się widok na jałowe wzgórza oraz pasma górskie, gdzie jedno z indiańskich plemion zbudowało setki wiatraków.

Wiatr zwał włosy Simone z jej karku, ukazując kołnierzyk piegów, pozostałość po dawnym poparzeniu słonecznym.

— Pamiętasz wiatraczki, którymi bawiłyśmy się w dzieciństwie? — zapytała Simone.

Pewnego dnia, jeszcze zanim Roxanne zaczęła chodzić do szkoły, opiekunka pani Edison zabrała ją na festyn w szkole podstawowej Logan Hills. Tam poznała panią Enos, nauczycielkę pierwszej klasy o brązowej skórze i rudych włosach, od której dostała srebrny wiatraczek. W drodze do babci wystawiła go przez okno buicka i patrzyła, jak się obraca niczym młyn.

Mogła opowiedzieć o tym Simone, mogła powiedzieć jej, jak bardzo polubiła tę nauczycielkę i jak bardzo się bała, gdy musiała opuścić dom i znalazła się pod opieką babci, o której istnieniu nawet nie miała pojęcia. Zamiast tego zaczęły rozmawiać o matce.

— Jak ona się czuje? — zapytała Simone.

Roxanne przechyliła głowę najpierw na jedną, później na drugą stronę i na twarzach obu sióstr pojawił się uśmiech. Doktor

Lennox powiedział pewnego razu, że posiadanie siostry pomagało znieść fakt posiadania matki.

— Jest szczęśliwa — odparła Roxanne. — Interes się kręci jak nigdy. Zbija kokosy.

— Chyba już przestała tęsknić za BJ-em.

Nigdy nie przyznała się Simone, że po jej zaręczynach z Johnnym otrzymała od BJ-a pieniądze jako podziękowanie. Swoje życie — zarówno osobiste, jak i zawodowe — trzymała w tajemnicy przed siostrą, ponieważ dobra siostra musi chronić rodzeństwo, nie może się denerwować, nie może okazywać niezadowolenia, bezradności ani konsternacji; nigdy nie powinna żywić do nikogo urazy, buntować się ani wyrażać niechęci. Dobra siostra powinna być dobrze zorganizowana i wiedzieć, jak kontrolować sytuację.

W myślach wróciła do słów doktora Lennoksa: „W świecie Simone liczyły się jedynie jej uczucia. Pod tym względem nadal zachowywała się jak dziecko. I jak na razie nim pozostanie. Opowiedz jej historię swojego życia. Niech dowie się, jak to jest być tobą. Pozwól jej dorosnąć”.

Nigdy nie opowiedziała Simone o domu w Logan Hills i o nocy, gdy niemal wywołała pożar. Nie mówiła jej o wdrapywaniu się na taboret, aby umyć naczynia, lub przykrywaniu matki kocem, gdy ta, pijana, traciła przytomność na kanapie. Simone nie wiedziała, że ich matka uderzyła kiedyś Roxanne gumowym kłapką w ucho, powodując krwawienie. Nie zdawała sobie też sprawy, że jej starsza siostra wróciła od babci, ponieważ Ellen obawiała się, że młodszej córce również może zrobić krzywdę.

Doktor Lennox zapytał ją pewnego dnia:

— Zrezygnowałaś ze swojego dzieciństwa, aby chronić siostrę. Co w związku z tym czujesz?

Krew wpływała i wypływała z jej serca, zastawki otwierały się i zamykały, a jej puls wyznaczał mijający czas. „Opuści mnie. Zbije mnie”. Wyobrażała sobie, że jej serce kurczy się, a potem eksploduje; krew i kości lecą we wszystkich kierunkach.

„Ktoś będzie trzymał głowę mojej małej siostry pod wodą

podczas kąpieli, aż przestanie płakać, albo złapie ją za piętę i wrzuci do basenu”.

Oto co powiedział jej doktor Lennox:

— Simone została wychowana w poczuciu bezradności, a ty w poczuciu strachu. Musiałaś uważać i unikać zagrożeń. Ale teraz nie musisz się już bać.

Jej serce obijało się o celę złożoną z żeber.

Roxanne zapytała Simone, czy nasmarowała się kremem do opalania. Powiedziała też siostrze, że jest zbyt szczupła.

Opiekunka i podopieczna, pomocnik i osoba bezbronna. Obie przerażone życiem. Obie uwięzione w potrzasku swoich ról.

Wzdłuż łańcucha górskiego widać było obracające się wiatraki; nad nimi żółty ptak wzbił się w powietrze, żeglował na niebie niczym kecz po błękitnej wodzie.

Roxanne siedziała na wzgórzu św. Anny w towarzystwie siostry. Jedynej, jaką kiedykolwiek będzie miała. Wiedziała, że trzyma klucze do ich przeszłości, ale mogą one też otworzyć drzwi do ich przyszłości.

— Gdy byłam mała, młodsza niż bliźniaczki, po drugiej stronie ulicy, na której mieszkaliśmy, znajdował się bar Królewski Poker. Mama i tata chodzili tam wieczorami i zostawiali mnie samą. — Pociągnęła Simone na ławkę obok siebie i zmusiła się do mówienia. — Pewnego dnia omal nie podpaliłam domu.

Zerwał się wiatr, rozwiewając ich włosy. Roxanne poczuła pewną lekkość. Jeszcze jeden podmuch powietrza, a uniesie się w powietrzu i obie z siostrą rozwiną żagle.

— Tej samej nocy mama zbiła mnie gumowym klapkiem. Dlatego nie słyszę na lewe ucho.

Mówiła, a Simone słuchała.

LIST OD BABCI

Roxanne opuściła ranczo babci w wieku dziewięciu lat. Od tamtej pory pisały do siebie regularnie, aż do śmierci babci, siedem lat później. Jakiś czas po wydarzeniach opisanych w książce Ellen Vadis natknęła się na ukryte stare listy, wśród których znajdował się nieotwarty list od jej matki adresowany do Roxanne. Napisała go tuż przed śmiercią, gdy Roxanne była jeszcze nastolatką.

Moja Kochana,

gdy po raz pierwszy Cię zobaczyłam, nie mogłam uwierzyć, że w dziecku może kryć się tak ogromna determinacja. Byłaś małą, chudą dziewczynką z długimi nogami i kościstymi kolanami, lecz pomimo smutnych oczu była od Ciebie taka nadzieja, jakbyś od najmłodszych lat postanowiła optymistycznie patrzeć na świat bez względu na to, co się wydarzy. Wtedy martwiłam się jedynie tym, że w gumowych klapkach wyglądałaś jak sierota, a Twoje brązowe skołtunione włosy przypominały gniazdo szczurów. Miałaś zaniedbanie wypisane na czole i gdy to widziałam, serce mi pękało. Prawdą jest, że początkowo nie chciałam się Tobą zająć i byłam zła, że Twoja matka miała czelność podrzucić Cię na mój ganek, uprzedzając mnie zaledwie kilka dni wcześniej. Umieściłam Cię w jej dawnym pokoju i przez pierwszy tydzień odchodziłaś od okien jedynie na czas posiłków.

Minął miesiąc od Twojego przyjazdu. Pewnego dnia przygotowałam kolację składającą się z pieczonego kurczaka, tłuczonych ziemniaków i sosu pieczeniowego, a Ty miałaś za zadanie obrać groszek. Wcześniej jedyny groszek, jaki widziałas, pochodził z foliowej torebki. Nie mogłaś się nadziwić, jakie to cudowne, że jest schowany we własnych łupinkach. Powiedziałam Ci wówczas, że Bóg dba o dobre rzeczy na tym świecie. Zapytałaś wtedy, jak wygląda Bóg, i tak się wszystko zaczęło — trzy lata

niekończących się pytań, na które musiałam poszukiwać odpowiedzi. Cieszyło mnie to jednak, ponieważ wiedziałam, że dziecko, które zadaje pytania, jest bystrym dzieckiem. A im więcej ich zadaje, tym lepiej.

Kiedyś na myśl, że Ellen odjechała i zostawiła Cię, nie oglądając się za siebie, ogarniała mnie wściekłość; mimo to Ty nadal uważałaś ją za kogoś wyjątkowego. Twoja matka zawsze była samolubna. Stawiała swoje potrzeby na pierwszym miejscu. Wydawało mi się, że było to spowodowane odejściem Twojego dziadka. Kochała go nad życie. Wstyd mi teraz to przyznać, ale rywalizowałyśmy ze sobą o jego miłość. On jednak odwrócił się do niej plecami i rozpoczął nowe życie, które bardziej mu odpowiadało. Ellen winą za jego zniknięcie obarczyła mnie. Nie potrafię powiedzieć, czy to ja go do tego skłoniłam. Uplynęło zbyt wiele czasu. Wiem jedno — on nienawidził gospodarstwa i niekończącej się pracy. Nie mogę mieć mu tego za złe. W dniu naszego ślubu byliśmy jeszcze dziećmi, a w młodym wieku ciężko jest docenić wartość ziemi, drzew i owoców, gdy zewsząd wabią przyjęcia, tańce i błyskotki. Ale po jego odejściu z czasem nauczyłam się znajdować w pracy pocieszenie, swego rodzaju spokój i satysfakcję, której nie może zapewnić żaden człowiek.

Byłaś pracowitą dziewczyną, Roxanne. Wiedziałaś, jak słuchać i wypełniać polecenia, a do tego zawsze czułaś satysfakcję z dobrze wykonanego zadania. Podejrzewam, że to ode mnie przejęłaś umiłowanie do porządku. Nie ma w tym nic złego. W pierwszej klasie Twoim ulubionym zajęciem było literowanie, prawdopodobnie dlatego, że w ortografii istnieją jasno wytyczone zasady co do kolejności liter. Poza tym lubiłaś się uczyć na pamięć: nazwy stanów, nazwiska amerykańskich prezydentów, nazwy każdego kwiatka znajdującego się w ogrodzie. Znałaś je wszystkie.

W letnie poranki schodziłaś na dół w szortach i T-shircie oraz w za dużych butach. Kazałam Ci je nosić, aby chronić Twoje stopy przed ostrymi przedmiotami, które w każdym gospodarstwie, nawet tak bardzo zadbanym jak moje, poniewierają się na ziemi.

Nie chciałaś, abym przyrządzała Ci śniadania. Jak się okazało, przede mną nikt nigdy nie przygotowywał dla Ciebie naleśników, ani nawet jajecznicy. Po posiłku nie musiałam Cię prosić, abyś posprzątała ze stołu, a potem zabierałaś się do sporządzania codziennych list, wypytyjąc o słowa, których nie potrafiłaś napisać. Mówiłaś, że zawierają one plan na dany dzień. Wówczas do Twoich największych obowiązków należało zebranie jajek oraz karmienie kur. Dostałaś ode mnie małe grabie dla dzieci, dzięki którym mogłaś utrzymywać kurnik w czystości. Widziałam, że lubiłaś tę pracę. Lubiałaś też wykreślać rzeczy ze swojej listy.

Nawet bawiłaś się w zorganizowany sposób. W Twojej sypialni znajdowało się kilka starych lalek należących jeszcze do Twojej mamy. Ustawiałaś je na krzesłach i bawiłaś się w szkołę; uczyłaś je wszystkiego tego, czego sama się nauczyłaś. Sadzałaś je też obok siebie na łóżku i czytałaś im bajki. Otaczały cię niczym rodzina, o której zawsze marzyłaś. Byłaś przestodką.

Dla mnie lata spędzone z Tobą na ranchu były najszcześniejszym okresem w moim życiu. Miałam wrażenie, że Bóg dał mi drugą szansę, abym sprawdziła się jako matka. Wiem, że zawiodłam Ellen. Może powinnam była jej to powiedzieć? Może dzięki temu nasze relacje wyglądałyby inaczej? Ale przez całe życie byłam zbyt dumna. Nigdy nie potrafiłam przeprosić ani prosić o wybaczenie. Gdy Twój dziadek się ze mną żegnał, powinnam była od razu mu powiedzieć, że go kocham i chcę, aby został. Ale widziałam w jego oczach, że był już daleko ode mnie, i nie chciałam się poniżyć. Nawet nie zapłakałam. Chciał się pożegnać z Ellen, ale powiedziałam mu, że nie ma do tego prawa. Zaczął mnie nawet błagać ze łzami w oczach. Wstyd mi to przyznać, ale widząc te łzy, czułam satysfakcję.

Gdy patrzyłam na Ciebie, martwiła mnie tylko jedna rzecz. Od pierwszego dnia zaobserwowałam, że przywykłaś do stawiania własnej osoby na drugim miejscu; rezygnowałaś z siebie, aby zaopiekować się każdym, kto Ciebie potrzebował i rozgłaszał to wszem wobec. Wydaje mi się, że Twoja matka też to dostrzegła. Gdy po Ciebie wróciła, wiedziałam, że w San Diego ma jeszcze

jedną małą córeczkę i nie potrafi sobie z nią poradzić, tak jak z Tobą. Chciałam, abyś została ze mną, ale ona miała inne plany. Jak zwykle Ellen była najważniejsza.

Teraz jesteś już dużą dziewczyną, właściwie kobietą, i każdego dnia zastanawiam się, na jakiego człowieka wyrośniesz i czy kiedykolwiek wspominasz nasze cudowne wspólne chwile na ranczo. Pamiętasz Pablo Salazara i jego rodzinę? Nadal co roku w sierpniu zbierają u mnie owoce. A ich syn Raul, który uczył Cię pływać w kanale irygacyjnym, pracuje teraz jako księgowy w San Jose. Twoje lalki są ustawione w rzędzie na łóżku i czekają, abyś przeczytała im bajkę na dobranoc. Twój kucyk został u mnie, aż do śmierci. Po prostu zasnął pewnego popołudnia na słońcu i już się nie obudził. Mam nadzieję, że ja odejdę równie spokojnie. Już dużo czasu mi nie pozostało. Lekarze przepisują mi mnóstwo leków przeciwbólowych, ale nadal czuję, jak rośnie we mnie rak. Pewnego dnia osiągnie takie rozmiary, że wypchnie duszę z mojego ciała.

Pomyśl czasem o mnie, Roxanne. Dbaj o siebie i stań się silną kobietą. Znajdź kogoś, kto Cię pokocha, taką jaką jesteś, a jesteś wspinała. Zawsze pamiętaj, że byłaś moją ukochaną dziewczynką, Roxanne, i przez całe życie nigdy nie kochałam nikogo tak mocno jak Ciebie.

UWAGI OD AUTORKI

Depresja poporodowa mojej matki

Miałam dwanaście lat, gdy urodziła się moja siostra Margaret Ellen. Byłam więc na tyle duża, aby zorientować się, że od jej przyjścia na świat rozpoczęły się nasze kłopoty — a zwłaszcza naszej mamy będącej filarem rodziny. Mój dziewięcioletni brat Kip — który już wtedy zamartwiał się z byle powodu — także zauważył zachodzące zmiany. Nadal pamiętam spojrzenie, które posłał mi podczas śniadania znad pudełka z płatkami, gdy atmosfera pomiędzy rodzicami stała się tak gęsta, że ledwo mogliśmy oddychać.

Depresja poporodowa dotyka całą rodzinę.

W tamtych czasach, podobnie jak teraz, przymiotniki takie jak „elastyczna”, „entuzjastyczna”, „ciekawa świata” i „wesoła” dobrze opisywały naszą mamę. Co prawda miewała humory, ale twierdziła, że nie da się ich uniknąć. „Chandra jest nierozzerwalnie związana z irlandzką naturą i nic nie możesz na to poradzić” — mawiała. „Nie ma to jak porządnie się wypłakać”. Wylewała łzy, ponieważ ojciec był sobą, a nie mężczyzną, o którym marzyła, i ponieważ jej plany się nie powiodły, psy umierały, a ona znajdowała się w odległości tysięcy mil morskich od swoich rodziców i niemal wszystkich sióstr — poza jedną. Kochała stare wiktoriańskie pieśni, które wraz z siostrami śpiewały wokół pianina, rzewne ballady o diasporze i śmierci w młodym wieku. Gdy byłam mała, prosiłam ją o zaśpiewanie *Lilac trees* i obie kończyłyśmy we łzach. To było dziedziczne.

Pomimo swej płaczliwości zapamiętałam mamę jako pogodną, a przede wszystkim wytrzymałą osobę. Musiała taka być,

ponieważ w naszej rodzinie często byliśmy „pod kreską” (jeden z kilku zwrotów, których używała, gdy brakowało nam pieniędzy) i zawsze walczyliśmy o przetrwanie. W dzieciństwie rano zwykle budził mnie jej cudowny sopran, gdy stojąc u podnóża schodów, śpiewała jedną z irlandzkich piosenek.

Śpiew zniknął z naszego domu po narodzinach Margaret Ellen, gdy rodzina pogrążyła się w mroku. Pamiętam, jak po powrocie ze szkoły z obawą, która była dla mnie czymś nowym, otwierałam drzwi wejściowe. Nie byłam pewna, co czeka mnie po drugiej stronie. Cały świat jakby zwolnił, gdy moją matkę ogarnęła wyniszczająca ospałość, która na moich oczach zmieniła ją w innego człowieka. Mój ojciec nigdy nie przywiązywał zbyt wielkiej wagi do niuansów zachowań ludzkich, więc sytuacja go przerosła. Jestem jednak pewna, że nigdy nie zwrócił się o pomoc do lekarza lub księdza. Poszukiwanie wsparcia w tak osobistej i wstydlivej sprawie jak żona przechodząca „załamanie nerwowe” — uniwersalne pojęcie określające każdy emocjonalny kryzys — było w mojej rodzinie nie do pomyślenia. W tamtych czasach, podobnie jak w większości innych rodzin, ukrywało się problemy natury osobistej.

Na świecie prowadzono wówczas zimną wojnę i po urodzeniu Margaret Ellen moją matkę ogarnęła obsesja nuklearnego holokaustu. Napisała nawet list do prezydenta. Teraz nie ma w tym nic nadzwyczajnego, ale w tamtych czasach to było coś niebywałego, a nawet śmiałego. Z uwagi na rangę adresata tekst nie mógł być pisany odręcznie. Należało więc wyjąć naszą starożytną maszynę do pisania ze schowka pod schodami, zmienić tasiemkę (brudna, mozolna praca) oraz wygospodarować pieniądze na zakup papeterii, ponieważ nie można było napisać do prezydenta na zwykłym starym kawałku papieru. A potem nastąpił etap redagowania odpowiedniego tekstu, co wiązało się z pisaniem, darcie kartek, dalszym pisaniem, i tak w kółko, aż w końcu powstał list idealny.

Moje ostatnie wspomnienie depresji poporodowej mamy pochodzi z dnia, w którym leżałam w swoim pokoju na piętrze w

środku tygodnia, przysłuchując się odgłosom kłótni (nie rozróżniałam poszczególnych słów) rozgrywającej się na dole — mama płakała i błagała o wysłuchanie i zrozumienie, tato próbował z całych sił, ale bez efektu. Wstałam z łóżka i otworzyłam drzwi. Po drugiej stronie korytarza dostrzegłam Kipa. On także stał w drzwiach swojego pokoju w piżamie i na bosaka, a na jego twarzy malowało się zmartwienie. Bez słowa zesliśmy cicho po schodach i usiedliśmy obok siebie. Pamiętam, że wtedy po raz pierwszy w życiu poczułam przerażenie. Zdałam sobie wówczas sprawę z pęknięć biegnących przez fundamenty mojego życia. Po krótkiej chwili mój ojciec — ubrany w sprany biały podkoszulek oraz wypchane w kolanach sztruksy ściągnięte paskiem wokół szczupłej talii — mój słodki, przytłoczony zmartwieniami ojciec-intelektualista, dla którego widok pęknięć również był szokiem, stanął przy schodach i odezwał się do nas. Pamiętam dokładnie, co wówczas do nas powiedział: „Nie martwcie się, dzieciaki. Nie rozwiedziemy się z mamą”.

Do tamtej pory możliwość rozwodu nigdy nie przyszła mi do głowy, ale kiedy usłyszałam to słowo wypowiedziane głosem ojca, w którym pobrzmiwał akcent z Iowa, na długo wryło mi się ono w pamięci, aż do chwili, gdy wiele lat później usłyszałam je od mojej mamy.

Któregoś dnia, równie nagle jak się pojawiła, depresja poporodowa mamy zniknęła. Nie pamiętam, czy później śpiewała nam rano, ale pewnie tak. Podejrzewam, że moje luki w pamięci wynikają z faktu, iż wówczas pragnęłam z całego mojego dwunastoletniego serca, aby zaprzestała swoich porannych występów. W świecie ucznia siódmej klasy piosenki mamy nadawały się jedynie dla dzieci. Po powrocie do zdrowia mama nie miała żadnych rzucających się w oczy blizn, ale myślę, że były one głęboko ukryte. Kilkadziesiąt lat później stałyśmy razem w kolejce w supermarkecie i czytałyśmy nagłówki tabloidów. Jeden z nich przyciągnął jej uwagę: „Matka rzuca się wraz z dzieckiem z siódmego piętra”. Moja mama pokręciła głową i powiedziała: „Biedna kobieta. Wiem dokładnie, jak musiała się czuć”.

Depresja poporodowa przypomina stanie na parapecie nad czarną dziurą. Człowiek nie jest w stanie się poruszyć, nie może nic zrobić, spogląda jedynie w dół w wirującą ciemność. W tej otchłani każda matka widzi coś innego. Moja dostrzegła nuklearną zagładę, zniszczenie świata oraz śmierć wszystkich swoich bliskich. Choć nie podzielaliśmy jej obsesji, mój brat, ojciec oraz ja widzieliśmy odbicie tego przerażenia na jej twarzy i słyszeliśmy go w jej głosie. Czuliśmy jej strach. To on sprawił, że nasz świat zatrzęsł się w posadach.

Drusilla Campbell

PODZIĘKOWANIA

Napisanie i wydanie dobrej powieści wymaga poświęcenia oraz współpracy kilkunastu mężczyzn i kobiet. Pełna lista z podziękowaniami zajęłaby wiele stron i nawet wtedy nie byłaby kompletna, ponieważ prawda wygląda tak, że czerpię natchnienie ze wszystkiego i wszystkich. Dwadzieścia lat temu widywałam w supermarkecie kobietę, która szarpała swojego trzyletniego syna i ciągnęła od działu do działu, krzywiąc się i warcząc na niego, ponieważ z każdą chwilą płakał coraz głośniej. Jej duch żyje w tej powieści, podobnie zresztą jak wspomnienie wyczerpania wypisanego na twarzach mojego syna i jego żony, gdy na nowo uczyli się życia po przyjściu na świat ich dziecka. Chciałabym podziękować wam wszystkim, ale pozwólcie, że najpierw wymienię kilka osób.

Przede wszystkim wyrazy niewysłowionej wdzięczności kieruję jak zawsze do Arta, który mnie rozśmiesza i pomaga zachować równowagę w życiu.

Do Margaret, mojej dobrej siostry. Jesteś najlepsza.

Do mamy, za ogromną miłość i wsparcie.

Do Nikki, mojej synowej, za odwagę i szczerą odpowiedź na moje często obcesowe i natrętne pytania.

Do moich wspaniałych synów, Rocky'ego i Matta. Kto by pomyślał, że ci dwaj mali chłopcy wyrosną na mężczyzn, którzy są moim sterem i kompasem.

Do mojej agentki Angeli Rinaldi, która wielokrotnie udowodniła, że potrafi przekonać mnie, abym nie skakała z okna lub podniosła się z podłogi.

Do moich wybitnych wydawców w Grand Central: Karen Kosztolnyik i Beth de Guzman, za ich cierpliwość, zrozumienie i wysokie standardy. Karen zasługuje na szczególne podziękowania za swój talent dyplomatyczny, którym musiała się wykazać, gdy otrzymała ode mnie pierwszą, okropną, wersję tej książki.

Chciałabym również wyrazić swoją wdzięczność pracownikom wydawnictwa Grand Central. A są to: Bruce Paonessa, Chris Barba, Karen Torres, Martha Otis, Harvey-Jane Kowal oraz Jamie Raab. To oni nadali kształt powieści trzymanej przez państwa w dłoniach. Dziękuję także Liz Connor za jej zapadającą w pamięć okładkę oraz Celi Johnson za to, że mnie delikatnie nękała.

Wiele kobiet podzieliło się ze mną swoimi osobistymi doświadczeniami związanymi z macierzyństwem i depresją. Wasze zaufanie oraz szczerość głęboko mnie poruszyły. Łączę się w bólu z milionami kobiet, które od wieków cierpią w samotności z powodu depresji poporodowej, doświadczając często niezrozumienia i pogardy.

Na końcu pragnę podziękować paniom z Arrowhead Association, matkom, siostrom i przyjaciółom — to dzięki wam powstała ta książka.

